

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/193

1963



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Fr. FEJTÖ : **PANORAMA ŚWIATOWEGO
KOMUNIZMU W 1963 R.**

T. NOWAKOWSKI : **JAK TO NA KONGRESIE
ŁADNIE...**

(m.l.d) : **W OCZACH LONDYNU**

SPIS RZECZY

François Fejtö:	<i>Panorama światowego komunizmu w r. 1963</i>	3
Witold Gombrowicz:	<i>Dziennik transatlantyki</i>	24
Zygmunt Haupt:	<i>Strachy</i>	33
Zygmunt Haupt:	<i>Czarownica z Coös</i>	42
Czesław Miłosz:	<i>Trzy rozmowy o cywilizacji</i>	43
Aleksander Wat:	<i>O Wolności</i>	46
" "	<i>Przypis do Izajasza</i>	48
" "	<i>W Lasku Bulońskim</i>	49
" "	<i>Sytuacja Anteusza</i>	49
" "	<i>Sen</i>	52

SPRAWY I TROSKI

(m. l. d.):	<i>W oczach Londynu</i>	54
-------------	-------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Ludzkie pojmowanie dziejów</i>	61
Aleksander Kawalkowski:	<i>Komekon i Europa</i>	69
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	79

SĄSIEDZI

Tadeusz Nowakowski:	<i>Wiesbaden</i>	86
---------------------	------------------------	----

KRAJ

—	<i>Drętwa mowa i różowe klisze</i>	103
Aleksander Wat:	<i>Oświadczenie</i>	106
Londyńczyk:	<i>Z księgi dżungli</i>	107

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Michał Borwicz:	<i>Dwadzieścia lat później</i>	112
—	<i>Jeszcze o biografii Gomułki</i>	122

KRONIKA KULTURALNA

Zygmunt Turkiewicz:	<i>Wystawy polskie w Londynie</i>	126
---------------------	--	-----

KSIĄŻKI

Maria Czapska:	<i>Pamiętniki W. Lednickiego</i>	131
Adam Czerniawski:	<i>Nowe wiersze Herberta</i>	136
T. S.:	<i>Cztery lata w okupowanym Paryżu</i> ..	140
Benedykt Heydenkorn:	<i>Polityka i religia</i>	142
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	144

Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	145
--------------	----------------------------	-----

T.S. Bielski, W. Gombrowicz, A. Korboński, L. Litwiński, W. Su-kiennicki, R. Szczurkowski, Al. Wat, S. Żochowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	150
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Listopad-Novembre

1963

INSTYTUT



LITERACKI

OD REDAKCJI

Z przykrością zawiadamiamy naszych Prenumeratorów i Czytników, że na skutek stałej podwyżki cen drukarni i papieru (przebiegająco 3 podwyżki rocznie) zmuszeni jesteśmy podwyższyć ceny „Kultury”, czego nie robiliśmy od 3-ich lat, mimo trudności finansowych.

Prenumerata „Kultury” na r. 1964 będzie wynosiła:
rocznie 50 F; £, 4.00.00; dol. USA 12.00; dol. can. 13,-,
półroczna 26 F; £. 2.02.00; dol. USA 7; dol. can. 8.

Dokładna tabela cen oraz ceny w innych krajach podamy w numerze grudniowym, na 3-ej stronie okładki.

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

J. i K.R. Monachium (Niemcy)	50,00 F
Rev. Donald M. Malinowski, Winnipeg, Man. (Kanada) po raz drugi	27,00 „
Walter J. Chałupnik, Many, La. (USA) po raz drugi	53,90 „
Hanna Gutkowska, Los Angeles, Cal. (USA)	76,20 „
Andrzej Korboński, Los Angeles, Cal. (USA) po raz drugi	98,00 „
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada) zamiast kwiatów na grób — w drugą rocznicę śmierci swej jedynej przyjaciółki, Wery Jakubowskiej — po raz trzynasty	48,08 „
Dr Frank Hołuj, Windsor, Ont. (Kanada)	45,00 „
Bezimiennie, Paryż	20,00 „

DZIĘKUJEMY

Panorama światowego komunizmu w r. 1963

Na trzynaście krajów wchodzących w skład obozu socjalistycznego (wraz z Kubą, ale z wyłączeniem Jugosławii) cztery należą do grupy chińskiej. Na osiemdziesiąt cztery partie komunistyczne świata, co najmniej dziesięć grawituje z większą czy mniejszą ostrożnością w stronę Pekinu, zaś frakcje chińskie istnieją, względnie są w stadium powstawania, w większości innych partii. Jeśli zaś idzie o wielkie masowe organizacje jak np. Światowy Ruch Pokoju, Światowy Związek Syndykatów, Związek Kobiet Demokratycznych, Młodzieży, Dziennikarzy, Prawników itp. — są one terenem zaciętej walki wpływów pomiędzy chruszczowizmem a tendencją chińską.

Taka jest, z grubsza, sytuacja międzynarodowego komunizmu po zerwaniu rozmów chińsko-sowieckich w dniu 20 lipca rb. Wykazuje ona, że Chiny są o wiele mniej samotne niż to przedstawia propaganda Moskwy. Od początku 1963 roku wpływ Pekinu robi niewątpliwe postępy. „List Otwarty” Centralnego Komitetu sowieckiego z dn. 14 lipca rb. zasygnalizował „krecią robotę” prochińskich frakcji w łonie Partij komunistycznych Włoch, Belgii, Stanów Zjednoczonych, Brazylii, Australii i Indj. Lista ta daleka jest od końca. Ponadto Chiny są w trakcie zawiadnięcia kontrolą aparatu afro-azjatyckiego Ruchu solidarności i powodują kurczenie się wpływów sowieckich w Ameryce Łacińskiej.

Jak z tego wynika, rozłam ruchu komunistycznego przestał być już możliwością czy groźbą, której można byłoby jeszcze zapobiec. Stał się on faktem dokonany, procesem który jest w stadium rozwoju. Zagadnieniem, które się nasuwa, jest przewidzenie jak daleko pójdzie ten rozłam? Jakie są cele Mao? Czy zadowolony się on rozszerzaniem swoich wpływów, organizowaniem frakcji, aby związać cały ruch, w nadziei że stanie się całkowicie

(Wynik ankiety, zorganizowanej przez François Fejtő przy współpracy kierowników oddziałów Agence France Presse w różnych krajach świata).

panem sytuacji po wyeliminowaniu Chruszczowa, czy też myśli on o stworzeniu w niedługim czasie nowej Międzynarodówki, w opozycji do tej, która w dalszym ciągu będzie łączyć Partię i ruchy wierne Moskwie?

Mao Tse-tung rozważa przykład Lenina

Chińczycy i koła do nich zbliżone, zapytywani na ten temat, dają odpowiedzi wymijające. Ich wypowiedzi są jawnie dyktowane taktyką, która usiłuje — bez względu na jakiegokolwiek przeszkody — przedstawić ich jako championów jedności ruchu. „Nam potrzebna jest Partia rewolucyjna” — mówią oni — „oparta na teoriach rewolucyjnych marksizmu-leninizmu i posiadająca rewolucyjny styl marksistowsko-leninowski”. (24 punkt „Propozycji dotyczących linii generalnej” z 14 czerwca). Odrzucają perspektywę dwóch odmiennych ruchów; w ich wyobrażeniu może istnieć wyłącznie jeden prawdziwy ruch międzynarodowy, autentycznie rewolucyjny: to jest ich ruch, skupiony pod sztandarem Lenina. Ci, co są przeciwko nim, nie reprezentują nic; to są jedynie uzurpatorzy, fałszerze i zdrajcy socjalizmu.

To właśnie przykład Lenina dostarcza klucza do zrozumienia taktyki Chińczyków i pozwala oświetlić cele, które sobie postawili.

Nie bez racji mówi się o Mao Tse-tungu, że uważa się on za Lenina naszych czasów, za wcielenie założyciela pierwszego państwa socjalistycznego (1). Żeby zdać sobie sprawę do jakiego stopnia stary władca Chin Ludowych identyfikuje się z Ojcem Rewolucji Rosyjskiej wystarczy przeczytać ostatnie broszury rozprowadzane przez Pekin we wszystkich językach świata, a zwłaszcza „Propozycje w 25 punktach” — odpowiednik słynnej broszury Lenina, zatytułowanej „Co robić?”. Mao, tak jak Lenin, uważa za swoją misję obronę czystości ortodokcji rewolucyjnej i odnowę międzynarodowego ruchu.

Ostatniej jesieni, Albańczycy, wierni *porte-parole* Chińczyków, powołując się na Lenina, po raz pierwszy dali do zrozumienia, że istnieje możliwość utworzenia nowej organizacji międzynarodowej celem przeciwstawienia się „wspólnemu frontowi Chruszczowa i Tito”.

„Prawdziwi marksiści — pisał „Zeri i Popullit” z Tirany, nie mogą dłużej współżyć z rewizjonistami w łonie tej samej partii i tego samego ruchu międzynarodowego”. Było to publiczne ostrzeżenie. Pekin postępował o wiele ostrożniej. „Czerwony Sztandar”, pekińskie pismo partii chińskiej, opublikował latem 1962 roku wiele rozpraw historycznych, dotyczących różnic jakie ongiś przeciwstawiły Lenina rosyjskim i zachodnim reformistom II Międzynarodówki, prowadząc z wolna lidera bolsze-

wickiego do odsunięcia się od dawnych towarzyszy i stworzenia III Międzynarodówki.

Rozprawy te były publikowane pod różnymi pseudonimami, kryjącymi jak się zdaje, osobę Mao, który od czasu ustąpienia w roku 1958 z prezydentury Republiki, bardziej rozporządza czasem i rozmyśla nad dziełem Lenina. Według egzegetów tych tekstów z roku 1962, Mao oddawał się ciekawej grze, mianowicie utożsamiał swoje idee z ideami Lenina, zaś nakreślając wizerunki antagonistów Lenina — socjalistów niemieckich: Edwarda Bernsteina i Karla Kautsky'ego — zaledwie maskował postać Chruszczowa.

„Żeby zwalczać oportunizm II Międzynarodówki: szowinistów, mienszewików i likwidatorów w Rosji, Lenin połączył się z rewolucyjnymi marksistami innych krajów... Uważał on walkę z rewizjonizmem za *wstęp* do wielkiej rozgrywki rewolucyjnej” — czytamy w jednej z wyżej wspomnianych rozpraw. Jak wiemy, ten „wstęp”, o którym mówi Mao, *trwał dostatecznie długo*. Lenin w rzeczywistości nie zgadzał się z mienszewikami od roku 1902; tym niemniej pozostawał w rosyjskiej partii socjal-demokratycznej prawie przez dziesięć lat, aby wewnątrz partii prowadzić walkę z „oportunizmem”. A nawet po swoim zerwaniu z mienszewikami, aż do roku 1914 pozostał członkiem II Międzynarodówki. Następnie, w czasie pierwszej wojny światowej, Lenin współpracował czynnie z pacyfistycznym skrzydłem ruchu międzynarodowego, który przegrupował się w Zimmerwaldzie w roku 1915. Dopiero w roku 1919 powołał on do życia III Międzynarodówkę, opartą na podstawach rewolucyjnych, których bronił bez przerwy podczas prawie piętnastoletniej walki opozycyjnej.

Analizując perypetie tej walki, Mao Tse-tung stwierdził, że „historia się powtarza”. Podkreślił, że obecna sytuacja ruchu marksistowskiego przypomina sytuację II Międzynarodówki w przeddzień rozłamu. W rozważaniach „Czerwonego Sztandaru” oportunizm Chruszczowa przedstawiany jest jako nowa wersja oportunistów wrogów Lenina. „Lojalność wobec marksizmu w słowach, ale w praktyce ustępstwa wobec oportunistów” („Czerwony Sztandar”, 25 kwiecień, 1962). U jednych i u drugich podobny spadek dynamiki rewolucyjnej, podobne niedocenianie potencjału rewolucyjnego krajów zacofanych, podobne troski ekonomiczne.

Można przypuszczać, że Mao Tse-tung, posunąwszy tak daleko analogię, będzie bardzo ściśle naśladował przykład Lenina, aby zwalczać „zdradę” sowiecką (Deklaracja rządu pekińskiego z 31 lipca) i przywrócić ruchowi robotniczemu jego rewolucyjne powołanie. To znaczy, że chiński leader będzie w dalszym ciągu zwlekał z zarzuceniem im wprost chęci rozłamu i że jednocześnie wyczerpie wszystkie możliwości pracy frakcyjnej, jakie wypływają z utrzymania pewnych więzów z bratnimi partiami.

Po zerwaniu sojuszu — co sugeruje Deklaracja z 31 lipca,

(1) Branko Lazitch: Mao Tse-tung, le Lénine d'aujourd'hui”, *Est et Ouest*, 1-15 janvier 1963.

denuncjująca moskiewski traktat atomowy — można przewidzieć wzrost nasilenia polemiki i infiltracji. Nowa Międzynarodówka narodzi się potem.

Trzy zaszłe ostatnio wydarzenia wskazują w jakim kierunku zmierzać będzie akcja Pekinu w najbliższych miesiącach:

— Na ostatniej konferencji dziennikarzy afro-azjatyckich, która miała miejsce w Dżakarcie, Chińczykom udało się całkowicie wykluczyć z udziału w obradach delegatów republik sowieckiej Azji Centralnej, pod pretekstem, że „Związek Sowiecki nie jest mocarstwem azjatyckim”. Nie jest to zresztą zupełnie nowa tendencja chińska. Jak sobie przypominamy, już od roku 1955 Chińczycy robili co było w ich mocy, aby trzymać Sowiety z dala od konferencji w Bandung, gdzie vedetką był Czu En-lai — obok Nehru, który wówczas był jeszcze przyjacielem Chin. Wszystko wskazuje na to, że w przyszłości wykluczenie Rosji ze wszystkich spraw afro-azjatyckich będzie regułą dla Pekinu. Chiny będą uważały ruch rewolucyjny w krajach niedorozwiniętych za swoją wyłączną domenę.

— Innego rodzaju precedens stworzono na Światowym Kongresie Kobiet Demokratycznych, który miał miejsce pod koniec czerwca r. b. w Moskwie. Chinki i ich sojuszniczki znajdowały się tam w mniejszości, co im nie przeszkodziło w robieniu szumu i prowokowaniu incydentów, które pozwalały im w następstwie przedstawiać się jako ofiary gwałtownych niesprawiedliwości. Delegatki chińskie były bardzo aktywne w kularach i pomimo niepopularności ich antypokojowych sloganów, zdobyły sympatie. A więc, jeżeli Sowiety nie sprzeciwią się zapraszaniu Chin na różne kongresy międzynarodowe, zebrania takie dostarczą propagandystom Mao nowych okazji do działania i do rekrutowania zwolenników.

— Swego rodzaju trzeci precedens stworzyli ostatnio prochińscy dysydenci brukselskiej Federacji komunistycznej partii belgijskiej, którzy — jak zobaczymy dalej — są w trakcie organizowania konkurencyjnej partii komunistycznej w powiązaniu z Tiraną i Pekinem.

Z powyższego wynika, że Chińczycy, koncentrując swoje wysiłki na zdobywaniu zwolenników w partiach Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej, wcale nie zamierzają pozostawić komunistycznych partii Zachodu ich własnemu losowi. Będą usiłowali rozszerzyć posiadane już „przyczółki” na Bałkanach, we Włoszech, w innych krajach Europy Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych.

Jeśli idzie o Sowiety to będą one w dalszym ciągu podkreślały chiński „rasizm à rebour”, oraz chińskie dążenia do wywołania wojny; będą usiłowały wykazać krajom afro-azjatyckim, że Związek Sowiecki — jak to powiedział Janos Kadar w Taszkencie — jest ich najlepszym przyjacielem”, a w każdym razie ich przyjacielem najbardziej wydajnym.

Oto jak się przedstawia wykres międzynarodowego ruchu

w chwili gdy „punkt zerwania” pomiędzy Związkiem Sowieckim a Chinami został przekroczony (2).

I. PARTIE KOMUNISTYCZNE KRAJÓW SOCJALISTYCZNYCH, PODZIELONE POMIĘDZY CHINY I ROSJĘ

Sytuacja ogólna

Od wiosny 1962 Chiny poszerzyły swoje wpływy w azjatyckich republikach ludowych. W Europie komunistycznej, Rumunia — grożąc, że pójdzie za przykładem Albanii — wymusiła na Związku Sowieckim korzyści ekonomiczne i zwolnienie tempa procesu integracji i wspólnego planowania. Jej także udało się wykorzystać spór chińsko-sowiecki, dla zdobycia większej niezależności od Moskwy.

Efektywy komunistyczne

Kraje socjalistyczne, związane z Moskwą:

Związek Sowiecki 10.000.000	Węgry 512.000
Czechosłowacja 1.600.000	Mongolia Zewnętrzna 43.000
Rumunia 870.000	Można tu zaklasyfikować także Związek Komunistów Jugosławii, który, w liczbie 1.007.000 popiera politykę Chruszczowa.	
Polska 1.310.000		
Bułgaria 615.000		
Niemcy Wschodnie 1.500.000		

Kraje socjalistyczne, związane z Pekinem:

Chiny 17.000.000	Wietnam Północny 500.000
Korea Północna 1.120.000	Albania 53.700

Przewidywania:

Proces zmian będzie postępował. Można liczyć na wzmocnienie tendencji odśrodkowych w stosunku do Moskwy oraz na wzrost atrakcyjności Zachodu w demokracjach ludowych.

Spośród wszystkich partii komunistycznych bloku sowieckiego, Węgrzy i Mongoli wykazali w ciągu ostatnich miesięcy największą zapała w obronie polityki Chruszczowa i proklamowa-

(2) Aby sporządzić ten wykres korzystaliśmy szeroko nie tylko z własnej dokumentacji, ale także z analiz głównych korespondentów Agence France Presse. Cyfry, wykazujące siłę liczebną różnych partii, wzięte zostały z pisma „Est et Ouest”, nr 1-15 marca, 1962.

niu swojej wierności dla Związku Sowieckiego. Dlaczego właśnie te dwie partie, a nie inne? Jeśli idzie o Węgry, to odgrywają tu rolę osobiste więzy, łączące Kádara i jego najbliższych z Chruszczowem. W sumie, Węgry skorzystały z tzw. linii Chruszczowa. Trzy główne cele sekretarza partii sowieckiej — koegzystencja pokojowa — destalinizacja — poprawa stopy życiowej — odpowiadają pragnieniom narodu, który specjalnie ucierpiał w dobie stalinizmu.

Jeśli idzie o Mongołów to postawili oni na tego konia: dzięki opiece sowieckiej mają nadzieję uwolnienia się od Chińczyków. Kierownicy mongolscy i węgierscy w chwili zaognienia się różnic chińsko-sowieckich, w lipcu rb. podjęli hasło, w myśl którego „tak dzisiaj jak i 45 lat temu, poprawny stosunek do Związku Sowieckiego stanowi kamień węgielny internacjonalizmu”. Wiemy, że Chińczycy w swoich „Propozycjach w 25 punktach” wątpią o ważności tego „kryterium”. Dla nich kamień węgielny internacjonalizmu spoczywa na niewzruszonej woli popchnięcia rewolucji światowej i na radykalnym zerwaniu z rewizjonizmem. Podpisując Traktat atomowy ze Stanami Zjednoczonymi, Związek Sowiecki przestał być w oczach Chińczyków „państwem internacjonalnym”.

Jeśli idzie o komunistów czeskich, to bez wahania stanęli po stronie Chruszczowa w walce, którą prowadzi on przeciwko wpływowi Mao Tse-tunga. Rząd praski najszybciej wziął przykład ze Związku Sowieckiego wypędzając Chińczyków, zajmujących się akcją propagandową w partii czeskiej. Zajadłość z jaką prasa praska i bratysławska występuje przeciwko nacjonalizmowi Chińczyków i ich dążeniu do wywołania wojny, tłumaczy się po części przyczynami ekonomicznymi: ze wszystkich bowiem krajów demokracji ludowych Czechy najsilniej były zaangażowane w handel wymienny z Chinami, i one to najwięcej cierpią wskutek nagłego zerwania umów, które pozbawiają ich zarówno rynków zbytu jak i bardzo ważnego źródła aprowizacyjnego.

Czesi zarzucają również Chinom, że poprzez swoją antyintegracyjną propagandę wzmocniły tendencje autarkiczne w niedorozwiniętych krajach bloku, jak w Rumunii, Bułgarii i Północnej Korei. Te tendencje bardzo szkodzą Czechosłowacji, która będąc najbardziej uprzemysłowionym krajem w obozie socjalistycznym, była najwięcej zainteresowana w usunięciu sztucznych barier, które stawia się ich ekspansji.

Niewątpliwie Partia czeska jest w dalszym ciągu najbardziej hierarchiczna i centralistyczna w typie stalinowskim; reformizm, żeby nie powiedzieć rewizjonizm Chruszczowa nie mniej dotknął i zirykował kierownictwo w Pradze niż w Berlinie Wschodnim czy w Sofii. Wielu komunistów czeskich, właśnie wskutek swego antyrewizjonizmu, w latach 1957-1959 manifestowało bardzo głośno swoje sympatie dla idei Mao. Obecnie te sympatie ochłodyły, względnie zmniejszyły się; a ponadto elementy liberalne Partii i opinii publicznej — zwłaszcza w Słowacji — szykują się do wykorzystania skłaniania się kraju na stronę

Chruszczowa, celem sprowokowania przesunięć w łonie kierownictwa i zmiany orientacji w sensie destalinizacji. W związku z tym sytuacja polityczna w Czechach staje się coraz bardziej płynna i może ewoluować w nieoczekiwanym kierunku.

Jeśli idzie o Rumunię, zwróciłem już uwagę na korzyści, jakie płyną dla niej z szantażu skierowanego przeciwko „integracjonizmowi” Chruszczowa. Kierownictwo Rumunii, w pewnym sensie neutralne w sporze ideologicznym — unika oczywiście jakiegokolwiek gwałtowności słownej w stosunku do tez chińskich — pozostaje tymczasem związane z kierownictwem sowieckim, i to tym bardziej, że ma nadzieję wykorzystać zbliżenie Wschód-Zachód w celu zwiększenia swojej wymiany z Zachodem. W każdym razie wystąpienie na scenę polityczną Rumunii, która bardzo długo była najbardziej satelicka ze wszystkich satelitów — jest szczególnie zadziwiajączą konsekwencją schizmy komunistycznej.

Sytuacja jest bez większych zmian w Polsce, gdzie Gomułka trwa na stanowisku, jakie zajął w chwili wybuchu kryzysu, a które charakteryzuje spokojna — bez wstrząsów — lojalność w stosunku do Chruszczowa i Związku Sowieckiego. Stanowisko Gomułki jest zbliżone do stanowiska Togliattiego. Obydwaj liderzy komunistyczni są bliscy pragmatyzmu Chruszczowa i aprobują jego politykę zagraniczną. Tym niemniej ich koncepcja pluralistyczna, „policentryczna”, ruchu komunistycznego nie pokrywa się całkowicie z centralistyczną koncepcją Moskwy. Gomułka tak samo jak Togliatti, chciał odegrać rolę pośrednika pomiędzy Chruszczowem a Mao, aby zachować Chiny w obozie, Chiny trochę usatkwowane, ale mające należną im pozycję.

Te tendencje zmierzające do pogodzenia, które rodziły się w Warszawie i w Rzymie, należą dziś już do przeszłości, zaś Polska Gomułki walcząc z trudnościami ekonomicznymi i politycznymi zamyka się w sobie.

Za to Jugosłowianie — co jest zrozumiałe — wydają się specjalnie zadowoleni z rozwoju kryzysu chińsko-sowieckiego, który całkowicie uzasadnia ich przewidywania. Są specjalnie dumni z tego, że Chruszczow, w czasie swoich rozmów z Pe-kinem, podał do publicznej wiadomości, że zamierza w sierpniu pojechać do Jugosławii. Chruszczow i Tito w wielu sprawach mają te same poglądy, zwłaszcza jeśli idzie o poparcie Nehru w konflikcie z Chinami. Mówi się także, że Tito ma zamiar zwołać nową konferencję krajów nie będących w bloku, podobną do tej jaka miała miejsce w Belgradzie we wrześniu 1961. Prezydent Jugosławii wydaje się bardzo zdecydowany pomóc Chruszczowowi w jego wysiłkach zmierzających do odosobnienia Chin komunistycznych, a w każdym razie do przeszkodzenia Czu En-lai w zorganizowaniu nowego Bandungu.

Jak wynika z tego, wpływ chiński w krajach komunistycznych Europy odczuwa się raczej nie bezpośrednio; propaganda Pekinu odnosi tu mniejsze sukcesy niż u komunistów Europy zachodniej. Wyłącznie mała Albania stoi niewzruszenie przy boku

Chin, tak jak Mongolia — jedyna z krajów komunistycznych Azji — przy boku Rosji.

Jeden ustęp sowieckiego „Listu Otwartego” z dn. 14 lipca, zwrócił uwagę obserwatorów przez swoje tajemnicze sformułowanie. „Komuniści sowieccy — czytamy tam — uważają Albanię, mimo wszystkich różnic z kierownictwem tego kraju, za kraj socjalistyczny i zrobią co będzie w ich mocy, aby przeszkodzić oderwaniu się Albanii od obozu socjalistycznego”. Czyżby Związek Sowiecki miał na myśli jakąś akcję, zmierzającą do zmuszenia dysydentów skipetarskich do powrotu na łono rodziny socjalistycznej? Nie wydaje się, aby spekulacje na tego rodzaju zmiany w Albanii były oparte na solidnych podstawach. Enwerowi Hodży i jego ekipie udało się zmobilizować głęboki nacjonalizm ludu albańskiego przeciwko „wspólnemu frontowi Chruszczow-Tito”. Tak długo dopóki deficyt rządu albańskiego będzie pokrywany z subwencji chińskich — nie należy liczyć na jakiegokolwiek zmiany w orientacji tego kraju.



W krajach komunistycznych Azji Chinom udało się odwrócić stosunek sił na swoją korzyść. Specjalnie zwiększyły swoje wpływy w Korei Północnej; wynika to ze wspólnego komunikatu, ogłoszonego w dniu 24 czerwca w Pekinie, w związku z wizytą prezydenta Północnej Korei Choi Yong-Kun. Ten dokument stanowi streszczenie wszystkich chińskich poglądów na sprawy świata komunistycznego i poza-komunistycznego. Byłoby jednak błędem mówić o całkowitym wykluczeniu sowieckiego wpływu w tym kraju, który do wojny koreańskiej był swego rodzaju sowieckim protektorem. „Prawda”, w numerze z 6 lipca, podkreślała „specjalne znaczenie” Traktatu o współpracy, podpisanego trzy lata temu pomiędzy tymi dwoma krajami. Faktem jest, że Korea Północna, tak samo jak Wietnam Północny, nie odrzucają z lekkim sercem ekonomicznej pomocy Związku Sowieckiego, ani relatywnej niepodległości z jakiej korzystają ich rządy nie opowiadając się definitywnie po jednej czy po drugiej stronie.

Tymczasem Wietnam Północny, którego przedstawiciel na kongres S.E.D. w styczniu tego roku skłaniał się jeszcze lekko na stronę sowiecką, obecnie grawituje raczej w stronę Chin. Wydaje się, że zmiana nastawienia Wietnamu wywołana została wizytą prezydenta Liu Szao-tsi w maju rb. Nr 2 Chin Ludowych wytłumaczył Ho Szi Minh „że żaden kompromis nie jest już obecnie możliwy pomiędzy Mao i Chruszczowem” i że trzeba aby każdy wybrał swój obóz. Ho Szi Minh ustąpił, ale według informacji pochodzących z dobrego źródła największą troską komunistycznej partii Wietnamu jest to, aby „i wilk był syty i owca cała”.

W rzeczywistości północni wietnamczycy nie byli nigdy prochińscy, i fakt, że w obecnym konflikcie zmuszeni byli wziąć

stronę partii Pekinu jest raczej odzwierciedleniem zmniejszenia się wpływów sowieckich w Laosie.

W każdym razie, równoległe do tego co się dzieje w Północnej Korei, Związek Sowiecki nie ustaje w wysiłkach, aby utrzymać swoje pozycje we Wietnamie, specjalnie manifestując swoje zainteresowanie dla „Frontu Narodowej Wolności” Wietnamu Południowego, którego kolebką jest Hanoi. W związku z tym, w drugiej połowie lipca, Moskwa wysłała po raz pierwszy środki medyczne dla Frontu Wolności, co — biorąc pod uwagę stanowisko, zajmowane przez rząd sowiecki jako współprzewodniczący „umów genewskich” — wywołało pewne poruszenie w Saigonie.

II. PARTIE KOMUNISTYCZNE EUROPY ZACHODNIEJ

Sytuacja ogólna:

Jak wiemy, konflikt chińsko-sowiecki wywołał poważne echa w niektórych partiach komunistycznych Zachodu. Chińskie wyzwanie stawia w szczególnie trudnym położeniu liderów, którzy — na wzór Thoreza, Togliattiego, Gollana i innych — wykazują w dalszym ciągu wierność ortodoksji marksistowsko-leninowskiej, prowadząc jednocześnie politykę z widokami na reformy, albo w ogóle bez żadnej perspektywy.

Efektywy	Rok 1947	Rok 1961
Austria	150.000	48.000
Belgia	100.000	13.000
Dania	60.000	5.000
Finlandia	40.000	48.000
Francja	—	407.000
Wielka Brytania	43.000	29.000
Islandia	1.400	1.500
Włochy	—	1.800.000
Holandia	50.000	—
Szwecja	46.000	—
Szwajcaria	21.000	4.000

Z powyższej tablicy wynika, że partie komunistyczne Europy Zachodniej z trudem powiększają swoje efektywy; ich spadek spowodowany został pierwszym kryzysem, jaki wywołała destalinizacja w 1956 roku. Aczkolwiek niektóre partie powiększyły swoje efektywy, są one jeszcze licznie słabsze niż w przededniu wojny.

Przewidywania

Ewolucja partii komunistycznych w kierunku reformizmu, a co za tym idzie ich zbliżanie się do partii socjalistycznych, będzie postępowało nadal. Partie komunistyczne usiłują wykorzystać odprężenie Wschód-Zachód, aby poszerzyć swój zasięg, aby przełamać swoje osamotnienie polityczne, i aby pobudzić do życia Fronty Ludowe.

Jeśli idzie o grupy i frakcje „prochińskie”, to prawdopodobnie w pierwszym okresie czasu będą miały pewne osiągnięcia (wynikające z zaciekania) u intelektualistów, studentów, i w pewnej mierze wśród klasy robotniczej, niezadowolonej z oportunistycznego nastawienia jakie cechuje ich „zburzących” kierowników. W każdym razie jest mało prawdopodobne aby znaczenie „chińczyków” przewyższyło kiedykolwiek znaczenie grupek trockistowskich, do których ich zbliża pokrewieństwo słownictwa i temperamentu.

Najgłębsze rozdziewki schizma wywołała w łonie partii komunistycznych włoskiej i belgijskiej. Jeśli idzie o kryzys partii włoskiej, którego ważności nie należy zresztą przesądzać, to prasa codzienna mówiła o nim dostatecznie dużo; zatrzymuję się na tej sprawie jedynie po to, żeby zauważyć, że dyskusje pomiędzy chruszczowistami i maoistami mogą pomóc włoskim komunistom w znalezieniu ich własnej drogi i w zdobyciu większej samodzielności w odniesieniu do innych wielkich centrów komunistycznej myśli.

Kryzys partii belgijskiej powinien natomiast bardziej nas interesować, z racji roli awangardy, jaką Pekin wydaje się przeznaczać swoim zwolennikom w tym kraju.

Niewątpliwie, partia komunistyczna zajmuje bardzo skromne miejsce w belgijskim życiu politycznym: reprezentuje ją w parlamencie tylko pięciu deputowanych i jeden senator. Jeśli idzie o organizacje związane z tą partią, to, według korespondenta Agence France-Presse w Brukseli, są one zredukowane do bardzo poufnych zebrań. Młodzież komunistyczna miała co prawda swoją godzinę chwały kiedy przyjęła na garden-party zorganizowane przez króla Baudouin. Przy tej okazji reprezentanci tej młodzieży złożyli królowi i królowej Fabioli, petycję, proszącą o interwencję u Franco w sprawie uwięzionych członków lewicowych bojówek.

To mało rewolucyjne postępowanie zostało naturalnie potraktowane z pogardą przez członków tendencji „chińskiej”, którzy zorganizowali się wokół dawnego członka Komitetu Centralnego, Jacques Grippa, zaraz po ostatniej konferencji międzynarodowej (listopad 1960 w Moskwie).

Członkowie tej tendencji zarzucali kierownictwu partii ła-

godność i wyrozumienie w stosunku do polityki koalicji socjalistów — socjalista de Lefevre-Spaak. Konflikt między tymi dwiema tendencjami wybuchnął w kwietniu r. b. na kongresie partii, który wykluczył z brukselskiej federacji partii komunistycznej Grippę i trzech innych kierowników pro-chińskich, i który obrał nowy komitet związkowy po rozwiązaniu dawnego. Następnie miały miejsce bardzo spektakularne połączenia: Henri Glineur, dawny senator i przewodniczący Zrzeszenia Więźniów Buchenwaldu, jeden z założycieli belgijskiej partii komunistycznej, dołączył do federacji „chińsko-albańskiej”, podobnie jak Marthe Huysmans, córka dawnego ministra socjalistycznego.

Niewątpliwie „Czerwony Sztandar”, oficjalny organ partii pro-chruszczowowskiej, usiłuje zminimalizować znaczenie grupy Grippy. Ale ten jest niesłychanie aktywny, zwłaszcza wśród młodzieży, i uzyskał poparcie większości komunistycznych studentów z wolnego uniwersytetu w Brukseli. „Chino-albańczycy” belgijscy posiadają już swoje pismo, nazwane „Prawda”; opublikowali ostatnio 200-stronicową książkę pt. „Marksizm-Leninizm czy Rewizjonizm?”, analizującą na sposób „chiński” politykę belgijskiej partii komunistycznej. Są oni w ścisłym kontakcie z biurem, które Agencja Nowych Chin założyła właśnie w Brukseli w celu łatwiejszego rozprowadzania swoich biuletynów informacyjnych i komentarzy, ukazujących się dwa razy dziennie.

Wynik tego eksperymentu jest trudny do przewidzenia w kraju, gdzie rewolucyjny ruch robotniczy ma bardzo silne tradycje. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że w czasie najbliższych wyborów — przynajmniej w okręgu Brukseli — będą wystawione dwie listy komunistyczne: *moskiewska* i *chińska*. Nie jest również wykluczone, że Jacques Grippa i jego przyjaciele, których znaczenie bardzo się wzmożło po ostatniej podróży do Albanii i Chin, zwyciężą swoich przeciwników.

W takim wypadku w Belgii wytworzy się sytuacja, podobna do tej jaka istnieje w Danii od chwili wykluczenia rewizjonisty Axela Larsena z partii komunistycznej, bardzo silnie doświadczonej wskutek wypadków węgierskich w roku 1956. Larsen stworzył w roku 1958 nową partię, „partię ludowo-socjalistyczną”, która dzięki dynamizmowi swoich kierowników i swojej ideologii podobnej do ideologii nennistów i P.S.U. francuskiej, otrzymała jedenaście mandatów w czasie wyborów w 1960 roku, podczas gdy partia komunistyczna, mająca inwestyturę moskiewską, straciła wszystkie mandaty. Jak wynika z tego, w Danii rewizjoniści odsunęli chruszczowistów; być może, że w Belgii zrobią to samo anty-rewizjoniści.

Co do francuskiej partii komunistycznej to jest ona o wiele mniej dotknięta kryzysem chińsko-sowieckim niż partia włoska. Niewątpliwie istnieją tu grupy pro-chińskie, jak na przykład grupa skupiona wokół pisma „Le Communiste”, wydawanego przez Michel Mestre, który 1 sierpnia r. b. zaproponował przegrupowanie się w celu obrony też chińskich. Pośród wielu bojowych komunistów francuskich, a zwłaszcza wśród młodych, można

zauważyć lekkie sympatie dla Mao, dla jego stylu rewolucyjnego, i pewną niechęć wobec oportunistów Thoreza, opierającego się na oportunizmie Chruszczowa. Z drugiej jednak strony, w miarę jak intelektualiści w francuskiej partii komunistycznej usiłują przemyśleć na nowo problem socjalizmu — skłaniają się, tak jak grupy sformowane wokół pism „Unir” i „Débat Communiste” raczej w stronę rewizjonizmu jak dogmatyzmu. Ponadto kadry partyjne są raczej zadowolone z możliwości ożywienia swojej propagandy: atakują dogmatyzm chiński reklamując się jednocześnie po stronie Chruszczowa jako championi pokoju, zwolennicy pokojowych form socjalizmu i rewindykacji społecznych.

Pewna ilość europejskich partii komunistycznych, a zwłaszcza partie Francji, Holandii i Wielkiej Brytanii, są przede wszystkim wściekłe o to, że Chińczycy chcieliby przenieść „jądro rewolucji” z uprzemysłowionej Europy do niedorozwiniętych krajów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Czy w ich gniewie należy dopatrywać się nieświadomego patriotyzmu europejskiego? Partie, o których mowa, odegrały bardzo ważną rolę w formowaniu się pierwszych kadr partii afro-azjatyckich. Wcale im się więc nie podoba, że chce się obecnie podjudzić przeciwko nim ich dawnych protegowanych. To, na przykład, tłumaczy decyzję partii holenderskiej, ogłoszoną ostatnio przez jej przewodniczącego Paul de Groota, że należy zacieśnić więzy nie tylko z partiami francuską i włoską, ale także z indonezyjską. Groot, w czasie tego samego zebrania Biura Politycznego, w lipcu rb., zaprotestował przeciwko „fałszywej idei Chińczyków, uważających komunistów europejskich za siły pomocnicze dla rewolucji narodowych w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej”.

Jako całość, europejskie partie komunistyczne stają po stronie Związku Sowieckiego, nie tylko wskutek swego rodzaju refleksu prosowieckiego, nabytego z upływem lat, ale także, i przede wszystkim, poprzez solidarność z polityką koegzystencji Chruszczowa, którą kierownicy tych partii uważają za słuszną. Z drugiej jednak strony, należy zanotować, że większość partii komunistycznych Europy Zachodniej, a zwłaszcza partie Anglii i krajów skandynawskich, wkładają tak samo mało zapachu w piętnowanie Chińczyków, jak Wietnamczycy i Północni Koreańczycy w krytykowanie Sowietów.

Pod tym względem postawa komunistycznej partii Francji jest „wzorcową”. Korespondent Agence France-Presse w Helsinkach zawiadomił, że w czasie ostatniego zjazdu fińskiej partii komunistycznej, w kwietniu rb., wszyscy mówcy oświadczyli co prawda że popierają Związek Sowiecki, ale nie powiedzieli nic takiego, co mogło być uważane za naganę w stosunku do partii chińskiej, która nie była reprezentowana. Na tym samym zjeździe siedemnastu spośród delegatów cudzoziemskich partii komunistycznych nie wymieniło w swoich przemówieniach ani Chin ani kierowników chińskich.

Z tej ciszy można wyciągnąć wniosek, że pewna ilość partii zajęłaby chętnie pozycję neutralistyczną, czy zmierzającą do po-

godzenia powaśnionych, gdyby nie znajdowała się pod presją sowiecką. W każdym razie ich kierownicy jawnie unikają jakiegokolwiek gestu, który mógłby ostatecznie zamknąć im drzwi do Chin. W grze jest także osobista sytuacja tych ludzi. Kierownicy komunistyczni Finlandii, posiadający głęboką znajomość zagadnień sowieckich, nie wykluczają możliwości usztywnienia się Sowietów, w wypadku ustąpienia czy śmierci Chruszczowa. Nie wykluczają także zmiany „linii Pekinu”, gdyż w ich oczach (cytuje za korespondentem A.F.P.) „przemysłowy i rolniczy rozwój Chin nie wydaje się dostatecznie solidną bazą dla zapewnienia egzystencji nowej międzynarodowce” — współzawodniczącej z tą której aparat kontroluje i finansuje Moskwa.

Duch neutralizmu — który ma wielu adeptów także i w brytyjskiej partii komunistycznej — ujawnia się najbardziej otwarcie w komunistycznej partii Norwegii. Gazeta tej partii „Friheten” (Wolności) w artykule wstępnym z 24 lipca rb., poświęconym konfliktowi chińsko-sowieckiemu, udzieliła nagany obu partiom, chińskiej i sowieckiej, za nieustępliwość jaką zademonstrowały w czasie rozmów z lipca rb. „Partie komunistyczne całego świata — pisała „Friheten” — mają prawo oczekiwać innego rodzaju przykładów ze strony bratnich partii, których doświadczenie było zawsze brane pod uwagę z zaufaniem i szacunkiem. Należało prowadzić rozmowy w łonie naszego ruchu, bez łamania przyjaźni i solidarności pomiędzy partiami, tak, aby to nie pociągnęło za sobą żadnych skutków w stosunkach między państwami”.

Neutralizm Norwegów, i im podobnych, żywi bez wątpienia dobrze uzasadnione przekonanie, że przedłużanie się sporu chińsko-sowieckiego może przynieść straty ich ruchowi.

Zanotujemy ponadto, że z przyczyn, których nie trzeba wyjaśniać, środowiska komunistyczne są najbardziej osamotnione, najbardziej prześladowane, a więc jak najbardziej podatne dla ekstremistycznej propagandy chińskiej. Tak jest w przypadku partii Stanów Zjednoczonych, gdzie, jak to stwierdził sowiecki „List otwarty”, Chińczycy podtrzymują działalność lewicowej grupy, która nazwała się „Młot i Stal”. Wydaje się, że to samo odnosi się do komunistycznej partii zachodnio-niemieckiej, która żyje w podziemiu i w której łonie zaczynają się tworzyć małe grupy maoistowskie.

III. PARTIE KOMUNISTYCZNE TRZECIEGO ŚWIATA

Sytuacja ogólna

Jak wiemy, partie komunistyczne i rewolucyjne trzeciej części świata stanowią najpoważniejszą stawkę w walce wpływów pomiędzy Moskwą i Pekinem. Wpływ sowiecki jest tu bardzo

poważnie handicapowany niepowodzeniami, jakie poniosły niektóre partie komunistyczne, na przykład partie krajów arabskich, poświęcając, zgodnie z instrukcjami Moskwy, strategię rewolucyjną na korzyść krótkowzorcowych operacji taktycznych i parlamentarnych. Natomiast w takich krajach jak Chile, gdzie komuniści są mniej odizolowani od partii demokratycznych i reformistycznych, kaznodziejstwo chińskie napotyka na opór. Na korzyść Sowietów gra także potęga ekonomiczna Związku Sowieckiego, kontrastująca ze słabością Chin; wykazuje to przykład Kuby, a w pewnej mierze także i Indonezji.

Efektywy partii komunistycznych

	1957	1959	1960
Azja wolna	1.700.000	1.900.000	2.500.000
Afryka	20.000	—	50.000
Australia i Oceania	6.500	—	7.500

Partia komunistyczna Indonezji, posiadająca więcej niż 2.000.000 członków w roku 1961, jest dzisiaj najpotężniejszą partią komunistyczną wolnego świata. Komunistyczna partia Indyj, pomimo rozłamów, powiększyła efektywy z 125.000 w roku 1957, do 300.000 w roku 1961, podczas gdy partia komunistyczna Japonii, posiadająca 150.000 członków w roku 1950, a 41.000 po rewolucji węgierskiej, powiększyła swoje efektywy do 100.000 w roku 1961.

Partie komunistyczne Ameryki Łacińskiej liczą obecnie około 250.000 członków wobec 400.000 w roku 1947 i 200.000 w roku 1957.

	1947	1961
Argentyna	30.000	100.000
Brazylia	140.000	25.000
Chile	50.000	20.000
Kolumbia	10.000	10.000
Urugwaj	15.000	10.000
Wenezuela	20.000	35.000

Przewidywania

Nie ulega wątpliwości że propaganda chińska ma najwięcej szans w Azji i Ameryce Łacińskiej, a nieco mniej w Afryce. Pekin szykuje się do jak najgruntowniejszego wykorzystania anty-yanke-sowskich uczuć oraz potencjału rewolucyjnego tych wszystkich krajów, w których demagogia Związku Sowieckiego jest skrepo-

wana koniecznością nie zaogniania stosunków z Amerykanami, aby nie popsuć widoków na koegzystencję.



Spośród wszystkich partii komunistycznych Trzeciego Świata partia indonezyjska jest poddana najsilniejszemu presjom zarówno ze strony Moskwy jak i Pekinu. Do maja 1963 roku wpływy sowieckie i chińskie równoważyły się. Samo kierownictwo partii podzielone było pomiędzy dwie faksje, z których jedna, pod kierownictwem przewodniczącego partii Aidita skłaniała się na stronę Moskwy, a druga, kierowana przez wiceprzewodniczącego Partii, S. Njoto, jawnie okazywała sympatię dla Pekinu. W związku z tym, aby uniknąć scysji, Aidit stosował politykę „pogodzeniową” jeśli nie neutralistyczną, podczas gdy Njoto podtrzymywał w swoich przemówieniach chiński punkt widzenia, nie tylko w sprawie rewizjonizmu jugosłowiańskiego, ale także w sporze sowiecko-albańskim i starciu granicznym chińsko-indyjskim.

W czasie zebrania w Dżakarcie, w dniu 26 maja rb. poświęconego 43-ej rocznicy partii, można było jednak zauważyć lekki zwrot samego Aidita w kierunku linii chińskiej. Mianowicie zaakceptował on gwałtownie jugosłowiański rewizjonizm Tito, używając słów zapożyczonych ze słownika chińskiego.

Według obserwatorów, powodem tego zwrotu jest wpływ, jaki wywierają na linię partii jej członkowie pochodzenia chińskiego. W Indonezji znajduje się około 3.500.000 Chińczyków, których większość, w wyniku ugody zawartej pomiędzy Pekinem i Dżakartą dwa lata temu, optowała za podwójnym obywatelstwem. Chińczycy ci skłaniają się przeważnie na stronę Pekinu.

Byłoby jednak przedwczesne już dziś uważać Chińczyków za zwycięzców w tym współzawodnictwie. Prasa partii indonezyjskiej, która wiernie odbija wahania kierownictwa, przyjęła w sporze postawę pełną rezerwy, co wydaje się tym bardziej znamienne, że — jak podkreśla korespondent Agence France-Presse — większość dzienników komunistycznych czy postępowych kontrolowana jest przez Chińczyków zza morza. Ci zaś gdyby mogli wyrazić swoje poglądy swobodnie, opowiedzieliby się bez wątpienia za Pekinem. Wszystko wygląda na to, że kierownictwo partii odkłada zajęcie ostatecznego stanowiska do chwili powrotu Aidita z podróży do Moskwy i Pekinu, którą przedsięwziął w połowie lipca rb.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że wynik walki, której stawką jest partia Indonezji, będzie miał decydujący wpływ na los ruchu komunistycznego w całej Azji. Partia komunistyczna Indonezji rozwinęła się bowiem ogromnie w czasie ostatnich czterech lat i jest w tej chwili najlepiej zorganizowaną partią polityczną kraju, która prawdopodobnie wyszłaby zwycięzcą w wypadku wolnych wyborów. Jest to niewątpliwie powodem, dla

którego rząd Sukarno ostatnio ogłosił, że w najbliższym czasie nie będzie nowych wyborów.

Można obliczyć, że liczba wyborców, na których partia komunistyczna mogłaby liczyć, przewyższyłaby 5 milionów. Udało się jej bowiem przeniknąć do prawie wszystkich sektorów społeczeństwa indonezyjskiego, do większości syndykatów, organizacji chłopskich, Związków Kobiet, Młodzieży i Studentów. Partia kontroluje trzy spośród pięciu gazet stolicy o wysokich nakładach (wśród nich znajduje się oficjalny organ partii „*Harian Rakjat*” — „*Dziennik Partii*”) oraz silnie podmyła jedyną narodową agencję prasową „*Antara*”.

Istotny wzrost wpływu indonezyjskiej partii komunistycznej jest bez wątpienia wynikiem polityki Sukarno, który zabronił działalności wszystkich partii politycznych z wyjątkiem partii: komunistycznej, nacjonalistycznej i muzułmańskiej i stworzył z „*Nasakomu*” (Nas — nacjonalizm, a — Agama tj. religia, kom — komunizm) podstawę państwowej doktryny. Równoważnikiem potęgi komunistów jest tylko dobrze zorganizowana armia. Sukarno opierając się na armii ma zamiar prowadzić dalej swoją politykę niezaangażowania, która od wiosny tego roku znacznie oddala się od linii Pekinu, pomimo głoszonej oficjalnie przyjaźni, jaką wywołała na wiosnę wizyta Liu Szao-tsi. To jest fakt, z którym muszą liczyć się kierownicy komunistyczni, jeżeli nie chcą wywołać starcia z armią, co obecnie jest mało prawdopodobne.

Jeśli idzie o japońską partię komunistyczną, to w dalszym ciągu oficjalnie podkreśla stanowisko neutralne w sporze chińsko-sowieckim, czego dowodem jest proklamacja, podpisana 15 lipca, przez członka Komitetu Centralnego, Yojiro Kanno. „Dwie bratnie partie, sowiecka i chińska — oświadczył on mianowicie — przeciwstawiły dotąd zwarty front wojowniczym i reakcyjnym siłom obozu imperialistycznego, kierowanego przez Amerykę. Byłoby dobrze, aby przeprowadziły wszystkie niezbędne rozmowy zmierzające do przygotowania Światowej Konferencji Komunistycznej, której oczekujemy”.

Tym niemniej od czerwca rb. zauważa się pewien wyraźny zwrot kierownictwa partii w stronę pozycji chińskich. Aż do tego czasu oficjalny organ partii przedrukowywał wiernie artykuły wstępne, przemówienia czy listy odnoszące się do ideologicznego sporu, które nadchodziły z Moskwy czy z Pekinu. Ale od czerwca dokumenty rosyjskie są ogłaszane jedynie w formie coraz bardziej skróconej; „*List*” sowiecki z 14 lipca rb. pominięto całkowicie milczeniem. Znany ze swoich prosowieckich sympatii, sekretarz generalny partii, Kenju Miyamoto, praktycznie znajduje się na emeryturze i należy przypuszczać, że na Kongresie partii, który będzie miał miejsce na jesieni, zastąpi go prochiński Satomi Hakamada, który będąc przewodniczącym sekcji organizacyjnej, od pewnego czasu skupia w swoim ręku całą władzę.

Prochińskie stanowisko komunistycznej partii Japonii zo-

stało potwierdzone w czasie Międzynarodowego Kongresu Kobiet. Przewodnicząca delegacji japońskiej, pani Fuki Kushida, wygłosiła na nim, w dniu 24 czerwca, gwałtownie antyamerykańskie przemówienie, które spowodowało wyjście z sali obrad delegacji włoskiej. Zanotowano ponadto zwiększenie się kontaktów pomiędzy partią japońską i innymi partiami komunistycznymi Azji, które w mniejszym czy większym stopniu są w salami Chin. Wspólny komunikat, podpisany 26 czerwca w Dżakarcie, podkreśla solidarność partii japońskiej i indonezyjskiej w potępieniu rewizjonizmu; to sformułowanie skierowane jest nie tylko przeciwko Tito, ale także przeciwko Chruszczowowi.

Jeśli idzie o podziemne partie komunistyczne Malazji, Singapuru, Sarawaku, Brunei i Północnego Borneo, których szeregi składają się prawie wyłącznie z Chińczyków — to od dłuższego już czasu są one pod wpływami Pekinu. Także i komunistyczne gazety Hongkongu są „*maoistyczne*”; oficjalny organ komunistów w Burmie, „*Mandalay Times*”, w numerze z 24 lipca rb. kategorycznie stanął po stronie chińskiego punktu widzenia w sporze.

A zatem poza komunistyczną partią mongolską, tylko partia indyjska stanęła oficjalnie po stronie sowieckiej, w związku z czym jej przewodniczący, Dange, ogłoszony został przez pekiński „*Dziennik Ludowy*” agentem Nehru i imperialistów. Tym niemniej Mao Tse-tung posiada wielu zwolenników nawet w łonie partii indyjskiej. Około 400 z nich aresztowano i ciągle znajdują się w więzieniu na mocy prawa o obronie państwa. Chińska frakcja partii indyjskiej czeka tylko na odpowiednią chwilę, aby wziąć odwet; wzmocnienie współpracy wojskowej Indyj z Zachodem dostarczy jej okazji do usprawiedliwienia swojej nieufnej postawy wobec Nehru i do podjęcia na nowo agitacji przeciwko „*sojuszowi elementów reakcyjnych Kongresu i imperializmu*”.

Partie komunistyczne Bliskiego i Środkowego Wschodu oraz Afryki Północnej odczuwają ciągle jeszcze skutki porażek, poniesionych w ostatnich latach. Fakt, że Moskwa posłużyła się nimi w swojej rozgrywce dyplomatycznej z Nasserem, Kassemem i innymi szefami nacjonalistów — bojowi komuniści tych krajów odczuli bardzo boleśnie i w związku z tym są skłonni odnieść się przychylnie do antyoportunistycznych idei, propagowanych przez Chiny.

W krajach Afryki północnej, a specjalnie w Algierii, sympatycy Pekinu ocierają się o sympatyków Belgradu; titoizm i maoizm wydają się wywoływać w umysłach pewnego rodzaju zamieszanie, w którym można odnaleźć nawet zatechły trockizm. Trzeba na przykład odnotować, że jeden z intymnych doradców Ben Belli, Pablo — pseudonim greckiego komunisty — jest dawnym trockistą. To on właśnie zorganizował ostatnio w Algii

rze „konferencję pomocy nie-rządowej” dla Algierii — pierwsze zebranie o charakterze międzynarodowym, na którym przedstawiciele IV Międzynarodówki obradowali obok komunistów spod znaku Chruszczowa, Tity i Mao.

Komuniści Afryki Czarnej są ciągle w stadium organizacji początkowej, jest więc jeszcze za wcześnie, aby mogli wziąć udział w sporze, którego powody są dla nich niezrozumiałe. Ale wokół ich reprezentantów bardzo zabiegają zarówno Moskwa jak i Pekin; wydaje się, że radykalizm chiński jest im bliższy, zwłaszcza tym spośród nich, którzy brali czynny udział w walkach w Afryce Południowej, czy w Angoli.

W Ameryce Łacińskiej, pomimo wszystkich wysiłków w tym kierunku i pomimo silnego propagandowego poparcia dla castryzmu, Chinom nie udało się ośwładnąć kierownictwem jakiegokolwiek partii. Większość partii komunistycznych na tym kontynencie, a zwłaszcza partie Chile, Kolumbii, Urugwaju, Paragwaju i Meksyku pospiesznie opowiedziały się za tezami Moskwy, zwłaszcza jeśli idzie o koegzystencję. Ale prosowieckość kierowników, z których większość uformowana została w Moskwie, jest tylko fasadą, za którą kryje się wiele wahania i wewnętrznego rozdarcia. Pekin wie o tym dobrze i nawet nie wierzy w długotrwałość zaangażowania Fidel Castro po stronie Chruszczowa — czego dowodem było przemówienie wygłoszone przez Kuo Mo-jo w Pekinie w dniu 26 lipca rb., w czasie zebrania, poświęconego rocznicy rewolucji kubańskiej. W obecności zakłopotanego *chargé d'affaires* kubańskiego, Kuo Mo-jo, wierny przyjaciel Mao, zaatakował gwałtownie Chruszczowa, który usiłuje — jak powiedział — „narzucać złudzenia o rzekomym pragnieniu pokoju przez imperialistów. Ale umysły świadome nie dadzą się na to nabrać”.

Chiny robią wszystko co jest w ich mocy, aby przywłaszczyc sobie castryzm i aby popchnąć go dalej, niż chciałyby tego sam Fidel Castro. Reporter kanadyjski, Gerald Clark, w doskonałej pracy, która ukazała się ostatnio pt.: „The coming explosion in Latin America” — sygnalizuje gwałtowny wzrost wpływów maoistycznych, zwłaszcza u tych komunistów którzy organizowali akty terrorystyczne i powstania w Wenezueli, Peru, Kolumbii, Gwatemali, Paragwaju itd. Istnieje wiele ognisk zapalnych, a Pekin bez wahania dolewa oliwy do ognia.

Ośrodkiem wszystkich dyskusji w komunistycznych partiach Ameryki Łacińskiej jest zagadnienie dotyczące skuteczności i ważności walki zbrojnej. Jeśli idzie o Chińczyków, to nie wykluczając korzyści wpływających z innych form walki, nie ukrywają, że wolą użycie siły. Sowiety zaś, nie wykluczając korzyści wpływających z użycia siły, przedkładają środki pokojowe. Komuniści południowo-amerykańscy usiłują znaleźć syntezę tych dwóch kierunków, przystosowując teorię do warunków

mięscowych. I tak na przykład, Gilberto Vieira, kierownik komunistycznej partii kolumbijskiej, w czasie konferencji partyjnej w lutym rb. powziął bardzo wyważoną rezolucję, w której wiernopoddańczej deklaracji w stosunku do Sowietów towarzyszyły dyrektywy nakazujące bojówkom komunistycznym użycie wszystkich możliwych środków pokojowych, zmierzających do demokracji, a jednocześnie przygotowywanie się na ewentualność walki partyzanckiej.

W łonie partii argentyńskiej (podziemnej) można obecnie zaobserwować pierwsze oznaki tarć pomiędzy zwolennikami tendencji nieugiętej — „chińsko-castrowskiej” — i zwolennikami chruszczowizmu. Na XII Kongresie partii, który odbył się „w podziemiu”, w Mar la Plata, w dniu 22 lutego i 3 marca rb. pod przewodnictwem Codovilli, te dwie tendencje jeszcze się jakoś równoważyły; Kongres przyjął rezolucję podobną do rezolucji partii kolumbijskiej. Tym niemniej, według obserwatorów, rezultat wyborów z 7 lipca rb. był wodą na młyn pro-chiński, gdyż wybory te uświęciły zwycięstwo klas średnich i umiarkowanych i jednoczesną porażkę lewicy peronistowskiej oraz ruchu skrajnie prawicowego „Goryli”. Komuniści spod znaku Chruszczowa liczyli na powolne lecz fatalne pogarszanie się warunków społecznych i ekonomicznych w Argentynie i przewidywali prawie niedostrzegalny bez wystrzału zwrot w stronę komunizmu. Tymczasem, eliminacja tych dwóch czynników polityki chaosu: prężny peronizm i prawicowy totalitaryzm zwolennik permanentnej rewolucji wojskowej, zaprzeczyła tym przewidywaniom. W tej chwili Argentyna znajduje się, być może, w przede dniu konsolidacji, rządów cywilnych, zmierzających do konstruktywnych rozwiązań po linii prozachodniej.

To wszystko wydaje się usprawiedliwiać stanowisko „sino-castrowców”, którzy nie wierzyli w nieuniknione gnicie kapitalizmu i uważali, że jedynie gwałtowna akcja mas robotniczych może przesunąć Argentynę Łacińską do obozu komunistycznego. Wydaje się zresztą, że „les durs” komunizmu argentyńskiego liczą na powiększenie się swoich szeregów w najbliższym czasie, przez przyłączenie się do nich ekstremistycznych elementów peronizmu (tendencja Framiniego, podtrzymywana przez niektóre syndykaty), którzy już teraz w pewnych apelach, pochodzących z kół kierowników peronistowskich, bądź ukrywających się, bądź uciekających, wypowiadają się za akcją sabotażową i wywrotową.

W Wenezueli, stara gwardia partii komunistycznej jest zawsze wierna doktrynie sowieckiej. Ale *nowa fala* komunistyczna, uformowana w podziemiu w czasie dyktatury generała Pereza Jimeneza i wyćwiczona w przygotowywaniu zamachów stanu, w walce partyzanckiej w Sierra de Falcon i w terrorystycznych operacjach przeprowadzanych w Caracasi — jest sercem po stronie walki zbrojnej i stałej rewolucji, zalecanych przez Mao Tse-tunga. Ponadto, większość ruchu lewicy rewolucyjnej, która, tak jak Fidel Castro, odkryła marksizm trochę późno — otwarcie sympatyzuje z tezami Pekinu i skłania się ku pozycjom bar-

dziej bezkompromisowym niż stanowisko partii komunistycznej.

Wpływ maoistowski powiększa się także i w Brazylii, gdzie prosowiecki aparat partyjny, kierowany przez Prestesa, może być zalany *nową falą*. Stalinowcy, usunięci z Partii w roku 1960, przyjmują obecnie tezy Mao Tse-tunga; z drugiej strony marksistowska organizacja rewolucyjna (Politica operaria), założona w r. 1961, grupująca licznych intelektualistów i lewicowych syndykalistów, oddaje się niezwykle aktywnej propagandzie maoistowskiej, nie starając się jednek owładnąć bezpośrednio kierownictwem partii. Ta organizacja ogłosiła ostatnio apel, wzywający do utworzenia *jednolitego frontu lewicy rewolucyjnej*, której ideologia byłaby wyraźnie inspirowana przez Chiny. (Tekst tego apelu był przedrukowany w lipcowym numerze pisma „Voie communiste”, wychodzącego w Paryżu).

Meksykańska partia komunistyczna, hołdująca tradycyjnemu pacyfizmowi, ustawiła się z pewnymi niedomówieniami po stronie sowieckiej. Inne ruchy skrajnie lewicowe, jak na przykład socjalistyczna partia ludowa Toledano i Ruch wyzwolenia narodowego ex-prezydenta Cardenas, tak samo opowiedziały się za polityką Chruszczowa. Frakcja chińska jest tu reprezentowana jedynie przez niewielką liczbę studentów-ekstremistów, którzy nie posiadają żadnego wpływu politycznego.

UWAGI KOŃCOWE

1. W obecnej chwili komuniści sowieccy i ich przyjaciele przeżywają wydarzenia podobne do tych, jakie przeżywali marksiści II Międzynarodówki w przededniu pierwszej wojny światowej. Przyzwyczajony do faktu, że znajdują się na skrajnej lewicy wachlarza politycznego — zostali teraz zaatakowani na swoim lewym skrzydle i wskutek tego zmuszeni są do prowadzenia walki na dwóch frontach.

W roku 1919, wraz z powstaniem III Międzynarodówki leninowskiej, centrum ruchu rewolucyjnego przeniosło się na Wschód, do Leningradu, potem do Moskwy; partie komunistyczne Zachodu były dla niego tylko ramami. Obecnie — i tutaj Mao Tse-tung ma najzupełniej rację — ognisko rewolucji przeniosło się jeszcze bardziej na Wschód — do Chin.

Tę ewolucję można wyrazić po marksistowsku. W istocie ideologia rewolucyjna jest „nadbudową”, odbiciem warunków ekonomicznych, społecznych, kulturalnych i technicznych, które charakteryzują kraje niedorozwinięte, będące dopiero na drodze do uprzemysłowienia.

Partie i ruchy polityczne, na początku rewolucyjne, tak jak socjal-demokracja z pierwszych lat bieżącego stulecia, czy później komunizm sowiecki i zachodni, ewoluują prawie nieuniknieni w stronę postaw reformistycznych, liberalnych i oportu-

nistycznych w miarę jak upowszechnia się kapitalistyczna uprzemysłowienie, albo gdy masy robotnicze zaczynają korzystać ze swoich zdobyczy.

2. Chruszczow i idący za nim szefowie komunistyczni w dalszym ciągu powołują się na ortodoksyjny marksizm-leninizm, gwałtownie protestując przeciwko oskarżeniom ich o rewizjonizm. Ale jeżeli nie w teorii, to w rzeczywistości są oni rewizjonistami; w obecnej chwili znajdują się politycznie w pół drogi pomiędzy marksizmem-leninizmem w stanie czystym, którego broni Mao Tse-tung, a ideologią socjalistycznych partii Zachodu. To Tito pokazał im drogę tego rozwoju. Mao Tse-tung i Enwer Hodża mają rację mówiąc o „titoizmie” Chruszczowa.

3. Zerwanie pomiędzy dwoma skrzydłami komunizmu, uświęcone deklaracją rządu pekińskiego z 31 lipca, ukazało rewolucyjną zmianę w światowej równowadze. Czy się tego chce, czy nie chce, antagonistyczne siły — postępowego kapitalizmu i rewolucyjnego anty-imperializmu — skupiają się wokół dwóch biegunów: wokół Waszyngtonu i Pekinu. Prawdziwy pojedynek rozegra się nie pomiędzy Kennedym i Chruszczowem, ale pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Chinami. Związek Sowiecki, tracąc rozpęd, będzie coraz bardziej spychany na pozycję „trzeciej siły” i w niektórych decydujących sprawach — jak np. sprawa przekazu broni atomowych czy losu Azji, w stosunku do której Chiny chcą być jedyną dominującą potęgą — Chruszczow i jego zwolennicy będą zmuszeni stworzyć wspólny front z Zachodem.

Pekin jest w trakcie stawiania się Mekką tych wszystkich, którzy chcą obalić istniejący porządek rzeczy i zachwiać hegemonią Zachodu. Fakt, że Chiny nie mają bomby atomowej stawia je niewątpliwie w pozycji o wiele gorszej, od członków „Klubu atomowego”. Ale ich bombą — jak wyraził się jeden z *porteparole* Mao Tse-tunga — jest marksizm-leninizm, a więc technika wyrotowa, której skuteczność została dowiedziona; jak dotąd tego rodzaju ciosów Zachód nie umie odparowywać.

François FEJTÖ

(Przełożyła Zofia HERTZ)

Dziennik transatlantyczny

Maisons Laffitte. Słoneczne popołudnie. Wchodzę po raz pierwszy do domu „Kultury”. Ukazuje mi się Giedroyc. Ja się ukazuję Giedroycowi.

On: — Cieszę się, że pana widzę... Ja: — Jerzy, bój się Boga, chłopie, nie będziesz przecie mówił „pan” komuś, z kim od lat jesteś na „ty!”. On: — Hm... hm... a tak... no, cieszę się rzeczywiście, że przyjechałeś. Ja: — Co za domek! Przyjemnie spojrzeć! On: — Dostyc przestronnie i wygodnie, dobre warunki pracy... Ja: — Jerzy, słowo honoru ci daję, wyskoczyłem już na Mickiewicza, to poza dyskusją, ludziom głos się łamie gdy mówią ze mną przez telefon. On: — Hm... ja Mickiewicza nie bardzo lubię...

Józef Czapski przysłuchuje się z uciechą dialogowi naszych odmiennych temperamentów.

Bawię się, ale — wpatrzony w smugę słoneczną na podłodze — wcale się nie bawię. Wstydzę się. Cisza śmiertelna (która u mnie związana jest z dystansem). To tak jak gdybym będąc jeszcze tam, był jednak tu i oglądał coś czego nie mam prawa oglądać... Dostrzegam na nodze stołu maleńką rysę. A więc przepłynąłeś ocean aby to zobaczyć... i wpatrujesz się w nią wstydliwie, rozpaczliwie...

Z Tadeuszem Brezą na śniadaniu.

Z Pawłem Zdziechowskim.

Okropne, szurcze, spotkania... bo wychodzimy z naszego wieloletniego niewidzenia się, jak szurzy ze swoich nor... i usiłujemy nie przyglądać się sobie zanadto, jak nietoperze, jak płazy bojące się światła i kształtu.

W Café de la Paix z Jadwigą Kukułczanką i Jerzym Lavelim, reżyserem „Ślubu”. Cisza.



Nie miałem wiele czasu na przechadzki — przyjaciele dawni i nowi, literaci francuscy, sprawy wydawnicze, tłumacze... — ale w każdym zetknięciu z ulicą paryską szukałem brzydoty... i znajdowałem. Owo doszukiwanie się szpetoty było rodzajem aktu miłosnego wobec Porzuconej (Argentyny) — ale mnie nie tylko szło o to żeby siebie przyozdobić miłością, ja nie traciłem też z oczu, że muszę dać się we znaki Paryżowi...

Wyławiałem defekty cielesne z tłumy, o, patrz, wąż pierś, anemia szyi, zgarbienie, pokręcenie tego tułowia, tragedia tych kończyn... i przyglądanie się ciałom sprawiło, że już spojrzeń nie miałem dla pałaców, kościołów, placów, perspektyw, łuków, mostów, kopuł... Ze specjalnym uporem śledziłem pewien mankament, jakąś nieelegancję tańczącą im wokół nosa, czy ust, nie wszystkim, ale wielu, bardzo francuską. To by jednak było do wybaczenia. Tłum paryski nie jest wcale gorszy od tłumy wielu innych miast, brzydota paryska umieszczona jest głębiej, tkwi w samym ich podejściu do brzydoty, to miasto inteligentne jest miastem szpetoty świadomej. Na avenue de l'Opéra, na rue Rivoli... och, jak siebie znali, za dużo luster, za dużo fryzjerów, krawców i modystek, kosmetyków, och, jak wychylali puchar brzydoty w każdej chwili aż do ostatniej kropli! Widziałem udreńczenie wędających dam, gorycz wycieńczonych młodzieńców-poetów, pracownicą stylizację panów z bródką, rezygnację opasłą brzuchaczy, próby najdziwniejsze wysublimowania się w estetykę za pomocą kapeluszy, nawet parasoli, walka zażarta z brzydotą odbywała się na każdym kroku i na każdym kroku znaczyła się klęską (co mnie zachwycało, gdyż chciałem upięknąć sobie Argentynę). Widziałem niesmak permanentny na twarzach *Messieurs-Dames*, jakby wachali coś nieprzyjemnego i Paryż zalatywał mi neglizmem, tą godziną dnia, o której robimy poranną toaletę, godziną kremów, pudrów, wody kolońskiej, szlafroków i piżam. To by jednak było do wytrzymania. Ale za tą brzydotą kryła się jeszcze inna, o wiele przykrzejsza i polegająca na *wesołości*. To już było naprawdę przykre! Wybaczyłbym im smutek i rozpacz, czego nie mogłem darować ich brzydocie, to iż była zarazem wesoła... zaopatrzona w humor, w *esprit* i *blague!*

Tam, na rogu, podtusiły pryk z uciechą podglądający uda wsiadającej do omnibusu młódki — *tout Paris* rechocze w jego rozanielonej filuterii.

Z przerażeniem patrzę na wydętego kuchmistrza w drzwiach restauracji, który różowymi usteczkami podpuszcza pieprzne *bons mots* Madamie, tak sofistycznej w cielesnym wykrętasie swoim, że prawie zakrawa na labirynt.

A więc oni chcieli jednak cieszyć się życiem...

Te sceny nie wprawiały mnie w entuzjazm i wcale nie miałem ochoty witać ich pełnym uznania *voilà Paris*. Zuzanna i starcy — *voilà Paris!* Odczuwałem (nie ja jeden w tym mieście, nie ja pierwszy) głęboki niesmak na widok brzydoty łakomej. Zmysłowość, która, nie mogąc już wyżywać się nago przezcuciła się w szminkę, gorset — w elegancję — w strój i w maniery — w konwersację i sztukę — w piosenkę i dowcip — ta „towarzystwość”, dzięki której najprzeróżniejsze braki tańcząc ze sobą wytwarzały wspaniały bal — ten *esprit*, który pozwalał podszczyptywać z szarmem — i ta „weselość” okropna, pracowicie wyhodowana w ciągu wieków aby można było używać sobie mimo wszystko... szpetota tak siebie świadoma, a tak roztańczona! I, w tej odpychającej estetyce zawierała się też fatalna naiwność, oparta na iluzji że można zamaskować lata i przenieść się ze swymi uciechami na jakieś wyższe piętro, gdzieby one mogły urzeczywistnić się w innym wymiarze.

Paryżu, myślałem, Paryżu, stary tenorze, zwiędła baletnico, sędziwy figlarzu, jakież jest twój grzech śmiertelny przeciw Piękności? Czy nie ten, że ją zajadasz? *Mais permettez-moi donc, cher Monsieur! Monsieur*, wchodząc w lata, przestaje być *beau garçon*, czyli hojnym, błogo bezinteresownym upiększeniem świata, pięknością, która jest darem... ale czyżby na tym miały skończyć się jego stosunki z pięknością? Bynajmniej! Życie jest w dalszym ciągu pełne czaru! Może on, na przykład, zająć do restauracyjki wybranej z tysięcy i zamówić *Veau à la Crevette Sauce Moustache*, lub *Sauté Veulée Mignonne Aspèrges...* i nawet może poprosić aby mu podano *Fricassée de Jeunes Filles en Fleur* lub *un Beau Garçon rôti à la bordelaise*, potrawy niewątpliwie i smaczne i lekkie!

Metafora kulinarna, której sens taki, że aby konsumować piękność musisz zupełnie z nią zerwać; nie tylko musi ona przyjść do ciebie z zewnątrz, jak na półmisku, ale jeszcze musisz tak wewnętrznie się urządzić by twoja brzydota nie przeszkadzała ci w rozkoszy; i ten zabieg jest czymś tak żalosnym, iż wątpię, aby ktokolwiek na wyższym stopniu rozwoju mógł go dokonać sam na sobie, wymaga on przetrucenia się w zbiorowość, w towarzyskość, współdziałania innych, trzeba naprzód wytworzyć system współżycia, kulturę, gdzieby surogaty piękności, jak *belles manières, élégance, distinction, esprit, bon goût etc., etc.* mogły

zastąpić znikczemniałą nagość. I wtedy, przywdziawszy swannowski cylinder, możesz być smakoszem bez żenady! Wielka, prawdziwa, piękność rodzaju ludzkiego, piękność młoda i naga, została przez Cylindry zepchnięta w posągi, stojące cicho wśród drzew Paryża, i tym to posągom Cylindry przyglądają się ze znawstwem, jakby to był tylko obiekt ich uprawnionej rozkoszy. Otóż, jeśli rezygnacja z piękności własnej jest godna pochwały, gdy wiedzie do czystej kontemplacji, staje się wstrętą, gdy dokonywa się pod znakiem łakomstwa i żądzy. Jeśli coś dla mnie — myślałem krocząc po tych *avenues* — jest nieestetyczne do szpiku kości, to smakosz... to Paryż!

To miasto, rozpuszczające w ustach starawych ambrozje! Chodząc po Paryżu z głową opuszczoną, zgaszony i cichy, myślałem, iż tego tylko brakuje by oni pewnej nocy, zakradłszy się do posągów nagich, poubierali je wedle ostatniej mody, uperfumowali... Diana w toalecie Diora, tak, by było po linii ich *mondanité*, po linii wytwarzania smakowitych namiastek piękności. A jednak, powtarzałem sobie, a jednak piękność prawdziwa jest naga! I człowiek nie może być lojalny wobec tej nagości inaczej, jak poprzez własną nagość — jeśli nie tę, która jest twoim udziałem obecnie, to tę, którą miałeś — a jeśli jej nie miałeś, to poprzez tę, którą mogłeś mieć, gdyż była w każdym razie właściwa twojemu wiekowi.

Ale krawiec ubrał Paryżowi nagość.

Gdy zoczą *une belle femme* wpadają w szały galanterii, ekstaza Cylindrów nie ma granic, on się zakocha i podda subtelnej analizie swe uczucia... ale nie rozbierze się nigdy. Nastąpił podział ról, nagość jest tylko po jednej stronie... nie wiem, czy prawda, co mi opowiadano, że oni do pieśzcot nakładają rękawiczki i, rozbierając gorączkowo *la belle*, sami co szybciej nakładają pantalonny.

Poszedłem na małą uliczkę, rue Belloy, między Avenue Kléber i Place des Etats Unis, żeby zobaczyć dom, w którym mieszkałem przed trzydziestu pięciu laty.

Wracając od Alana Kosko (którego nie zastałem) przeszedłem się po Bulmiszu, żeby odświeżyć wspomnienia.

Naprawdę zadziwia upór, z jakim w ciągu trzydziestu pięciu lat wytrwałem w tej samej reakcji antyparyskiej — wtedy uczucia moje były te same.

Cisza.

Wywiady. Guy Le Clegh zrobił ze mną wywiad dla „Figaro”.

Kolacja z Mathieu Galey, który potem, późną nocą, obwoził mnie po starych dzielnicach. Ma spisać naszą rozmowę dla „Arts”.

Licz się ze słowami! Przecież to dla prasy paryskiej, to ważne! Czy nie lepiej samemu zredagować na piśmie niektóre sformułowania? A w każdym razie poprosić żeby pokazali wywiady przed wydrukowaniem? Nieeeee... Wszystko jedno... Nie... Ciszka.

Telefon od pani Mayaud, że jutro wywiad dla „Expressu” Le Clegh zetknął mnie z Rawiczem, autorem „Le sang du ciel”, który będzie pisał o mnie w „Le Monde”. *Publicité*. Śmierć. Ta sama cisza, zrodzona z dystansu, omotywała mnie kiedyś w Santiago.

Rozmawiam, jestem ożywiony, usiłuję być zabawny i „naturalny”. Przyjęcie u Bondy. Śniadanie u pani Julliard.



Kot zabiera mnie do comtesse Ruby d'Aschott, której siostra (jeśli się nie mylę) jest princesse de la Rochefoucauld. Bagatela!

On twierdzi, że dziś artyści i intelektualści stali się arystokracją Paryża. Gdy dawniej literat starał się naśladować księcia, dziś książę naśladuje literata. Mimo to moje stosunki z Kotem zupełnie się rozkrochmały i poczuliśmy się ze sobą naprawdę u siebie w domu dopiero, gdyśmy odkryli wspólną praprababkę.



A Hector Bianchotti zaprowadził mnie do Luwru.

Tłok na ścianach, wywieszenie tych obrazów głupie, jeden obok drugiego. Czkawka tego nagromadzenia. Kakofonia. Karczma. Leonardo bije się po pysku z Tycjanem. Zez tu wszechwładnie panuje bo, gdy patrzysz na jedno, drugie włazi ci w oko z boku... Chodzenie od jednego do drugiego, stawanie, przyglądanie się, odchodzenie, podchodzenie, stawanie, przyglądanie się. Światło, barwa, kształt, którymi cieszyłeś się jeszcze przed chwilą, na ulicy, tu krzyżując się w rozłamaniu na tyle wariantów włożą ci w gardło, jak pióro flaminga pod koniec uczyty starorzymskiej.

Aż w końcu dochodzisz do świętego zakątka, gdzie króluje ona, Gioconda! Witaj, Cyrce!... równie pracowita i zatrudniona, jak gdy cię oglądał ongiś, niezmordowanie przemieniająca ludzi, nie w świnię wprawdzie, a w cymbałów! Przypomniało mi się

przerażenie Schopenhauera na myśl o wieczystości mechanizmu, mocą którego jakieś tam żółwie wylazą corocznie, od tysiącleci, z morza na jakąś tam wyspę żeby złożyć jaja — i corocznie zostają pożarte, po złożeniu jaj, przez dzikie psy. Codziennie od pięciu wieków gromadzi się przed tym obrazem tłumek aby doznać kretyńskiego rozdziawienia gęby, ta sławna twarz codziennie ogłupia im twarze... pstryk! Amerykanin z aparatem fotograficznym. Inni uśmiechają się pobłaźliwie w błogiej niewiedzy, że ich kulturalna pobłaźliwość jest niemniej głupia.

W ogóle głupota przewala się po salach Luwru. Jedno z najgłupszych miejsc świata. Długie sale...

Czterdzieści tysięcy malarzy w tym mieście, niczym czterdzieści tysięcy kucharzy! Wszystko to dłubie się w piękności. Fabrykacja jej na płótnie wyrafinowanymi palcami zezwała im na umyślną, zdawałoby się, pielęgnację brzydoty w sobie, nierzadko stylizują się na potwory, mające piękno li-tylko w końcach palców. Wchodzi się w to malarstwo, jak w zboczenie na wielką skalę, jak w gigantyczną maskaradę, gdzie sztuczny twórca tworzy sztucznie dla sztucznego odbiorcy przy akompaniamencie marszandów, snobów, salonów, akademii, bogactwa, luksusu, krytyk, komentarzy, gdzie zarówno rynek, jak podaż i popyt, tworzą systemat oderwany, oparty na fikcji... i cóż dziwnego, że Paryż jest jej stolicą?

Modelka, rozbierająca się dla malarza, to odpowiednik kobiety, ubierającej się u Dora czy Fatha. Obie za chwilę przestaną być nagie. Nagość jednej stanie się pretekstem dla sukni. Nagość drugiej wsiąknie w obraz. Jedna stanie się „elegancka”. Druga będzie „sztuką”.



Odkąd przyjechałem do Paryża, dziwne rzeczy jęły dziać się we mnie w związku z Sartre'm.

Ja, w Buenos Aires, od dawna go podziwiałem. Sam z jego książkami, mając nad nim wszystkie przewagi czytelnika, gdy mogłem go załatwić jednym wydęciem warg, musiałem przecie bać się go, jak się lękamy kogoś silniejszego. Ale w Paryżu stał mi się wieżą Eiffla, kimś przerastającym całość panoramy.

Zacząło się od tego, iż — przez ciekawość — postanowiłem zbadać o ile intelekt Francji przyswoił sobie sartrowski egzystencjalizm... i naprowadzając rozmowę na Sartre'a sondałem dyskretnie literatów i nieliteratów w tym co się tyczy ich znajomości *L'être et le néant*. Badania dały dziwne rezultaty. Przede wszystkim wyszło na jaw (i to nie było dla mnie niespodzianką) że w głowach francuskich tłukły się i błąkały owe idee,

ale w stanie larwalnym, zacerpnięte skąd się da, przeważnie z jego powieści i teatru, coś zgoła mętnego, fragmentarycznego, dotyczącego przeważnie „absurdu”, „wolności”, „odpowiedzialności”; ale było jasne, że *L'être et le néant* jest dziełem we Francji prawie nieznanym. Owszem, myśli jego grasowały w głowach, ale luzem i jak gdyby okaleczone, porąbane, porozrywane na kawałki, niejako zdziczałe, okropne i niesamowite, powodując nadwątlenie, podminowanie, dotychczasowego myślowego porządku... Ciekawsze o wiele były dalsze wyniki badań. Uderzyła mnie niechęć, z jaką o nim mówiono, ba, nie niechęć może, a jedynie coś w rodzaju skłonności ubocznej do zamordowania. Sartre? No, tak, naturalnie, tylko że on się „tak powtarza”. Sartre? Ależ tak, tylko, że to dzień wczorajszy... Powieści? Dramaty? „To właściwie ilustracja jego teorii”. Filozofia? „To tylko teoria jego sztuki”. Sartre? Oczywiście, ale za dużo już, po cóż on tyle pisze, przy tym brudas i nie jest poetą, zresztą polityka i właściwie już jest wykończony, Sartre, wie pan, już się skończył na wszystkich frontach.

To mnie zastanowiło... W podziwieniu naszym dla artystów nie mało jest z ciotczynej dobroci, która chwali malca żeby go nie zmartwić — po prostu artysta potrafił wkupić się w nasze łaski, posiadał naszą sympatię w tym stopniu, iż jesteśmy szczęśliwi mogąc go podziwiać — a niepodziwianie kosztowałyby nas zbyt wiele. Widać to wyraźnie w stosunku Francuzów do Prousta, którego nawet w trumnie karmi się słodyczami — on ich sobie zjednał. A Sartre jest bodaj jedynym ze znakomitych artystów, współcześnie mi znanych, który osobiście jest zniechęcony. Kimże w porównaniu z sartrowską górą rewelacji jest taki argentyński Borges, cienka zupka dla literatów? Ale z Borgesem oni się cackają, w Sartre'a walą... czy tylko wskutek polityki? To byłaby małostkowość nie do wybaczenia! Małostkowość? Czyżby więc nie polityka, a po prostu sama małostkowość leżała u spodu tej animozji? Czy nienawidzi się Sartre'a, bo za duży?

Bieg moich myśli w Paryżu był przypadkowy, chaotyczny, a też przeniknięty szczególną krańcowością... w następstwie przypadkowego zestawienia Sartre'a z Proustem, cała Francja rozpadła mi się na Prousta i Sartre'a. Kiedy wybrałem się któregoś dnia z pobożną pielgrzymką (ja, urodzony anty-pielgrzym!) przed okna sartrowskiego mieszkania na tym placu obok Deux Magots nie miałem już wątpliwości iż oni wybrali sobie Prousta przeciw Sartre'owi. Tak, wybrali restaurację *Du côté de chez Swann*, gdzie podawano finezyjne frykasy, przyrządzone przez kuchmistrza, który, sam będąc smakoszem, umiał zachęcić do delektacji. Opowiadano mi kiedyś, iż kucharze wysokiej klasy zwykli zabijać indyka powoli, szpileczką, albowiem mięso staje się wtedy smaczniejsze

— no więc, wracając do Prousta, nie będę negował mu tragizmu, surowości, nawet okrucieństwa, ale wszystko to, jak owe męcznie indycze, jest jednak do zjedzenia, zawiera w sobie gastronomiczną intencję, pozostaje w związku z półmiskiem, jarzynką i sosem... A po drugiej stronie, *du côté de chez Sartre* była najbardziej kategoriyczna od czasów Kartezjusza myśl francuska, o wścieklej dynamice, rozwalająca im ich smakowanie... Stój! Co to? Dwóch czy trzech chłopców, dwie dziewczyny, gromadka kipiąca żartem, rozbawiona, Francja uroczą, i młoda, i nadająca się do nagości, wdziera mi się w medytację, przechodzą przez placyk, giną za zakrętem — mnie w tym momencie Sartre jakby zabolął, poczułem, że on ich rujnuje... ale, gdy zginęli mi z oczu, gdy znowu ujrzał przed sobą *Messieurs-Dames* w wieku gastronomicznym, pojąłem, że dla tych nie ma zbawienia poza Sartrem. On był energią wyzwalającą, jedyną która mogła wyrwać ich z brzydoty — więcej powiem, brzydota francuska przez wieki narastająca w mieszkankach, za firankami, pośród bibelotów, i nie mogąca już siebie znieść, wydała Sartre'a, groźnego Mesjasza... on jeden mógł im rozwalić restauracje, salony, cylindry, galerie, kabarety, felietony, teatry, dywany, szaliki, obrócić w perzynę Luwr, Champs Elysées, i posągi, i Place de la Concorde o zachodzie słońca! I Bois de Boulogne! Nie było dla mnie gorzące, przeciwnie, było godne uznania, że ta filozofia poczęła się we Francuzie nieurodzonym, a o tak namiętnej artystycznej wrażliwości, któż bardziej, niż on, miał prawo zażądać wycofania się poza obiekt, poza ciało, poza „ja” nawet, w sferę *pour soi*, tam gdzie jest się dla siebie? Wprowadzić Nicość w człowieka — ależ to wiedzie także do oczyszczenia się z brzydoty!

Sartre, nie Proust! Bezsilność Prousta w porównaniu z twórczym natężeniem Sartre'a! Jakże oni tego nie dostrzegli! Połowa jego dedukcji z *L'être et le néant* jest dla mnie nie do przyjęcia, nie godząca się z moim najszczerzym życiowym doświadczeniem, i jestem przekonany, że jego „cogito” nie może się ostać w swoim absolutyzmie, wbrew swej jedyności domaga się jakiejś innej dopełniającej zasady, równie fundamentalnej a antynomicznej — gdyż wyraźnie widać że w swoim zastosowaniu konkretnym ta myśl grzeszy okropną jednostronnością, to wygląda, jakby dwulicowemu bogu odebrano jedną twarz, to połowa prawdy. I Sartre, jako moralista, psycholog, esteta, polityk, jest dla mnie tylko połową tego co by być powinno. (Czy jednak mam dodać, ignoranci, że ja również nie znam dobrze Sartre'a, że mimo podziwu, nie przeczytałem wszystkich jego rzeczy, że w *L'être et le néant* są rozdziały, które przejrzałem jedynie?) Jest pewne, że to on właśnie wywała zamknięte drzwi, nikt inny. Co w Prouście, co w całej literaturze francuskiej jest dalszym ciągiem, ale

już bliskim końca, to w Sartrze przybiera charakter początku, jest startem. I jeśli w Prouście świadomość jest wciąż łakoma (ale jakaż to degrengolada w porównaniu z Montaignem!) to w Sartrze odzyskuje dumę siły stwarzającej.

Ja, Polak... ja, Argentyńczyk... Słowianin i Południowy Amerykanin... literat zgubiony w Paryżu i spragniony żąda by się dać we znaki... ja, smętny kochanek zagubionej przeszłości... szukałem przymierza z Sartre'm przeciw Paryżowi. I kusiła mnie ta sztuczka żeby nagle wywyższyć i wyodrębnić im kogoś skatalogowanego!



Nie atakuję Paryża z innej strony i ograniczam się do piękności w moich z nim porachunkach; może dlatego, że jestem jednak poniekąd artystą; może, iż tkwię jeszcze w bolesnej, bo porzuconej, tamtej piękności, zaoceanicznej; może i dlatego, że piękność to argument *dotkliwy*.

Ale o jaki kult nagości mi chodzi, gdy mówię, że Paryż zatracił nagość? Czy mógłbym to bliżej sprecyzować?

Nie wymagam od nich aby prostodusznie uwielbiali ciało, naturę, naturalność i nie żądam by wyśpiewywano hymny do nagusów.

Ale wymagałbym od człowieka, aby w nim żyła (choćby był potworem) idea piękności gatunku ludzkiego — tego niech nie zapomina. „Należą do rasy, która mnie zachwyca”. „Uwielbiam piękność świata poprzez piękność człowieczą”.

Dlatego jest ważne, bardzo nawet ważne, abyśmy nie zrywali w sobie nigdy z okresem wieku ludzkiego, w którym piękno staje się dostępne — to młodość. Jakakolwiek bowiem piękność, uzyskana w starszym wieku, będzie zawsze pięknością niepełną, skażoną brakiem młodości. Oto czemu piękność młoda jest pięknością nagą, jedyną, która nie potrzebuje się wstydzić.

I ktoś stale zespolony z młodością nigdy nie polubi stroju. To jest fundament mojej estetyki. O tę niechęć do stroju mi chodzi. Dlatego nie pogodzę się z Paryżem, który młodość zlekceważył.

Witold GOMBROWICZ

Strachy

W nocy z 26 na 27 kwietnia w roku 1928 spadł „deszcz krwi”. Wczesnego rana, dzień zapowiadał się pogodny, ale słońce świeciło jakby za śrężogą, czerwone i przysłonięte rdzawym welonem. Ulice, chodniki, gałęzie drzew, parkany, gzymsy pokryte były cieniutką warstwą, warstewką czerwonego kurzu. Delikatny pył, kiedy przejechać było po nim palcem po występie murów, zostawiał na nim ślad czerwonego nalotu.

„Czerwony deszcz” przyszedł od wschodu. Poznać to było po tym, że pył ten uczył się chropowatości murów, tynków, ścian od strony wschodniej. Gdzieś z dalekiego wschodu, od niezmiernych przestrzeni, stamtąd gdzie wschodzi słońce w zimnym blasku poranków, z dalekich przestworów przyszedł ten duch, dmuchawica niezmiernych łądów. Niosło chmurę tego pyłu, po nocy, konał ten wiatr nad dolinami, czepiał się czubów drzew, siał delikatnym pyłem, pudrem i cieniutkim piaseczkiem, i osiadał, czepiał się przedmiotów, domów i drzew i naznaczał je i podkolorowywał z tej wschodniej strony.

Z dnia na dzień zrobiło się niesamowicie. To prawda, że nic się nie stało, wszystko szło swoim kołowrotem. Ale czerwone powietrze i zapyłone ściany, wyniosłe mury, dachy i gzymsy okien patrzących na wschód były tym pyłem ubrane jak w cień złowrogi.

Palcem przejechać po gzymsie to zostawiał czysty ślad. Można było podpisać się tym białym śladem, można było podpisać jak diabelski cyrograf, i zamiast zasypać go piaskiem jak z piasecznicy można było, odwrotnie, zdmuchnąć i zatrzeć go, tak leciutki, nietrwały był ten pył. Myślałem sobie, przyjdzie prawdziwy deszcz i zmyje go i nie zostanie śladu. Myślałem, przemijanie, jak przemijają tyle innych rzeczy, które na początku wydają

się niesamowite i straszne. Bo jak wszystko co jest niezwykłe, niecodzienne, ten „czerwony deszcz” był straszny.

Strach, ten sam strach który czai się w pustych domach, strach odludzi, strach rozstajnych dróg w gorące lato, strach przed Południcą, strach który nami owłada kiedy zimną jeży się sierść na leżącym u naszych stóp psie, kiedy podnosi zatrwożony pysk ku czemuś co stało nocą u drzwi domu. Strach trywialny, kiedy zatłucze żywirem, znikąd, w okna naszego domu, strach wywołany psikusami „polstergeistów”. Strach przed drewnianym wnętrzem wagonu towarowego, strach, strach, strach...

Strach, to jakby gniew czyjś przeciwko naszemu zasiedzeniu się w codzienności, w kwiatyżmie, w obłoczku porannym śniadania z kawusią i bułeczkami. A przecież owo niewytłumaczalne, ów strach przed sprawami niebывałymi które nagle pojawiają się i dzieją wpośrodku naszego normalnego życia, to przez to samo że się nagle stały, odbyły, przez to samo powinny włączyć się w ową uspokajającą codzienność. To raz. A po drugie powinno się do nich odnosić, co by tu wymyślić? powiedzmy tak jak na strzelnicy, kiedy strzela się do nagle pojawiających się i znikających figur. Trzeba być tylko na nie przygotowanym, tak jak na strzelnicy, kiedy przed kulochwytem wyskakują maszkarę, aby przedrzeć się z nami na odległość. Leżeć tak jak na strzelnicy, z lewym okiem przymrużonym, z palcem na cynglu. Tu, tam, ówdzie wyskakują, odmieniają się tarcze, figury i biję w nie, roznoszę w strzepy, przywracam do stanu właściwego. Sympie się z nich pył i trociny. Tak by się wydawało...

Najstraszniej jest kiedy na świeżo, kiedy pierwszy raz, kiedy nagle, zniemacka wychynie coś z czeluści świata i skoczy nam do twarzy pierwsza, nigdy przedtem nieznaną, potworną, nie do zniesienia, bo nigdy przedtem nieznaną, oczywistość. A że oczywistość to dlatego że przychodzi także straszne, dziwaczne wrażenie że jak gdybyśmy to już znali, jak gdybyśmy to już kiedyś przeżywali. Nie było tego nigdy z nami przedtem, przeraża nas to i zadziwia, ale jak przychodzi to szeregują i patrzą w nas doświadczenia dotychczasowe. Uparty paradoks, chytry absurd sprawia że w tym omamieniu wydaje się nam że to już było.

Ale potem to już idzie całkiem gładko. Potem to już jest znacznie łatwiej i nie strasznie. Nazbierać tylko sobie, uskładać mały zapasik jednakowo pulsujących wspomnień, kiedy odbija się w nas echo drobniotkich, takich samych, już słyszanych głosów, jakże już znanych, rodzinnych i znajomych. Już zasadziliśmy wokół siebie ogródek, choćby nawet kolczastych krzaków, szalejów, piołunów i lulejów i już jest swojo i już powtarza się. Popukać naokoło, ten sam stuk odpowiada, zaleci tym samym zapachem, zakręci w głowie znajomym czadem, zatykocze w gło-

wie ta sama automatyczna maszynka wspomnień, nasz własny gramofon zazgrzyta w głowie, gdzieś w tyle jej mózgu pękniętą płytą.



Wchodziło się naprzód schodami na wysoki parter. Stąd dwie kondygnacje schodów prowadziły na górę i w dół, w połowie zatrzymując się na mezzaninach. Nasz mezzanin był w połowie między parterem i suterrenami. W korytarzu było ciemno, drzwi malowane na brudny biały kolor, blaszka z guzikiem dzwonka elektrycznego, i tych drzwi i terkotu dzwonka elektrycznego można było nauczyć się na pamięć, w ciągu krótkich sekund, kiedy czekało się pod drzwiami, ale tych oczekiwań było wiele setek w ciągu roku, cała wieczność. A potem był wążutki przedpokój, drzwi na prawo do klozetu, drzwi na lewo do kuchni i na wprost do pokojów. Okna kuchni i pokojów wychodziły na podwórze, kwadrat betonowy, i z trzech stron wznosiły się ku górze mury domu z ich oknami i galeryjkami, aż gdzie był okap dachu. Z czwartej strony był dosyć wysoki mur sąsiedniej parceli jeszcze niezabudowanej, dzięki czemu nawet nasz najniższy mezzanin miał trochę światła.

Tylko dalej, poza murem, widać było szczyt ślepego muru sąsiedniej kamienicy, z surowej cegły mur, w którego jednostajnym deseni kładzionych cegieł jakiś nostalgiczny majster, już na zakończenie roboty ułożył cegłę innego gatunku, wiśniówki czy jakiejś tam, położył je w kształt niepewnych, przypadkowych prawie znaków zodiaku. Wiele razy patrzyłem w te znaki zodiaku. Przypadkowość zamyślał się nad przypadkowością tych znaków...

Smutne dni widziane z czeluści tego mieszkania. Zapachy kuchenne, na zawsze przyklepłe do murów. Biedne światła korytarzowe, rutyna codziennego kupowania wiktualów w sklepie korzennym mieszczącym się od frontu w tym samym domu. Ci sami mieszkańcy, których się nie znało, troglodyci czający się w swoich jaskiniach, mijani na schodach, w bramie, ich twarze pochwycone w oknach za szybami. Każde z ich mieszkań dołączające swoisty zapach do chóru składającego się na ich symfonię. Codzienność dobijająca się uporczywie, zawsze tym samym szurem miotły stróżowskiej, klekotem tych samych gratów, baniek, te same skorupy szkła na dnie podwórza, ten sam kurz i brud osiadłe na ścianach przejść. I poręcz schodów, z pozaginanej mosiężnej rury, mosiądz nie pucowany od lat, matowy i ciemno-żółty. Dom jak osobny świat stężały i martwy, swą zamkniętą przestrzenią.

Szyby okienne, bezduszne i samolubne, ich tafle, zakurzone i zapłakane na sucho z zewnętrznej strony. Jak przytulić do nich nos to mają swój szybowy, dziwny, nieprzyjemny zapach. Połuszczona farba ram okiennych, szary od starości sznurek stopy jak stryk domowego wisielca. Ściany pokoiów malowane w tapetowy deseń. Kuchnia, spartańska kuchnia z jej kaflowym piecem i czarnymi od gazu i węgla częściami metalowymi. Drzwi kuchenne wychodzące na balkonik. Skrzynia na węgiel i z jej szapr wysupłujący się nieprzyjemny pył węglowy. „Klucz” od strychu gdzie zawsze istnieje możliwość że skradną bieliznę, „klucz” od piwnic, gdzie w prywatnej przegrodzie „tona” węgla, węgiel ciągle „idzie w górę”. Te same uparcie wariackie, niewłaśne meble, mieszkanie jest niewłaśne. Parawanik japoński z trzciny z powsuwanymi weń wachlarzami z patyczków. Widoczek Innsbrucku naklejony na płaskiej stronie szklanej soczewki i ten tyrolski widoczek jest skarykaturowany w tym szkłe. Rożki sarnie nad drzwiami. Kołdry na łóżkach. I nuda, niedzielna, załagająca mieszkanie jak hydra, jak zwoje pytona, nuda tak wściekle dojmująca i zajadła że wydaje się że można taką abstrakcję zobaczyć na jawie, pomacać. I podwórko i niebo widziane z ukosa, niebo z którym jestem skłócony i dlatego nawzajem patrzymy na siebie na bakier.

Ale. Ale może wydać się to dziwne, a jednak można w takim świecie tak sobie uszeregować impulsy, zachcenia, marzenia, że nie dowiera, nie razi. Obramia się sobie, szlifuje odbijający inny, wymyślony, własny kształt i zapatrzenie się. I wtedy godzi się z tym i nie ma się zachcianek innych ani ciągot. Ręka ślizga się po poręczy wstrętnej mosiądzu nie dotykając jej, wzrok spływa po brudnych ścianach, myśl przebija mur jak elektron, waży się coś w mózgu i to ma taki ciężar własny, że dom nokoło jest jak wnętrze wydmuchanej z gliceryny bani.

Tylko wieczorem zamglony księżyc skacze po dachach zalamujących się na niebie w krajobraz i patrzy ku mnie głupie, niekompletne, nieudane, straszne znaki zodiaku.



Na jakiejś stacji węzłowej miałem przesiąść się raz jeszcze. Już było po nocy, dobre rano, ale w cieniu hali dworcowej było nikle i jak w tunelu i bardzo pusto. W tej pustce widziałem jedynie grupkę ludzi którzy widocznie także przesiadali się do innego pociągu. Przy wielkim zmartwieniu jakie miałem wtedy, chciałem od niego odbiec i wyostrzyłem sobie nagle zmysły na uwagę i dociekanie zewnętrznych rzeczy, toteż tych ludzi zapamiętałem sobie na zawsze. Dlatego może że byli inni, i dlatego

właśnie że byli tacy jakich jakbym się spodziewał. To była jakaś trupa cyrkowa czy wodewilowa i wszystko co ich dotyczyło było oczywiste i zrozumiałe, tak zrozumiałe przez tę oczywistość aż zabawne. Był dyrektor, kierownik tej grupy, tęgi pan w jakimś płaszczu, ulsterze, skrojonym ze znakomitej choć przybrudzonej teraz imitacji wielbłądziej sierści. Miał worki pod oczami, był wygolony i w ustach, w wargach koniecznie mięsistych miał cygaro, bo jakżeby inaczej u dyrektora cyrku. Była taka lafirynda, wyfiokowana i w czymśiastam, fokach, piżmowcach? i para jakby bliźniaków, w jednakowych kratkowanych szalach, i był karzełek, wspinający się na palce i zadzierający brodę dużej, zadużej głowy i drobnym kroczeniem podkreślający swą godność człowieka. I był także facet, pewnie siłacz tej grupy i drugi o pomarszczonej twarzy kłowna incognito. I trzymali się razem, zde gustowani światem, który wyzdurał sobie nagle, inne, rzekomo ważniejsze sprawy i pojawili się wśród tego jakby nietaktownie i jakby chcieli ten nietakt pokryć pewnością siebie. Olbrzymia hala stacji była pusta jak sala cyrkowa o niewykupionych miejscach, namiot pusty w którym znalazłem się nieoczekiwanie jedynym gościem. Toteż patrzyli na mnie jakby ze złością, patrzcie, jeden taki wygłupił się i nabrał, że wariat, że jak świat cały ich zlekceważył to ten jeden został ażeby było na kim skrupić złość i zادیor.

I nagle wydało mi się że to ja zostałem jedynym błaznem na tej olbrzymiej scenie-arenie, błaznem obnoszącym się ze swoim błazeńskim nieszczęściem. Ci z profesji, stare wygi i wyjadacze od razu poznali we mnie amatora. Amator to taki co bierze błazeństwo i tragedię na serio. Bo te „śmiej się pajacu” to przecież także znany chwyt na publiczke, te tragedie kłownowskie, poliszynelowskie, to chwyt na podejście przeciętniaków. A tu ten facet, to znaczy niby ja, bierze to na serio.

Węchem, starym nawykiem poznali mnie od razu, poznali z marsa na czole, z niewyspanych oczu, z płochliwości uciekniara, kiedy kresą kapelusza nasuniętego na czoło, na oczy, chce zasłonić się od spojrzenia innych, ukrywa, chowa się ze swoim nieszczęściem, ale mu się to nie uda. Znalazłem się wśród błaznów, poznałem ich zaraz ale zaraz i oni mnie poznali.



A innym razem prowadzili mnie pośpiesznie znajomą ścieżką, w straszną, dującą śniegiem lodowatym zimę. Dęło śniegiem, sunęło nim po szczybach grud, przysypywało nim grzbiety ziemi, ziemi niczyjej tylko zimna, mrozu i pustki. Tą ścieżką doprowadzili mnie do wykopu, którym szła linia kolejowa. Domyślałem

się jej więcej niż widziałem. Tylko z bliska zaśpiewał i zabręczał słup telegraficzny, twardy i poroższywany wzdłuż szczelinami pęknięć. Śnieg, pył śniegowy uderzał weń i obrzucał ostrym miotem. Słup telegraficzny, twardy, znikający gdzieś w górze w zadymce, drzewo jego tragiczne jak drzewo krzyża, drzewo hańby i męczeństwa, znak tragiczny pomiędzy terażniejszością i wiecznością.

O bladym półdniu zimowym przywiedli mnie do niego. Zdarli mi z ramion koszulę i w przegubach skrzyżowane ręce okręcone sznurem przywiązali wysoko u drzewa, aż rozległo się trrrraaaaaach! nierównej salwy.



Ile to? dzień, dwa dni temu? szliśmy o wieczorze parkiem.

Park to odgrodzona połąć ziemi, którą pocięto ścieżkami, ponaszano w grupach krzaki i zarośla, wycięto tu, przyszczyżono tam, tu zniwelowano a tam zostało zdrenowane. Park jest miejscem gdzie idą ludzie w chwili wolnej, rodzina, tato, mama, dzieci, wujenka, do parku wyrывa się student który oblał egzamin, paczkę szczeniaków tu przyniosło, dzieci drapią nawierzchnię ścieżek w NIEBO i PIEKŁO. Do parku wynoszą ludzie swoje myśli i wyczesują je tu jak łupież z głowy, nad parkiem niebo i chmury się przeganiają, wpośród trawy wyskoczą w mokości wiosny sasanki, a zwiędte, zeszlóroczne liście leżą pod zwisającymi gałęziami drzew. Oszukuje nas ten park, bo jakby dziczyna i osamotnienie, ale nie, bo i ścieżka wygracowana i przyszczyżony szpaler i ławki chropowate, raszpłowate od szarości i pokrajane syczorykiem w inicjały i hieroglify, i gdzieś zawsze ku pamiętce czegoś pomniczek, wodotrysk, i pawilon i cieplarnia. Kryją to wszystko drzewa dachem dziurawym i prętowym dającym cień pleśni.

Tego wieczora w parku było pusto, zupełnie pusto, tylko my dwoje. I szliśmy tym parkiem, zapomnianym parkiem, który leżał pochyło w dół i ciągle w dół, i byliśmy zupełnie sami. Wieczór ciągnął się leniwie i długo i nieskończenie. Wydawało się potem że noc tam nigdy nie nadeszła, że gdzieś tam nad jakimś pobożowskim Jozue wstrzymał słońce w zenicie, a myśmy tu zostali zapomniani w tym stojącym, zatrzymanym półzmroku, rudym zmroku, śreżodze i zostaliśmy sami i już.

To było wiosną, ciepło już było pokażne, ale nic się jeszcze w tej ziemi nie ruszyło, nie drgnęło, tylko takie wyczekiwanie, tępe wyczekiwanie, niezrozumiałe, jakby ze wstrzymanym oddechem. I tylko żeby temu nadać niesamowitości to światło, kolor rudy starych liści, kory, czerwony o zmroku kolor jak zaschła

kręć pomieszana z pyłem ceglany, pulsował, jakby na znak, jakby na odpowiedź gdyby zapytać gdzie ta wiosna.

Szliśmy obok siebie w dół, łagodną pochyłością, ciągle w dół, niebo nad nami jakby z mlecznego szkła, ale nie tafla, nie broń Boże kopuła, ale niebo niskie, mlecznofioletowe. Wyciągnąć rękę to można by tę fioletowość lekceważąc podrapać paznokciami.

W ciągu całego wieczoru jaki tam spędziliśmy w tej dziwnej godzinie zmroku, wpośród gałęzi drzew i krzaków parku odzywały się, grały, kłaskały ptaki. Nie widzieliśmy ich ale przez cały czas naokoło rozlegał się ich kłamor i klangor, chór, ustawiczne skandowanie czasu. Nie wiem do teraz co to były za ptaki, jakie to ich gatunki tą wiosną nawoływały się po nocy. Ten kłask ich ustawiczny do teraz wyraźnie słyszę. Ich bulgot, gędźbanie, klekot dobiega mnie uparcie po latach, jak strach.

Zygmunt HAUPT

Czarownica z Coös

(Wolny przekład z Roberta Frosta)

Zatrzymałem się na farmie za górą, na farmie w której żyła matka z synem, staroświecka ich para. To oni głównie mówili.

MATKA. Ludzie myślą że czarownicę co to potrafi kumać się z duchami w zimowy wieczór, a tego nie robi, powinno się spalić czy spłacić. Przywoływanie duchów to nie „entliczki, pentliczki, czerwone guziczki”, ja chyba coś już o tym wiem.

SYN. O, Matka to sprawi że zwykły stół stanie dęba i będzie wierzał jak juczny muł.

MATKA. Nawet żeby potrafiła to i na co to zda się? Zamiast robić sztuki ze stołem wołę opowiedzieć co mi raz rzekł Czarownik Siouxów, Ralle. Mówił mi że zmarli mają dusze, ale kiedy go zapytała jak to być może — przecież zmarli to są właśnie dusze, przekonał mnie. Czyż nie wydaje się czymś podejrzany, że zmarli coś kryją przed nami? Tak, jest coś co zmarli przed nami ukrywają.

SYN. Chyba mu Matko nie powiesz o tym co mamy na poddaszu?

MATKA. Kości — szkielet.

SYN. Ale łóżko Matki zastawia drzwi wiodące na poddasze: a drzwi zabite są gwoździami. Nie robi ono żadnej krzywdy. Matka słyszy czasem jak po nocy, staje ono w rozterce przed tą zaporą z drzwi i łóżka. Chce ono wrócić do piwnicy, skąd się wzięło.

MATKA. Nigdy nie dopuścimy do tego, prawda synu! Nigdy!

SYN. Opuściło tę piwnicę czterdzieści lat temu i jak stos talerzy niosło się w górę, z piwnicy do kuchni, schodami, schodami z kuchni do sypialni i stamtąd na poddasze. Prosto, mimo rodziców i żadne z nich tego nie zatrzymało. Ojciec był wtedy na górze. Matka na dole została się. Ja byłem wtedy dzieckiem; nie wiem gdzie to ja sam wtedy się podziewałem.

MATKA. Jedyne co mi zarzucił wtedy mój mąż — to żem zdrzemnęła się przed pójściem do łóżka, a wiadomo w zimie łóżko jest jak z lodu, a przykrycie jak kołdra ze śniegu. Tej nocy, jak kości z piwnicy weszły schodami, Teofil poszedł sam na spoczynek i zostawił mnie i nie domknął drzwi, by zimno przedostawało się na dół, jakby chciał mnie tym zmusić do pójścia na górę. Właśnie co ocknęłam się, zastanawiając się, skąd ten chłód, kiedy zdało mi się że słyszę Teofila na górze, a także wydało mi się że jakbym go słyszała na dole w piwnicy. Słychać było jakby coś stąpało po desce jaką położyliśmy na ziemi w piwnicy, żeby przechodzić tamtędy suchą nogą kiedy wiosną podchodzi tam woda. I wtedy ktoś zaczął wchodzić schodami, i kroki na każdym stopniu, jak to gdy jednonogi dostawia swą kulę przy wchodzeniu, albo jak kiedy wchodzi schodami małe dziecko. To nie był Teofil: ani nikt inny kto by tam mógł być. Bo drzwi wiodące na dwór z piwnicy były podwójne, na głucho zamknięte, spęczniałe od wilgoci, zawiane śniegiem. Okna tam także były zaopatrzone trocinami, ciasno spęczniałe w framugach i równie śniegiem zawiane. To były gnaty, piszczele. Wiedziałam o tym i miałam po temu rację żeby wiedzieć. Moim pierwszym impulsem było przytrzymać klamkę i drzwi. Ale kości nie próbowały nawet; bezradnie tylko zatrzymały się u tych drzwi. Czekać na to że jednak coś wyjdzie z tego na ich korzyść. Przebiegł nimi leciutki klekot. Nigdy nie odważyłabym się na to co wtedy zrobiłam, gdyby nie dojmująca ciekawość by przekonać się jak to się one razem trzymają kupy. Wyobrażałam sobie że są one nie tyle na podobieństwo człowieka ile jakiegoś kandelabru. Tak więc wtedy z nagłą otwarłam przed nimi drzwi. Chwilę stały tam tak przede mną, chwając się pod wrażeniem, całkiem zagubione. (Płomień błysnął im z ust, oblizując górne zęby, dym zakołował im się w oczodołach). I ruszyły na mnie, z jedną ręką wyciągniętą, jak raz zrobił to on sam w życiu; ale tym razem uderzyłam po tej

kruchej ręce, utracając ją i sama osunęłam się na podłogę. A kosteczki tych palców rozsypały się na wszystkie strony. (Gdzie to ja widziałam jedną z tych kosteczek ostatnio? Podaj mi no tę szkatułkę z guzikami, musi ona tam być). Siedziałam na podłodze i wołałam, „Teofil, idź do ciebie”. Miało to do wyboru, drzwi do piwnicy albo do sieni. Wybrało na odmianę drzwi do sieni i jak na coś tak powolnego ruszyło całkiem żwawo, wciąż ruszając tymi przegubami stawów, chociaż więcej było ono jakby migotem światła lub drżącym rysunkiem, od tamtego wstrząsu jaki mu zadałam swoim uderzeniem. Wsłuchiwałam się aż do chwili kiedy to sięgnęło szczytu schodów, wiodących z sieni do jedynej z wykończonych izb na górze i wtedy dopiero dźwignęłam się by coś zrobić; porwałam się, podbiegłam do schodów i zawołałam, „Zamknij drzwi sypialni, Teofil, na miłość boską!”. „Goście?” — zapytał, „nie każ mi wstawać; jest mi tu tak ciepło”. To, czepiając się poręczy schodów podciągnęłam się na górę i w świetle (bo w kuchni było zgaszone) to po prawdzie nie widać było niczego. „Teofil, nie widzę tego, ale to jest tu z nami, w izbie. Kości”. „Kości, jakie kości?”. „Kości z piwnicy — z grobu”. To sprawiło że od razu się zerwał, opuszczając stopy na podłogę i siedzieliśmy tak obejmując się. Chciałam zgasić światło by przekonać się czy mogę to zobaczyć znowu, lub ramionami przekosić izbę na wysokości kolan, by tę kupę zburzyć. „Mówię ci — szuka za innymi drzwiami by spróbować. Te niezwyčajnie wielkie śniegi co spadły przypomniały mu starą piosenkę o *Szalewile Jasiu co służył u króla*, co to ją zawsze wyśpiewywał na drodze jaką chadzał. Szuka drzwi co by wychodziły na dwór. Tu go zwabimy, do drzwi wiodących na poddasze”. Teofil przystał i także się stało, kości jak tylko trafiły na wyjście to zaraz zaczęły wspinać się schodami na poddasze. Słyszałam. A Teofil to jakby nic nie słyszał. „Prędko!”. Zatrzasnęłam drzwi, przytrzymując klamkę. „Teofil, gwoździe!”. Kazałam mu zabić drzwi gwoździami i zaprzeć je wezglowiem łóżka. Potem zachodziliśmy w głowę czy tam na poddaszu nie ma czegoś, czego byśmy potrzebowali. Ale mniej nam na tym poddaszu zależało aniżeli na piwnicy. Jeżeli kościom tym podoba się na tym poddaszu to niech je sobie mają. Niech tam sobie siedzą. Kiedy czasami zstępuje to schodami, w rozterce staje przed drzwiami z partymi wezglowiem łóżka, drapiąc się w kredową czaszkę kredowymi palcami, to wydaje ono klekot jak listwy starych żaluzji. Tak to tłumaczę sobie siedząc samotnie w ciemnościach — sobie tylko, od czasu jak Teofil zmarł. Niech to siedzi sobie na tym poddaszu, jak już tam załazło. Przysięgam Teofilowi że nie będę miała dla tego litości, za to że dla niego byłam kiedyś Teofilowi okrutną.

SYN. A myślimy że zakopane są w piwnicy.

MATKA. Ale wiemy że były zakopane w piwnicy.

SYN. Nigdy nie doszliśmy do tego czyje to były kości.

MATKA. Nie synu, wiedzieliśmy. Raz trzeba powiedzieć całą prawdę. To kości człowieka którego twój ojciec zabił dla mnie. Ja tyle zrobiłam, że pomogłam wykopać grób. Było to w nocy. Mój syn zna tę historię; ale to nie jemu, kiedy przeszedł czas, wypadło powiedzieć całą prawdę. Mego syna dziwi przyznanie się do tamtego okłamywania któreśmy zatrzymali między sobą, zawsze gotowi z tym wobec obcych. Ale dziś wieczór nie dbam już o tanto kłamstwo — zachodzę w głowę czemu mi przedtem zależało. Jakby Teofil tu był, to nie wiem czy by potrafił powiedzieć dlaczego tak mi przedtem i jemu miało zależać”...

Nie znalazła kosteczki za którą szukała wśród guzików, jakie sobie w podółek wysypała. A nazwisko sprawdziłem następnego dnia rano: Teofil. Na skrzynce na listy przy drodze przed domem było: Teofil Lajway.

Zygmunt HAUPT

NOWOŚĆ

PONAD 4.000 POZYCJI

" ANGIELSKO-POLSKI SŁOWNIK IDIOMÓW I ZWROTÓW "

Piotra Borkowskiego

Jedynе wydawnictwo tego rodzaju w świecie

Str. 232. Cena z przesyłką 17 F — 25 sh. — dol. USA 3,50

Piotr Borkowski

146, Gunnersbury Lane, London W. 3

Proszę uprzejmie o przesyłanie należności czekami lub przekazami pocztowymi. Jeśli przekaz pocztowy nie będzie załączony do zamówienia, proszę o podanie nr-u przekazu i nazwy urzędu pocztowego, który go wystawił.

Trzy rozmowy o cywilizacji

I

*Sciemnieniem od gniewu,
Niegrzeczną odpowiedzią,
Wstrętem do cudzoziemców
Stoi państwo.*

*Rykami goala,
Portową ruderą,
Alkoholem nędzarzy
Stoi państwo.*

*Hermancjo, gdybym odwrócił pierścień
I znikły te dzielnice którymi nasz orszak
Prędko pomyka, żeby nie widzieć oczu zapatrzonych w nic,*

*Gdyby zamiast codziennego musu oraz, że tak powiem,
Włochatych rozrywek należnych cielesności,
Zbyt umyć, udając, że wcale nie śmierdzą*

*Ludzie w teatrum gryźli czekoladki
I wzruszali się miłością pasterza Amyntasa
A w dzień czytali Summę, na szczęście za trudną*

Nikt nie nadawałby się do koszar. Państwo by upadło.

II

Tak, to prawda, że krajobraz trochę się zmienił.
 Gdzie były lasy, teraz gruszki fabryk i cysterny.
 Zbliżając się do mostów nad ujściem rzeki zatykamy nosy,
 W jej nurcie ropa i chlor i związki metylu,
 Nie mówiąc o wydzielinach z Ksiąg Abstrakcji:
 Ekskrementach, moczu i martwej spermie.
 Wielka plama sztucznej barwy truje w morzu ryby.
 Gdzie brzeg zatoki porastała trzcina i sitowie
 Tam rdza pogruchotanych maszyn, popiołów i cegły.
 Czytaliśmy u dawnych poetów o zapachu ziemi
 I o konikach polnych. Dziś omijamy pola.
 Przejedź najszybciej jak można chemiczną strefę rolników,
 Wytępiony jest owad i ptak. Daleko znudzony człowiek
 Wlecze pył za traktorem, parasol rozpiął od słońca.
 Czego tu żal, zapytam? Tygrysa? Lwa? Rekina?
 Stworzyliśmy drugą Naturę na podobieństwo pierwszej
 Żeby nie wydawało się nam czasem, że żyjemy w raju.
 Być może kiedy Adam obudził się w ogrodzie
 Zwierzęta oblizywały paszcze ziewając przyjaźnie
 A kły ich tudzież ogon smagający boki
 Były figuratywne i dzierzba-gąsiorek
 Później, o wiele później Lanius Collurio nazwana
 Nie wbijała gąsienic na kolce tarniny.
 Jednakże, poza tą chwilą, co wiemy o Naturze
 Nie świadczy na jej korzyść. Nasza nie jest gorsza.
 I tylko, bardzo proszę, bez tych ubolewań.

III

Gdybym wiedział to jedno, nic, tylko to jedno:
 Czym różni się żal za grzechy od urażonej ambicji.

Otwierają się korytarze z minionego drzewa.
 Atlasowy pantofelek stuka na ciepłej pochylni.
 Szyja droga, zapach jej trwa na wieki.
 A już biegną siepacze z dowodami zbrodni:
 Wysiękiem krwi na przedmieściu, zapomnianym nożem.
 I kiedy mnie ścigają do rana po schodach
 Nie rozumiem, padając, czepiając się kotar

Czy moja rozpacz to żal doskonały
 Czy tylko wstyd, że ginę bez honoru.
 Potem przed lustrem sprawdzam obrzękłe powieki.

I dlatego, jak myślę, pisałem do Aleksandra
 Doradzając żeby ukrócić związki młodzieży
 (Znajdziesz to Hermancjo pod datą 1820 roku).
 Nie znosiłem tych uczniów głupiego Jana Jakuba,
 Zazdroszcząc im, bo wierzyli we własną szlachetność.

Czesław MIŁOSZ

O wolności

1. Dawniej, ilekroć przekraczałem granicę komunistycznego świata, ulegałem rozdwojeniu. Szukając dla niego porównania, nie znajduję stosowniejszego nad ten banalny obrazek: ptak, którego wypuszczono z klatki, na krótko, oraz ten, kto go wypuścił. Byłem i jednym, i drugim.

Gra rozdwojeń nie kończy się na tym.

2. Bo i ptak jest dla tego, kto go wypuścił, samą wolnością, ale sam dla siebie jest kimś, kto z niewoli wypadł w radość wolności, a nie opuszcza go przy tym zgryzota, że do tamtej wróci. A i ten, kto go wypuścił, także rozdwojony: jest i tym, który wolność karmił sobą i więził w sobie, i bronił jej w świecie zniewoleń; i tym, który teraz z żalem widzi, jak go ona odlatuje, lekka i szybka, i gubi się pod niebem wszystkich stworzeń nie-zniewolonych; a w sobie samym, zamiast radości, znajduje już tylko pustkę. Obnosiłem zatem moją pustkę (a razem i żal, i zgryzotę, i echa radości) chodząc wśród niefrasobliwych tłumów ludzi wolnych, w Wenecji, w Rzymie, w Paryżu, śmiertelnie zawiedziony, iż nie wiedzą oni, że są wolni, odczyli się dawno świadomości, że są wolni.

Tak utwierdzałem się w domniemaniu, że wolność jest darem prywatywnym. Jak zdrowie: ten tylko się o niej dowie, kto ją utraci.

3. Jednak moje z nią doświadczenia trwały za długo, moje o nią i z nią zmagania były za długo nieubłagane, bym mógł na tym pierwszym zniechęceniu ptaka-ptaśnika poprzestać.

Powtarzam, moja summa doświadczeń była za ciężka, bym mógł poprzestać na satysfakcjach i rozczarowaniach turysty ze świata zniewoleń.

4. Pewnego upalnego wieczoru siedziałem w La Choppe na placu Contrescarpe. Pobyt mój na Zachodzie tym razem prze-

dłużył się ponad spodziewanie. Byłem po dniu wytężonej pracy, pierwszej po latach odrętwienia, a podejmując ją, powziąłem swój *zakład*: nie oglądaj się na nic, na nikogo, urzeczywistniaj swoją wolność, bez względu na skutki. Przełamawszy zatem pieczęcie milczenia, tego dnia pisałem bez rezerw, bez zahamowań.

Plac Contrescarpe to jeden z rzadkich już zakątków, który ma jeszcze pozór i zapach, zapach zwierzały a pozór widmowy, Paryża końca lat dwudziestych. Miałem obok siebie codziennych bywalców: rozczochrani artyści w czarnych swetrach na nagim ciele, ale już u boku — i w dobrej zgodzie ze swoimi kupieckimi rodzinami; niedomyte ładne panny preraphaelickie; błaznującego clocharda — przebierańca w głęboko wyciętej sukni z migotliwego dżetu; kruczowłosą i opasłą poetkę, Bułgarkę z Izraela, stylizowaną na eks-właścicielkę domu schadzek. Sceneria znana, pełna szczyrych choć już wytrzępanych powabów, tak malownicza — jak to bywa w tym starym mieście miast, że nie wyraża już nic nad to, co pokazuje. Owszem, ciągnie się tu melancholia upalnych wieczorów na szczelnie obudowanych placzkach paryskich, na którą tak byłem wrażliwy w młodości, a teraz zgadzała się muzycznie z moim smutkiem bliskiej utraty tego wszystkiego.

5. Gdy zatem, siedząc wśród tych odpoczywających sympatycznych ludzi, opędziałem się od krążących, już zapisanych i jeszcze niespisanych myśli, zachwiała mną nagle gwałtowna fala. To *ellampsis*, stan tylekroć opisany. Poddając umysł naglej, nieumotywowanej radości a, jednocześnie, w nieufnej skrutacji i refleksji, co także jest znaną tego stanu kodą, zdałem sobie *sprawę*, w klarownej jak nigdy dotąd jasności i od jednego razu, że wszystko, co dotychczas brałem, odczuwałem i praktykowałem jako wolność, nie było jej cieniem nawet, może zaledwie postać, przed którym ukryto treść posłania. Odkryłem naraz, w tym ułamku czasu, że dotychczas zawsze, nawet w szczytowych momentach moich oporów przeciw zniewoleniu, tkwił we mnie, szczególnie przede mną utajony, *obcy cenzor*. Wystarczyła ta jedna poranna moja decyzja: urzeczywistnić swoją wolność, bez rezerw, bez względów na osoby, przywiązania, idee, wiary, skutki, by teraz, ku nocy, ujawniła się jego, cenzora, inkwizytora, deprawatora, we mnie obecność, a ujawniła się właśnie w tym ułamku czasu, kiedym się już od niego uwolnił. Kiedy obrócił się w nicłość, w mgnieniu oka, corpus psychicum alienum, inkub, martwy punkt, zamrożony w mojej duszy, a moc jego we mnie deprawacji mierzyłem teraz siłą, napięciem radości.

6. Byłem od niego uwolniony, zatem nareszcie wolny, i odkrycie, że wolność jest uchwytana, wartość nie prywatywna, przeciwnie, pozytywna, czynna, wymagająca czynnej i świadomej uprawy, ciemniało zwolna w grozie, że nosiłem go dotąd w sobie tak długo nie wiedząc, i że mogę ją, tę wolność wreszcie uchwyconą, znów utracić, wmieszany w tłum ludzi wolnych, w Paryżu,

w Londynie, w Nowym Yorku, którzy nie wiedzą o tym, że są wolni.

7. Trudności miały się zacząć potem. Ale:

„temu, kto czeka, wszystkie rzeczy objawiają swoją prawdę, pod warunkiem, że stać go na męstwo, by w ciemnościach nie zapierać się tego, co zobaczył w świetle”.

To him that waits all things reveal themselves provided that he has the courage not to deny, what he has seen in the light. (Coventry Patmore, *Aurea Dicta*).

PRZYPIS DO IZAJASZA

Góra Twojej Świątyni jeszcze nie przebiła dziąsła ziemi, a u jutrzejszego Jej szczytu już niespokojnie: chmury tam kłębią się bratobójcze i ptaki giną rażone prądem. Tymczasem żyjemy w rozpadlinach: ciemno nam, zimno nam, trochę grzeją nas serca, drobne, zaflegmione, ale silne — bestie! nie dają nam spoczynku... No cóż, wytrzymamy i to: złotnikom odebrano ich złoto, a nędzarzom łachmany.



A na pustym step nadmorza statki z Tarsu zwożą i zwożą posągi i miecze, rude peruki, lutnie i namioty, sieroce przesła akweduktów, także zamorskie papugi, niewolnice z pustyni i muchy z delty rzek zapuszczenia — wizjonerzy kłamstwa, i znów ładują fracht swój i wywożą, białe statki z Tarsu.



A my co? My tutaj, pod ziemią, nadzy w rozpadlinach czekamy, aż nas wyniesie tam, gdzie już ptaki giną bratobójczo, chmury kłębią się porażone! To będzie dzień odpłaty! I zabieleje Dom Twój na górze, i zaskarbią się w Nim nasze kramy, a pod filarem stanie wschodnia prostytutka wyzywającymi oczyma taksować wchodzących przechodzących, ich mrugające serca pokurczone jak pusty trzos.

Paryż, w maju 1962

(Drukowane w „Nowej Kulturze”, 15 grudnia 1962 r.)

W LASKU BULOŃSKIM

Dla Z. i S.G.

O piątej Jahwe przetarł oczy starą ręką i wyszedł do lasu na swój poranny spacer. Już pierwsze amazonki jechały stępa pomiędzy drzewami a dalej, za laskiem, ruchliwy mleczarz dzwoniąc rozstawia przed drzwiami butelki. „*Pokorne jak Rut u spracowa-*
[nych
nóg Booz’... Gdzie Booz a gdzie butelki? — porównanie bzdurne, ale Jahwe pokorą równa wszystko.

„*Gdzie jesteś Adamie!*”

zawoływał Jahwe na każdym rozdrożu alej. A nikt znikąd nie odpowiedział. Amazonki przesuwaly się, bezgłośnie jak w dniu stworzenia filmu, tylko kłus koni jak młotkami twardo wybijały ich tempa i rytmy. „*Kogo mi gnać na wygnanie? na kogo, na*
[kogoż
rzucić mam kłatwę?” — medytował Jahwe, z rozkoszą wciągając w płuca świeżość poranku, gdy błakał się wśród cichych drzew bulońskiego lasu, i szpikulcem gniewnie przygwoździł zaskrońca — oh! niecierpi On płazów. A sam je był stworzył... „*Nie ptaszyny-że? nie żabkę-ż — narodził bezoką sklepaną z klonu liściem zielonego?*”.

Gdy mijał nagą parę meteków splecioną w ciepłym strumieniu snu, nakrył wstydlive
[oczy
kruchą dłonią, różu trawioną światłem, które właśnie przesączało
[się
ze słońca, ono już wstało. Archaniołowie czekali na sygnał i szable ich z nierdzewnej stali.

W Lasku Bulońskim, maj 1962

SYTUACJA ANTEUSZA

Nam ziemia niemiła. Nas uwodziły
furczące wrzeciona galaktyk
(mówiąc skromniej)
iskry z osetki

szlifierza w skórzanym fartuchu,
splamionym oliwą. Na sennych
podwórkach naszego dzieciństwa.

On noże toczył furczące
dla Matko Bójcy. W iskrach
widziano parzące żeglugi
męskiego wieku.

Świętość oliwy
poświadcza w nas pamięć D.N.A.
Ośla skóra śpiewa w nas głosem
konsubstancjo nalności
z naszą, wygarbowaną
w ubóstwie ubóstw, ubóstwień.

*Gdy rozwidniało, trzymając się pod wiatrem,
rozwinęliśmy żagle. Czas był pochmurny.
Przed nami ostrów i wierzchołków dwoje,
na których ni ziemi nie widać, ni drzewa,
O znojnym południu
znaleźli śmy się pod 21 gradusem, 14 minutami
północnej szerokości.*

Zgrzyta na kocich łbach żelazna obręcz;
sternik Walenty wraca w noc bezksiężycową;
odwiozł ostatniego klienta, pewno do wesołego domku,
i wolnym wijo,
siwą szkapiną,
leniwym batem,
plecie się w stronę zawietrza...

*Gdy ujechawszy blisko mil piętnastu
ku południowi zwracamy nasz okręt
końcem znalezienia spokojniejszej wody —*

Końcem znalezienia spokojniejszej wody... o!
końcem znalezienia spokojniejszej wody!

— i pory
przychylniejszej nad tę,
którąśmy mieli dotychczas.

(Szlachetna mowo, na zawsze utracona,
dziś mówimy na szmajdę, tj. lewą ręką, przewinawszy
[struny na opak].)

...promiennooka,

nieubłagana, na skręcie warkoczy
żelazna misa, w niej plastry miodu,
i pszczoły krążą
fiołkowszłote,
wrzeczona galaktyk,
po bębnach kłęski
kłąska cisza. Raptem:
złoty klarnetu głos.

Nie wierzę w ciało zmartwychwstanie. A jeżeli (na wypadek że)
wierzę, nie chcę.

Anadiomeno, co z perłowej nicości;

końcem znalezienia
spokojniejszej wody; nad seledynowym bazaltem;
różowa jutrznią świata; starzenie się
materii żywej i nieożywionej; z perłowej piany;
Anadiomeno, powabie starym oczom;
i pory przychylniejszej dla mnie
niż ta, którą miałem dotychczas.
Złoty głos klarnetu. Zmiłuj się nade mną.
Drzewa na drodze.

Wierzby nad rzęsą
żabiego zapiecka;
olchy na glinkach
z Obór do Jeziorny.
Złoty głos klarnetu.

Końcem znalezienia spokojniejszej wody.

Sosna w Otwocku, w liszajach, w szronie, w próchnicy;
okaleczała, z nią utożsamiałem się rozkrzyżowawszy się na niej
szydlerczo, pewnego marcowego zmierzchu roku 1939. Nim
rozwidniało. Końcem znalezienia przychylniejszej pory...

...od tej, którą mieli śmy dotychczas, schowałem się
między obce palmy, nienawistne magnolie.

Oset zarasta zarzańską ulicę, którą Walenty wracał do siebie,
na przedmieście. Szlifierz i dorożkarz dawno nie żyją. Tylko ja
tłukę się po świecie. Anadiomeno, matko. Jaskółki kłaskając
wabią nas ku spokojniejszym wodom, za 21 gradusem i 14
minutami żadnej szerokości. Złote pszczoły zlizują miód z mojej
oparzonej kory mózgowej. Złoty głos klarnetu, czyj?... passons.
A usta znów otwierają się do słów okaleczających, i piszę ten
wiersz na szmajdę, w moich starych zastarzałych bólach.

*Dał się czuć wiatr tęgi, lądowy.
Ku wieczorowi spostrzeżliśmy
mnóstwo ptastwa i ryb...*

...w liszajach, w szronie, w próchnieniu.

Paryż, październik 1963

Tekst w kursywie — z „Opisania Wyspy Pelew”, niewiele tylko zmieniony.

SEN

Skrzesał ogień. Na błoniu
dziewczęta
łowiły w stalowe sieci
skomaszonych
cienkonogich koziorożców.
On na skale
naciągnął łuk-ciężką lutnię.
Strzelił. Strzelał. Padały
te panny srogich żrenic, aroganckich sutek
w powiewnych muślinach.
W rynsztok. Niech padają. Krew ich
ścieknie w ziemię. Z niej powstanie
mściciel.

Komentarz: Nad ranem przyśnił mi się L... Znowuż gadanina, ciągliwa, wlokąca się żmudnie, jak to we śnie, że nie zdążył uwzględnić w swoim piśmie poprawionego wariantu mojego „Śródziemnomorskiego Poe-matu”, że to, że owo. Uwalniam się z tej zmory ciągłości, żmudności, nudy: „Ostatecznie, panie Władku — mówię — nie będzie dziury w nie-bie”. Jakbym kamień odwalił z serca! Ale już widzę nad sobą dziurę w niebie. Rozszerza się jak kleks. L..., który tymczasem znikł i wrócił, podaje mi — nie L... już, to ewangelista Jan — księgę Twórczości. Na wierzchu wiersz poety Y... Drukowany tereją, wytłuszczoną, w kursywie, wersalikami, czcionki jakby Połtawskiego, ale jeszcze więcej secesyjne, tylko inicjały każdego słowa drukowane blokiem („Aida”?), jaki stosowano w latach dwudziestych do ogłoszeń nowoczesnych. Przeczytałem (ściślej, przeczytał mi się) cały wiersz w mgnieniu, w błyskawicznym widzeniu ejdetycznym. I zachłysnąłem się zachwytem (ściślej, zostałem zachłyśnięty). Zdumiewam się: a to Y... tak teraz pisze? I przerywam sen raptownie, pod nakazem: zapamiętaj, zapisz, to będzie twój najlepszy wiersz. Ach, podkradłem go kole-dze, najpodstępniej, bo we śnie. Tyran Dionizjusz zabił ulubienica, gdy we śnie zobaczył, że ten godzi w niego sztyletem. I słusznie zrobił. Lamia kazała stracić dworaka, gdy wyznał jej, że we śnie miał z nią rozkosz. Bardzo

dobrze. Sny, zwłaszcza słowa w snach mogą być nieprawdziwe, ale natura nihil agit frustra, a poza tym mają one stopień prawdziwości nie mniejszy, jak nieprzymierzając semantyka komunistyczna. Odpowiadamy, w każdym razie powinniśmy odpowiadać za sny.

Więc zbudzony gwałtownie (było ciemno), zapisałem w pośpiechu, głównie rzeczowniki, żeby mi nie umknęły, póki jeszcze na pograniczu snu a rozbudzenie przechowuje ciepłą wizję szorstkiej, grubej, szarokremowej, u brzegów sfalowanej kartki, czcionki kroju Połtawskiego — Aidy, oraz blask wiersza, upojenie wierszem.

Oto zapis: Skała. Ogień Błoniu Dziewczęta okrutnych żrenic aroganckich sutek Sieci Koziorożców Skomaszonych (nb. chyba nigdy tego słowa nie znałem, myślałem więc, że to neologizm, a okazuje się: jest w Słowniku Warszawskim) Panny Muślinach Łuk ciężką Lutnię Strzelił Strzelał Padały Rynsztok Niech padają Krew w ziemię Ultor. Potem, stygnąc powoli ze snu, starałem się jak umiałem odtworzyć następstwa, rytmy, przeploty, Gedankenmelodie, a nade wszystko — blask, świecenie tamtej jeszcze tak pamiętnej urody. I jak to bywa w przeprawach z demonami snu, zamiast skarbu — popiół.

(Moje natrętne objaśnienia do wierszy mają podstawowy defekt. Są niedostateczne, zaledwie coś niecoś sugerują, nie wprowadzają do tego, co mało-mądry krytycy nazywają warsztatem, albo psychologią twórczą. Potraktować je jak należy to znaczy: do każdego *arkusza wierszy* dodać *grube tomisko* autobio- i psycho-grafii. Autowiwisekcji. Monodramatu. Byłby to może i nowy gatunek pisarstwa, dziś być może i ciekawszy od bawiących ogół ale zanudzających swych autorów powieści? a nawet od już przy-nudziłych szkiców filozoficzno literackich? cenniejszy i szerszy od mod-nych obecnie spowiedzi? Naturalnie, pod warunkiem, że poeta nie zatrzyma się przed żadnym tabu, przed żadnym wstydem, przed żadną obrazą poetyk i wiar.

Propozycja taka nie podważa pewnika, że wiersz winien się tłumaczyć sam, zrozumiały czy hermetyczny, winien spontanicznie i od jednego razu narzucać się czytelnikowi. Czytelnikowi, rzecz jasna, sympatycznemu poezji, takich dziś w naszym kraju jest zdumiewająco wiele, po spłynięciu lodowca hiperborejskiego socrealizmu. Obskurne plemię amatorów mowy wiązanej, produkowane przez szkoły, nie liczy się, oczywiście.

W świetle powyższej propozycji, żeby ciągnąć rzecz dalej, „Poszukiwanie Straconego Czasu” może przedstawiać się jako długi komentarz do jednego wiersza, którego Proust nie napisał. Wrażliwy czytelnik ma go na spodzie świadomości, a tam gdzie traci jego niewyraźny wątek, ciągnie się rzeczywiście płaska, jałowa gadanina, np. partie Charlusa.

Wyjść z alternatywy poezja-proza).

Aleksander WAT

Sprawy i troski

W oczach Londynu

— No i cóż? Wymieramy! — zagajają fachowo rozmowę starsi panowie, krocząc dostojnie po parkowych alejach cmentarzy londyńskich z okazji coraz częstszych pogrzebów. Zygmunt Nowakowski oszczędził im przewrotnie tej okazji, zabroniwszy żałobnego zbiegowiska, każąc się pogrzebać „prywatnie” — po angielsku.

Bez względu na osobiste sympatie czy urazy był to niewątpliwie *quelqu'un*. Kilkakrotnie zdobywał od nowa szeroką popularność, jako aktor i dyrektor teatru krakowskiego, felietonista IKC, autor „Gałązki rozmarynu”, jeden z czołowych publicystów i redaktor *de nomine* „Wiadomości Polskich” z okresu wojny, niestrudzony dostawca czwartkowych felietonów w „Dzienniku Polskim” — a wreszcie prelegent radiowy Rozgłośni Polskiej Radia Wolnej Europy o nieuświadamianych na ogół rozmiarach popularności w kraju. Nadto — od początków działalności aktorskiej do ostatnich dni życia — odtwórca tej samej wielkiej roli: Zygmunta Nowakowskiego. Zdrowy — grał chorego i kaprysił jak gwiazda filmowa. Chory, na pół ociemniały, najwyższym wysiłkiem woli dosiadał maszyny do pisania lub mikrofonu, by wyrobić tygodniową normę pogadań i felietonów. W pamięci Władzy Majewskiej, nagrywającej z Nowakowskim ostatnią jego audycję radiową, pozostał szkielet przed mikrofonem, przemawiający zwykłym swobodnym głosem do kraju. Rola została dograna do końca. Umierał samotnie w University College Hospital na wspólnej sali, sąsiadując z równie samotnym Polakiem, marynarzem, przygodnym świadkiem ostatnich zmagania Lajkonika.

Trening teatralny wsparty fenomenalną pamięcią i zdolnościami recytatorskimi odegrał wielką rolę w karierze życiowej Nowakowskiego. Nie pisał, ale niejako wygłaszał swe felietony, wcielając do nich z pamięci niewyczerpane rezerwy anegdot i cytaty z wielkiego „krakowskiego” repertuaru patriotycznego.

Z przyczyn, których nie tłumaczy przynależność do określonej grupy wieku, zainteresowania czytelnicze Nowakowskiego urywały się na literaturze minionej i uznanej, i to ze znamienym wyjątkiem Norwida. W stosunku do literatury nowszej i najnowszej cechowała go lekko maskowana najdoskonalsza obojętność. Jeśli do poznania jakiegoś autora czy utworu zmuszały go obowiązki zawodowe, np. konieczność napisania recenzji, wygłoszenia pogadanki czy udział w jury, pochłaniał na wyrwyki wyrwane z kontekstu fragmenty takiego narzuconego okolicznościami *pensum* i dostosowywał je pośpiesznie do sformułowanej z góry oceny. Stenogramy z dyskusji obiadowych jury nagrody „Wiadomości” świadczą, że nie był w tym stanowisku odosobniony. Sądy Nowakowskiego o Miłoszu czy Gombrowiczu oceniać należy, biorąc pod uwagę, iż obaj ci pisarze byli mu tak dogłębnie obcy, jak im obce są prawdopodobnie duże rozdziały historii literatury polskiej XIX w., w których Nowakowski czuł się w swoim żywiole i o których potrafił mówić do kraju przez radio, zwabiając do głośników największych „speców”. „Próg zainteresowania” w humanistyce, jak i w naukach ścisłych, jest wypadkową wielu czynników, wymykających się mechanicznym kryteriom wartościowania. Zjawiskiem szczególnego współistnienia sprzecznych upodobań zajmuje się od niedawna socjologia literatury. Nowakowski narzuca się po prostu jako obiekt badań: umysł jego wyłączał się automatycznie przy zetknięciu z pewnymi postawami czy problemami, idąc starym krakowskim szlakiem. Niemałą rolę odegrała ponadto niewątpliwa atrakcyjność pozy „pielgrzymka” czy „Rejtana” i pamięć przedwojennych IKC-owskich triumfów. Nowakowski trwał do zgonu na krakowskich Plantach w aureoli dawnej chwały.

Patetyczny kostium osłaniał postać wysoce tragiczną. Wiernym towarzyszem emigracji, uchodźstwa, wygnania czy „pielgrzymstwa” jest kompleks niepewności jutra. U Nowakowskiego, organicznie niezdolnego do rozsądnej gospodarki okazałymi w pewnych okresach dochodami, dołączyła się coraz realniejsza groźba utraty wzroku. Pierwsza operacja katarakty skończyła się tragicznie: chory, rozdrażniony pozbawieniem codziennej dawki alkoholu, zerwał w szpitalu opatrunki, przekreślając wyniki zabiegu. Oczy i zdolność czytania decydowały o zarobkach. Powody do zalewania robaka były coraz bardziej istotne. Ciągnął, wspierany przez przyjaciół, którzy nie zawiedli go w potrzebie, zdobywał się na zrywy w jego warunkach bohaterskie. Poprawa wzroku, po drugim udanym zabiegu, zbiegła się z nasileniem innych skomplikowanych dolegliwości i potrzebą dalszych operacji. Finał był przewlekły i żałosny. Jubileusze i subskrypcje umożliwiły, to prawda, rozpaczliwe próby ratunku. Zrujnowanego chorobą organizmu nie odnowiły jednak ani ucieczki od angielskiego klimatu ani niemieckie bady. Przeobrażał się w kościsty wieszak, z którego zwisały coraz luźniejsze ubrania. Nim ostrygł, a nawet nim ducha wyzionął, rozpoczęły się przedbiegi kandydatów na opróżniane przez niego stanowiska. Życie toczy się dalej.

Śmierć Czesława Straszewicza przeszła niemal niezauważona. Publiczność londyńska lubi, by przypominać jej o sobie systematycznie. Straszewicz odzywał się rzadko, znany był stosunkowo wąskiemu gronu. „Turyści z bocianich gniazd” należą jednak do żelaznego repertuaru „klasyków” emigracyjnych, książka pojawia się rzadko na półkach bibliotecznych, krążąc z rąk do rąk. Jest to jednak sława bezosobista, anonimowa — mały procent czytelników, zwłaszcza tych najcenniejszych „szarych” związał nekrolog z autorstwem „Katedry Sandwiczów”. To właśnie opowiadanie, znaczące początki zainteresowania specyficznym „folklorem” emigracyjnym decyduje o trwałym miejscu Straszewicza w historii literatury. Ma tam — bardzo po polsku — ciepłe miejsce, przysłowiowy pozgonny kąć na Parnasie.

Jesień oznacza także i w Anglii powrót do szkół. Warto więc odnotować, iż Adam Czerniawski, poeta (— świadomie odrzucam nasuwający się automatycznie przymiotnik „młody”, dosyć się już namłodził —) wystąpił w końcu września w nowej roli: nauczyciela w Ealing Technical College przygotowującego wspólnie z dr Haliną Taborską, żoną i mużką innego byłego „młodego” poety, dwie równoległe klasy dzieci polskich, kandydatów do oficjalnych angielskich egzaminów na poziomie małej matury. W czytance opracowywanej z inicjatywy Polskiej Macierzy Szkolnej dla dzieci emigracyjnych znalazł się specjalnie napisany wiersz Floriana Śmieji. Oznacza to początki symbolicznej „zmiany warty” na niezmiernie ważnym odcinku.

Źle, jeśli nie katastrofalnie, przedstawia się natomiast tzw. zorganizowane życie literackie. Po nadmiarze imprez i wywołanym nim przesyce nastąpił okres głuchoj ciszy. Urwały się, nie z winy Emigracji, częste dawniej wieczory autorskie pisarzy z kraju. „Młodzi” zaabsorbowani pracą zarobkową, rozproszeni, osłabli w zapale, choć urządzone przez nich wieczory cieszyły się doskonałą frekwencją. Zbigniew Herbert przemknął przez Londyn niedostrzeżony. Doszły jednak wieści o dalszym jego sukcesie: słuchowisko „Rekonstrukcja poety” nadane będzie w przekładzie angielskim Magdaleny Czajkowskiej w wybrednym „trzecim” programie BBC. Cytaty z Herberta i Jana Kotta weszły do luksusowych programów przedstawień szekspirowskich w Stratford-on-Avon. „Encounter” drukuje w numerze październikowym „My First Marriage”, nowelę pióra R. Prawer Jhabvala — nota redakcyjna powiada, iż autorka jest Polką z urodzenia, Hinduską „by marriage and adoption”. Ta sama zagadkowa postać ma za sobą scenariusz filmu „The Householder” a w listopadzie ukaże się tom jej nowel „Like Birds, like Fishes” nakładem firmy John Murray. Nic o niej nie wiedzieliśmy. W tymże zeszycie „Encounter’a” świetne, proszące się o przekład Miłozsa wiersze Sylvii Plath, zmarłej w lutym r. b. w wieku zaledwie trzydziestu lat. Wiersze roją się od drobnych wzmianek o Polsce, z której — jak zdaje się wynikać z utworu pt. „Daddy” pochodził ojciec poetki, polski Żyd („I may be a bit of Jew” —

mówi Sylvia Plath o sobie). Świetny wiersz „napoleoński” o tytule „The Swarm” nasuwa ogólną tonacją echa mickiewiczowskiego „O roku ów”. Babkę, polską Żydówkę, ujawniła też (niechętnie) Muriel Spark, specjalistka od makabrycznej groteski, jedna z najpoczytniejszych i najinteligentniejszych pisarek angielskich bezlitośnie eksploatująca tragikomiczne aspekty starości. Czytająca publiczność polska jeszcze jej nie odkryła a w kraju zaczęła ją tłumaczyć (z racji braku papieru!) za lat plus minusz dziesięć.

Duże poruszenie wywołała natomiast nowa i już szósta w języku angielskim powieść Jerzego Pietrkiewicza (Peterkiewicza) pt. „That Angel Burning on my Left Side”. Angelologia uczy iż istnieją anioły złe i dobre. Pietrkiewicz eksploatuje ich możliwości z pomysłowością Rachmana, powierzając im między innymi opiekę nad sprawami finansowymi bohatera powieści, Wiktorra Zagona, ex-kleryka — i jednego z nas. Jest to jakby uchylenie drzwi do wielkiej rekwizytorni tematów, jakich w nieprzebranej obfitości dostarczają indywidualne „historie ludzkie” emigrantów. Podobnie jak we wcześniejszych powieściach Pietrkiewicza, a zwłaszcza w „Isolation”, występuje tu pewna przesada w mnogości i osobliwości wątków — są jednak wśród nich pomysły wręcz kapitalne i uderzające świeżością. Krytyków angielskich, przyjmujących książkę dobrze, uderza specyficzność humoru Pietrkiewicza. Czytelnik polski dostrzeże u niego zjawisko poniekąd odwrotne: umiejętność pisania dla i „pod” Anglików graniczącą ze zdolnością mimicy. Tytuł — oczywiście cytata ze Słowackiego.

Rzut oka na emigracyjny ruch wydawniczy z pierwszych trzech kwartałów r. b. wykazuje zastraszająco niski procent tytułów polskich i nowych oryginalnych pozycji literackich (poza pamiętnikami, które przestały już wywoływać zarzuty wspominkarstwa, co należy chyba przypisać wpływowi kraju). Z beletrystyki: „Opowiadania” Hłaski. „Słońce dziesięciu linii” Romanowiczowej — i koniec, kropka. Dobre wznowienia, podsumowania: Wittlin, Haupt. Pożegnalny „Lajkonik na wygnaniu” Nowakowskiego. I pamiętniki: Lednicki, Korboński, Guenther. Szlachetne i wzruszające przypomnienie rocznicy 1863 w antologii ks. Jarzębowskiego, posiadacza jednej z najcenniejszych kolekcji książek i rękopisów, dotyczących powstania styczniowego, które chciałby — na próżno — pokazać na wielkiej wystawie. Brak sali, brak pieniędzy, „ogólna niemożność”, szczególnie gorsząca w tym wypadku.

Z praktyki bibliotekarskiej wynika, iż potrzeby kulturalne „szarego” człowieka, przeciętnego emigranta polskiego, stosunkowo rzadko dochodzą do głosu. Do tytułów już wymienionych można by dorzucić kilka — np. „Szkice Mickiewiczowskie” Czapskiej, „Polaków w ZSSR”, „Listy pogańskie” Grubińskiego. I tyle. Mało. Jest to zjawiskiem tym bardziej niepokojącym, iż, praktycznie biorąc, na skutek zaostrzenia kursu, urywa się a w każdym razie drastycznie maleje dopływ lektury z kraju. Ilekroć na

odecinku badań historycznoliterackich mówi się (jak to się dzieje obecnie) o konieczności wzmoczenia tempa prac nad twórczością Edmunda Dembowskiego, Ignacego Fika i Leona Kruczkowskiego, tyle razy jako deska ratunku dla „mas” występuje J.I. Kraszewski i „nowości” w postaci zapomnianych jego powieści sprzed stulecia. Co będzie, gdy i ich zabraknie?

Wydawcy emigracyjni działają na zasadzie dla nich tylko zrozumiałych praw popytu i organizacji akcji reklamowej. Stąd dzięki doskonale zgranym i konsekwentnym ich zaniechaniom, nie ma na rynku większości emigracyjnych bestsellerów, a więc — kawa na ławę — „Drogi do nikąd” Józefa Mackiewicza (— a przekłady budzą apetyt na przypomnienie lub przeczytanie po raz pierwszy oryginału), „Obozu Wszystkich Świętych” Tadeusza Nowakowskiego i, nie wytykając palcem, większości książek Miłozsa. (— Przydałby się, po polsku, np. „Essential Miłosz”). „Veritas” ogłasza pilnie subskrypcje na mające ukazać się książki, ale raz je wydawszy, a zwykle z opóźnieniem, układa się na laurach, nie zatroszczywszy o dalszą reklamę, jeśli nie liczyć sporadycznych ogłoszeń w „Gazecie Niedzielnej”, której krąg czytelniczy, niewątpliwie szanowny i szeroki, nie pokrywa się jednak z gronem odbiorców „Kultury”, „Wiadomości” czy „Dziennika Polskiego”. Podobne obserwacje nasuwa w wyższym jeszcze stopniu podziemna działalność Oficyny Poetów i Malarzy. O reklamie „wstecz” i rozładowaniu starych zasobów przy pomocy wyprzedzaży po niższych cenach nie pomyślał dotąd nikt, nawet najruchliwszy z wydawców londyńskich Świdarski. Zakupienie dowolnego zestawu podstawowych książek emigracyjnych jest przedsięwzięciem, jak się mawia w kraju, „czasochłonnym”. Niekiedy rozciągającym się na miesiące, jeśli idzie np. o zakupienie „Sacrum Poloniae Millennium” czy „Pamiętnika poetyckiego” Chciuka. Ustalenie gdzie można zakupić „Poezje Wierzyńskiego”, „Elementa ad Fontium Editiones”, „The Polish Review” etc. należy do wyższej szkoły jazdy.

Czasopisma, których ilość imponuje i zastanawia, reprezentują inną odmianę problemu. To samo, co z aniołami Pietrkiewiczza: są złe i dobre, jawne i nimal tajne, źle i dobrze widziane. Dlatego właśnie trzeba się dobrze nabiegać, aby zdobyć np. egzemplarz oficjalnego pisma zamkowego „Rzeczpospolita”, gdyż nie wszystkie punkty księgarskie je „trzymają”. „Oblicze Tygodnia” można dostać łatwo w Warszawie jako wzorowe pismo emigracyjne: krajowcy opowiadają z dumą o pilnej lekturze owej sensacyjnej lektury a podejmują ją z miłości do nas. Ogół nie wiedziałby o ukazywaniu się „Rzeczypospolitej” czy „Kroniki” Świdarskiego, gdyby nie wyteżona działalność prywatnej agencji informacyjnej w osobie ministra Władysława Guenthera, który pracowicie i z powodzeniem wyrównuje braki oficjalnej reklamy, uzupełniając je informacjami o planach podróźniczych p. Józwiaka. „Dziennik Polski” nie jest najlepszym źródłem informacji o najnowszych posunięciach zarządu Fundacji Kościuszkowskiej a wypowiedzi pism Polonii Amerykańskiej prenu-

merator owegoż „Dziennika” czytać nie powinien Czasopisma naukowe np. „Teki Historyczne”, „Antemurale” — a także „Zeszyty Historyczne”, „Kultury” pojawiają się skromnie i godnie dla grona wtajemniczonych.

Pięsmiennictwo emigracyjne nie zna instytucji „date of publication” i związanego z nią koncentrycznego ataku na przyszłych nabywców w postaci recenzji, ukazujących się w bliskim sąsiedztwie daty wydania książki. Recenzje ukazują się z opóźnieniem, kapryśnie — często nie ukazują się zupełnie. Dotyczy to zarówno drobnych tomików prozy czy poezji jak i wielkich kolubryn w rodzaju pamiętników Lednickiego. Potencjalni krytycy skarżą się — i słusznie — na brak czasu i niskie honoraria. Wytwarza się błędne koło, którego ofiarą stają się autorzy i książka emigracyjna.

Jest jeszcze inny aspekt zagadnienia. Biblioteka Polska liczy wśród najwierniejszych swych czytelników stałego bywalca, który co tydzień przyjeżdża z odległego przedmieścia po to, by przeczytać „Orła Białego” z zeszłego tygodnia. Na stole leży już numer następny. Nie dziś! co czytałby za tydzień? Taka ekspedycja specjalna kosztuje faceta trzy razy tyle, co numer „Orła Białego”. To nie wchodzi jednak w rachubę. Podobnym zmysłem rachunkowym odznaczają się liczni czytelnicy innych czasopism a nawet książek.

Zjawisko to przypomina inne formy częstych na Emigracji objawów „ubóstwa pozornego”. Nie wypada mieć spleconego domu, mebli, lodówki czy auta. Wypada narzekać na podatki, kupować na wyprzedazach, wygrywać na pool’u lub „pieskach”. Któż z nas wyjeżdżałby za własne uczucie zarobione pieniądze! Nie stać nas na nic! Sytuację ratują w okresie urlopowym przyjaciele w Alpach obwożący za darmo własnym „auteczkiem”, dawne przyjaciółki fundujące pobyty w dobrym hotelu w Cannes i dowożące na samo miejsce samolotem, objawiające się jak *deus ex machina* w coraz innych a zawsze atrakcyjnych i uczęszczanych miejscowościach. O znanym poecie mówi się, iż dla podkreślenia złej sytuacji finansowej, sam sobie pożycza pieniądze — i to na wysoki procent.

W stosunkach z gośćmi z kraju zarysował się nowy rytuał. Naprzd opowiadają nam kawały na temat sklepów samoobsługowych i braku cytryn, potwierdzające autentyczność zapisów p. Zofii Hertzowej. Kiwamy głową. Potakujemy. Nudzimy się jak mopsy. Nagle koniec uwertury. Krajowcy zmieniają ton (nb. mówią zawsze zadziwiająco głośno!) i rozpoczynają nową płytę: „Bo wy tutaj... opływacie... nie rozumiecie... jesteście przeciwko krajowi”. Przyciskamy do muru, powołujemy się na współdzwiczność kawałów. „W czym wyraża się nasza antykrajowość”. — „Radio” — powiadają. „Prasa” — powiadają. „Wierzycie Jedlickiemu” — powiadają. „Nie byliście jeszcze w kraju, a Zakopane takie piękne”, „a odbudowana Warszawa...”. Etc. Nim ochłonemy z irytacji osładzają nam pigułkę, dodając „Bo my widując się z wami narażamy się”. Doceniamy akt odwagi. Wyrażamy nadzieję,

iż „narażanie się” nie przyniesie przykrych konsekwencji. Pauza. Potem długi ciąg tych samych, tak samo sformułowanych pytań o dzieci polskie wynaradawiające się poza krajem, troska o naszą lekturę i melodie taneczne i dobre rady by czytać „naszych największych pisarzy” tj. Brandysa, Brezę, i Putramenta. Na znak wdzięczności za staropolską gościnność w Londynie zaabonują nam „Magazyn Polski” i „Światowida”. Może słowo drukowane i fotografie smreków i limb skłonią nas do odwiedzenia Ojczyzny.

Było tam istotnie pięknie i ciepło tego lata, a turyści z zagranicy mieli za głupie tysiące złotych to wszystko, czego zwykły śmiertelnik na co dzień nie widuje, a więc np. befsztyki, sznycle i owoce. Nie jest to jednak najtańszy sposób spędzenia urlopu. Płacić trzeba, jak wyłożyła to pewna praktyczna osoba, trzy razy. *Primo*: przed wyjazdem wysłać należy strategicznie dobrane paczki z klasyczną Neską, aspiryną, szalami z mohairu itp. aby stworzyć finansowe podstawy pobytu i nie obciążać rodziny. *Secundo*: wpłaca się oficjalny haracz hotelowy i zabiera dozwolone waluty tudzież rezerwowe koszule nylonowe, pończochy itp. Poza prezentami zwykłymi, powitalnymi, pamiętać należy o przypadających w czasie urlopu imieninach Ziutka, rocznicy ślubu Ewy i doktoracie Wiesia. Jeśli opróżnią się walizki, nie szkodzi, można zostawić Ojczyźnie i walizkę. *Tertio*: po powrocie następuje trzecia część programu: dosyłanie prezentów dla niewinnie pominiętych oraz spełnianie najkonieczniejszych życzeń na podstawie listy zapotrzebowań, obejmującej szeroki wachlarz przedmiotów od opraw okularów po ochraniacze do kolan przy grze w piłkę nożną. I dopiero po ich wysłaniu się można przy angielskim kominku i odciążony się mgłą od świata, wzdychać do ojczyzny i swoich, którym nic co nasze nie jest obojętne.

(m. l. d.)

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

**CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA LTD**

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Archiwum polityczne

Ludzkie pojmowanie dziejów

Każde przewidywanie — z wyjątkiem jasnowiedzenia — w gruncie rzeczy jest interpretacją historii. Wszystkie informacje — obojętne czy w danym wypadku w grę wchodzi socjologia czy meteorologia — z chwilą gdy lądują na naszym biurku mówią o przeszłości. Mówią o wydarzeniach sprzed roku albo sprzed godziny, lecz zawsze dotyczą czasu przeszłego.

Nie ma polityki bez planowania — nie ma planowania bez przewidywania. Przewidywanie z kolei musi być oparte na interpretacji przeszłości. Sumę różnic odcinających nas od komunistów sprowadzić można do jednego stwierdzenia: odmiennie od czytujemy przeszłość.

Pewien wykształcony polski komunista powiedział mi kiedyś: „Jeżeli pan chce rozumieć to co się stało, to co się dzieje i to co się stanie w przyszłości w bloku wschodnim, musi pan studiować marksizm i przyswoić sobie marksistowskie kategorie myślenia politycznego. Inaczej niczego pan nie zrozumie ponieważ rzeczywistość a tym samym i historię w bloku wschodnim budują komuniści”.

Lecz jakie kategorie myślenia politycznego winien sobie przyswoić komunista, by rozumieć to co dzieje się na Zachodzie? Jak wiadomo rzeczywistość, a tym samym i historię Zachodu budują nie-marksисти.

Marksizm przyzwyczajają ludzi do myślenia kategoriami utopijstycznymi. Ten typ myślenia, całkowicie obcy umysłowości zachodniej, cechuje w Polsce i nie komunistów. Redaktor „Polityki” M.F. Rakowski polemizując z „Kulturą” w swojej książce napisał, że... Zachód szuka ideologii a współpracownicy naszego miesięcznika pomagają mu w tym zbożnym dziele. Jeden z młodych polskich historyków, który odwiedził mnie tego lata — w dłuższej rozmowie podjął ten sam temat: „Komuniści budują socjalizm — wy na Zachodzie winniście budować demokrację. Ideałem marksistów jest ustrój pełnego komunizmu. Czy ideałem Zachodu nie powinien być ustrój pełnej demokracji?”.

Mój sympatyczny młody znajomy spojrzął na mnie ze zdumieniem gdy powiedziałem, że jeżeli za istotę obecnego ustroju demokratycznego uznać parlamentaryzm to skłonny jestem przypuszczać, że jego pozycja z każdą dekadą będzie maleć. Coraz większą rolę odgrywa *research*, a coraz mniejszą rolę wyborca. Innymi słowy, rząd w coraz większym stopniu będzie opierał się na sztabach naukowców, a w coraz mniejszym stopniu na masowej opinii laików. Proces ten postępować będzie wolno i za zgodą wszystkich zainteresowanych, a tym samym, będzie w pełni demokratyczny.

Charakterystyczne jest jednak, że ludzie w kręgu bezpośrednich wpływów marksizmu są przekonani, że jednej ideologii należy przeciwstawić drugą ideologię, jednej utopii drugą utopię, „rajowi” pełnego komunizmu raj „pełnej demokracji”. „Szukanie ideologii” oznacza szukanie idealnego ustroju społecznego. Ustrój idealny jest z definicji ustrojem finalnym i ostatecznym.

Stosunek przekonanego zachodniego demokrata do ustroju demokratycznego w niczym nie przypomina stosunku przekonanego komunisty do ustroju komunistycznego.

Marksisti uważają ustrój pełnego komunizmu za rozwiązanie społeczne idealne a tym samym ostateczne. Człowiek zachodni sądzi natomiast, że nie ma ustrojów społecznych idealnych i ostatecznych i każdy ustrój (demokracji nie wyłączając) jest tylko wyrazem pewnego stopnia ewolucji.

W prasie krajowej słowo „ustrój” powtarza się w licznych odmianach z obsesyjną monotonią. Czytamy na każdej stronie i niemal w każdym artykule o ustroju socjalistycznym, o ustroju kapitalistycznym, o ustroju komunistycznym itd. W języku angielskim, skądinąd tak bogatym — nie ma nawet odpowiednika słowa „ustrój”. Trzeba uciekać się do określeń zastępczych: *form of society, organization, government, structure* itp. Na Zachodzie nie ma żadnej obsesji ustrojowej i o ile mówi się wiele o reformach o tyle o ustroju nie mówi się nigdy.

Dla przeciętnego Anglika czy Francuza ustrój jest strukturą funkcjonalną. Nikt nie jest bez zastrzeżeń zadowolony z ustroju tak jak nikt nie jest bez zastrzeżeń zadowolony ze swojego mieszkania. Tak dom mieszkalny jak i ustrój trzeba stale ulepszać, reformować, przebudowywać — ponieważ tak dom jak i ustrój stanowią nie cel sam w sobie lecz instrument życia i współżycia. Celem jest człowiek i jemu służyć ma zarówno dom w którym mieszka, jak i ustrój w którym żyje.

W prasie i w periodykach bloku wschodniego pisze się wiele o historii. Propagandowy slogan głosi, że „historia jest po stronie socjalizmu”. W krajach zdobytych przez komunistów rewizji podaje się przede wszystkim podręczniki historii. To zainteresowane jest rozumiało jeżeli przypomnimy sobie, że Marks i Engels stosując materializm dialektyczny do badania społeczeństwa i jego historii, stworzyli teorię ogólnych praw rozwoju społecznego. Teorią tą jest materializm historyczny czyli tzw. materialistyczne pojmowanie dziejów.

Na Zachodzie pisze się więcej o ewolucji i ewolucjonizmie niż o Historii. Lecz ewolucja jest również historią. Darwin w pewnym sensie był historykiem, a odkryte przez niego prawidłowości dotyczą ewolucji w najogólniejszym tego słowa znaczeniu. Tak jak w świecie organicznym na powierzchni życia utrzymują się gatunki najlepiej przystosowane do walki o byt — tak w świecie idei przeżywają i trwają idee najgłębiej odczuwane, dla których w każdej epoce ludzie gotowi są walczyć z bronią w rękę, czy bez broni w rękę. Do idei wykazujących niezniszczalną odporność należy idea wolności.

Lecz celem tego artykułu nie są teoretyczne rozważania na temat historii, tym mniej propaganda „zachodniej szkoły historycznej”. Celem tego artykułu — jak i wielu poprzednich — jest ułatwić inteligentowi w Polsce zrozumienie pewnych procesów, które wstrząsają Zachodem.

Ileż razy czytałem w komentarzach prasy krajowej następującą opinię: „p. Mieroszewski wykazuje niezrozumienie zmian zachodzących w Polsce Ludowej”. Prawdopodobnie istotnie wielu rzeczy nie rozumiem. Lecz nikt z nas na Zachodzie nie uważa się za znawcę Wschodu z racji swego urodzenia. Ci z nas, którzy interesują się przemianami społecznymi w bloku wschodnim wkładają wiele pracy i trudu w studium tych przemian. Nie mamy żadnych trudności w sprowadzaniu prasy, periodyków, książek — co sprawę znacznie ułatwia.

Natomiast inteligent krajowy, który nie widuje prasy zachodniej miesiącami — uważa, że rozumie Zachód z racji swego urodzenia. Słyszy od kolebki, że „Polska jest krajem kultury zachodniej” i i w końcu daje temu wiarę.

Po 25 latach pobytu na Zachodzie ryzykuję pogląd, że w okresie Dwudziestolecia mieliśmy równie znikomą garść ludzi znających i rozumiejących Zachód jak obecnie, z tym, że powierzchowna znajomość kultury zachodniej przed wojną była znacznie większa.

W Polsce Ludowej ukazało się ostatnio kilka książek o Zachodzie — głównie o Ameryce —uczciwych. Lecz kryterium uczciwości dotyczy tylko dobrej woli autora, a nie jego zdolności zrozumienia danej problematyki.

W rozmowach z inteligentami z kraju pojawia się zawsze sprawa podtekstów. W Polsce o wszystkim decyduje podtekst a nie tekst. Weźmy przykład:

„Wokół pieniało się złe morze,
choć nikt na morze się nie pieniał,
— stąd wniossek, że tresurą możesz
łatwo zwyczaje ludzkie zmienić
jeżeli wierzysz nieugięcie
iż cel podróży jest w okręcie”.

Gdy czytelnik krajowy w „Współczesności” w dłuższym poemacie przeczyta powyższą zwrotkę natychmiast dopatry się

pointy w ostatnich dwu wierszach. Ten sam poemat wydrukowany pod nazwiskiem John Smith w jakimkolwiek piśmie angielskim — utraciłby całe swoje tło skojarzeniowe a tym samym podtekst i sens.

Słyszysz się opinię, że w literaturze zachodniej nie ma podtekstów, nie ma „wielkich spraw”, nie ma napięć. W literaturze która o nic nie walczy nawet w podtekście, panuje nuda i pesymizm.

Nieporozumienie polega na tym, że literatura zachodnia jest dziś znacznie mniej reprezentatywna niż 30 lat temu. Wielkie konflikty i boje intelektualne nie rozgrywają się na scenie literackiej. Inteligenci krajowi popełniają ten błąd, że patrzą na Zachód tradycyjnie przez literackie okulary.

Lecz nieporozumień jest więcej. Pisze się o chaosie moralnym na Zachodzie. Dzieci tych, którzy w 19 wieku odrzucili doktrynę chrześcijańską — odrzucają dziś etykę chrześcijańską. Z afery ex-ministra Profumo prasa sowiecka zrobiła barwną ilustrację klasycznej tezy o upadającym zdegenerowanym Zachodzie.

Nie zawsze łatwo jest odróżnić objawy upadku od objawów kryzysu. Zachód przeżywa kryzys na wielu polach — między innymi i w sferze moralnej. Lecz ów kryzys nie ma nic wspólnego z upadkiem. Przeciwnie, ów kryzys obserwowany z bliska przekonuje o żywotności i o niewygasłym dialektycznym geniuszu kultury zachodniej. Kryzys musi prowadzić do degeneracji tylko tam gdzie źródła dialektyki zabite są deskami skotniałej ortodoksji.

Weźmy przykład najbliższy: ruch zjednoczeniowy chrześcijaństwa. Czytałem na ten temat dziesiątki artykułów w katolickiej i komunistycznej prasie krajowej. Autorzy artykułów w prasie katolickiej jeżeli chodzi o znajomość teologii i historii kościoła przerastają mnie o głowę. W wielu wypadkach jednak nie rozumieją dostatecznie intymnie Zachodu, by uchwycić pointę tego procesu. Bo to jest proces w całości i bez reszty zachodni i stanowi istotny fragment ewolucji kultury zachodniej.

Porozumienie chrześcijan stało się możliwe nie na skutek naporu materialistycznego marksizmu, ani nie na skutek konieczności utrzymania pokoju w epoce atomowej. Choć powyższe czynniki odgrywają znaczną rolę i stwarzają pewien klimat — nie leżą u podstaw ruchu zjednoczeniowego.

Na kryzys moralny na Zachodzie spojrzeć można z dwóch różnych perspektyw. Wierzący chrześcijanie dopatrują się źródła upadku wartości moralnych w powszechnej laicyzacji graniczącej niemal z neopoganizmem. Te koła krytykują system nauczania religii w szkołach, wpływy radia, telewizji i masowej kultury w ogólności.

Ateistyczni humaniści z drugiej strony barykady, przyczyn chaosu moralnego dopatrują się w niedostatecznej sekularyzacji, w przymusie nauczania przedmiotów religijnych, w propagandzie religijnej itd.

Kryzysu wartości moralnych w otwartym społeczeństwie nie można załatwić aktem ustawodawczym. James Hemming („Moral Education in Chaos”) cytuje ankietę przeprowadzoną wśród studentów, którzy obrali karierę nauczycielską. Na 600 respondentów 50% wypowiedziało się za religią jako źródłem wartości moralnej, a drugie 50% za humanistyczno-laickim pojmowaniem moralności. Należy przyjąć, że współczesna szkoła angielska odzwierciedla powyższy stan rzeczy. Dzięki temu, tego samego szkolnego przedpołudnia jeden nauczyciel tłumaczy młodzieży, że człowiek wyewoluował z niższych form, podobnie jak wszystkie ssaki do których przynależy — a w godzinę później drugi nauczyciel, tym samym chłopcom i dziewczętom czyta teksty pisma świętego mówiące o stworzeniu Adama i Ewy.

Kryzysem moralnym — podobnie jak kryzysem gospodarczym — dotknięci są zawsze wszyscy zarówno dorośli jak i młodzież. I na to nie ma rady.

Cierpliwy Czytelnik zapyta w tym miejscu: co to wszystko ma wspólnego z ruchem zjednoczeniowym chrześcijaństwa? Odpowiedź brzmi: bardzo wiele.

Zjednoczenie nabrało cech realnych, ponieważ zwalczające się ortodoksje tracą grunt pod nogami.

W ostatnich dekadach stało się oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że tradycyjny, ortodoksyjny przekaz chrześcijaństwa wymaga re-interpretacji. Z drugiej strony stało się niemniej oczywiste, że ortodoksyjny materializm jest również nie do utrzymania. Ta sama nauka, która dostarcza niezbitych argumentów za rewizją ortodoksji chrześcijańskiej — dostarcza również argumentów podważających ortodoksyjny materializm.

Rozpatrywany pod tym kątem widzenia kryzys moralny na Zachodzie jest w gruncie rzeczy dialektycznym ruchem ku syntezie i znamionuje nie upadek, lecz przeciwnie, postęp.

Żadna ortodoksja nie jest zdolna ani do porozumienia ani do syntezy. Wyłączając spod oceny hierarchię kościołów chrześcijańskich — można przyjąć za pewnik, że wśród milionów wyznawców zwolennicy ortodoksji stanowią mniejszość. I to stanowi — w perspektywie ewolucyjnej — fundament i nadzieję porozumienia, które poprzedzić musi zjednoczenie.

T. H. Huxley, który sto lat temu starł się z biskupem Wilberforce na temat teorii Darwina — nie napisałby przedmowy do książki katolickiego księdza i jezuita. A dziś, jego wnuk, Sir Julian Huxley, prezydent Brytyjskiego Towarzystwa Humanistycznego napisał przedmowę do angielskiego wydania dzieła o Teilhard de Chardin. Ten sam Ojciec Teilhard 300 lat temu byłby sponął na stosie jako odstępcą od ortodoksji.

Znakomity biolog amerykański Edmund W. Sinnott w książce napisanej dla niefachowego czytelnika pt. „Cell and Psyche” (Harper, Nowy Jork 1961) — choć odrzuca wszelki dualizm (ciało plus dusza) daje jednak do zrozumienia, że energia duchowa człowieka — choć produkowana przez mózg — może na drodze ewolucji osiągnąć stan pozwalający jej „przeżyć” ciało.

W epoce 19-wiecznego 3-wymiarowego kosmosu, z solidnymi atomami posłusznymi prawom Newtona — biolog, który wystąpił z hipotezą Sinnotta — zostałby ośmieszony i zdruzgotany.

Dziś nie ma przepaści pomiędzy jezuitą o. Teilhard de Chardin a agnostykiem J. Huxleyem. Obaj są ewolucjonistami, obaj głoszą, że człowiek stawszy się świadom swojej ewolucji objął odpowiedzialność za los ludzkiej rasy i naszej planety. Obaj uczeni głoszą, że celem ewolucji jest coraz wyższy postęp i doskonałość. Różni ich wizja syntezy a nie metoda odczytywania procesu ewolucji. Ojciec Teilhard stawia kropkę nad „i” przyjmując, że finalny punkt ewolucji (omega) jest identyczny z Bogiem. Huxley przyjmuje postawę agnostyczną i choć widzi „i” nie stawia nad nim kropki.

Na powyższych przykładach chciałem wykazać, że problem zjednoczenia chrześcijaństwa można ocenić i zrozumieć tylko w ramach wielkich przemian dokonywujących się w kulturze zachodniej. Pogrom ortodoksji tak materialistycznej jak idealistycznej sprawił, że przedstawiciele różnych wyznań chrześcijańskich spojrzeli na swe doktrynalne spory zupełnie w nowym świetle.

Przełom dokonuje się powoli. Ortodoksje bronią swych pozycji i esencję przełomu interpretują po swoich liniach. Materialiści głoszą definitywny upadek religii — a idealiści głoszą, że „materia wyparowała”. W rzeczywistości wyparowały dogmaty zarówno jednej jak i drugiej ortodoksji. I to stanowi sens przełomu w świecie kultury zachodniej — przełomu, który obserwatorom z zewnątrz wydaje się często upadkiem i rozkładem.



Gilles Martinet w swojej książce „Le Marxisme de Notre Temps” — zauważył, że dziś, kiedy sfera wpływów marksizmu jest największa, jego płodność intelektualna jest mniejsza niż kiedykolwiek w przeszłości. Niegdyś język marksistów był precyzyjny i ostry jak brzytwa — dziś przemówienia przywódców komunistycznych naszpikowane są sztancami, kliszami, ogranymi frazesami, a ich żargon pseudo-naukowy przypomina tyrady mlierskich lekarzy.

Marinet pisze, że marksiści nie powinni ograniczać się do analizowania sprzeczności w świecie kapitalistycznym, lecz winni podjąć równie odważnie studium sprzeczności w świecie socjalistycznym.

Dramat polega na tym, że ta prosta i oczywista propozycja jest całkowicie nierealna. Marksisci w świecie komunistycznym nie mają możliwości bezstronnego analizowania sprzeczności ustroju, w którym żyją.

Ani Marks ani Engels ani Lenin — nie zastanawiali się nad techniką dobrego rządu. Wprawdzie Lenin przestrzegał przed Stalinem — niemniej sam sobie wyobrażał, że robotnicy zastąpią rząd, ministerstwa, parlament i wszystkie instytucje państwowe.

Jak słusznie wskazuje doskonała „The Review” w omówieniu książki Martineta — owo całkowite zlekceważenie założeń demokracji w samych początkach — uniemożliwia komunistom przeciwstawienie się tyranii biurokratów, którzy sprawują niekontrolowane rządy.

Obserwujemy paradoksalne zjawisko. Każde seryjne odprężenie pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą prowadzi w rzeczywistości do pogłębienia przepaści między Wschodem a Zachodem. Odprężenie umożliwia tysiącom turystów zetknięcie się oko w oko z rzeczywistością sowiecką. Wśród tych tysięcy są setki, które umieją patrzeć, a wśród tych setek są dziesiątki ludzi, którzy umieją nie tylko patrzeć, lecz i wyciągać wnioski. Sądząc po reportażach, artykułach, listach do redakcji — z każdym rokiem poszerza się na Zachodzie i pogłębia znajomość fenomenu sowieckiego.

Przełom — o którym mówiłem w pierwszej części tego artykułu — a którego treścią w najogólniejszym tego słowa znaczeniu jest próba humanistycznego zharmonizowania kulturalnej nadbudowy z współczesną rewolucją naukową i technologiczną — z każdym miesiącem oddala nas od marksistowskiego Wschodu.

Z dyskusji na łamach prasy krajowej na temat kultury scjentyficznej wynika jasno, że i w tej sprawie panuje między nami nieporozumienie.

W październikowym zeszycie „Kultury”, w „Kronice Angielskiej”, przytoczyłem fragment przemówienia Sir Eric Ashby na tegorocznym kongresie Royal Society. Sir Eric powiedział m.in.: „Szczególnym powołaniem uniwersytetów jest kształcić młodzież w dialektyce pomiędzy ortodoksją a rewizją”.

Owa dialektyka stanowi istotę humanizmu w pojęciu zachodnim. Jeżeli przez wykształcenie humanistyczne rozumieć wykształcenie ogólne — to należy stwierdzić za Sir Eric'em Ashby że technologia wchodzi dziś w zakres humanistyki. W drugiej połowie 20 wieku nie może zgłaszać pretensji do ogólnego wykształcenia człowiek, który nie opanował podstawowej wiedzy technologicznej. Sedno problemu można ująć następująco: technologia nauczana i pojmowana tak jak ujął to w swym przemówieniu Ashby — jest częścią humanistyki. Natomiast historia literatury w wydaniu ortodoksyjno-marksistowskim — humanistyką nie jest. Nie ma sporu pomiędzy scjentyistami a humanistami — istnieje tylko spór pomiędzy humanizmem a ortodoksją.

Pomiędzy demokracją a humanizmem istnieje ścisły funkcjonalny związek. W ustroju totalnym — czy to będzie faszyzm czy komunizm — humanistyka może tylko wegetować w podtekstach i na marginesach.

Ktoś powie, że to wszystko są teoretyczne rozważania nie mające nic wspólnego z polityką. Niestety tak nie jest. Koegzystencja polega nie tylko na współistnieniu, lecz i na współrozumieniu. Wschód i Zachód zbliżają się do siebie w aspekcie technologiczno-cywilizacyjnym i oddalają się od siebie w aspekcie

kulturalno-socjalnym. Nie ulega wątpliwości, że komunizm z każdym rokiem staje się coraz mniej prawdopodobny w Anglii czy w Ameryce, a demokracja parlamentarna staje się coraz mniej prawdopodobna w Sowietach.

Walka podstawy współmyślenia jest *de facto* walką o bezpieczeństwo. Spacyfikowanie naszej planety jest równoznaczne z przyjęciem zasady pluralizmu. Dopóki to nie nastąpi cię z głądy będzie przysłał słońce.

Są pewne fakty, których wymowa jest jednoznaczna. Mur Ulbrichta, stacje zagłuszeniowe, cenzura, zakaz rozpowszechniania prasy i wydawnictw zagranicznych — wszystko to wskazuje niezbicie, że komunizm jest w defensywie. Unika otwartej dyskusji i zamiast argumentów stosuje środki administracyjne i mechaniczne.

O ile prasa i twórczość kulturalna Zachodu budzą wśród społeczeństw bloku wschodniego olbrzymie zainteresowanie — o tyle prasa, radio i produkcja kulturalna bloku wschodniego nie budzą analogicznego oddźwięku wśród społeczeństw świata zachodniego.

Marxizm jest kulturalnie jałowy. Dlaczego? W moim przekonaniu to nie jest wina marksizmu tylko systemu. Nie ma dynamicznej kultury bez humanizmu — nie ma humanizmu bez pluralizmu — nie ma pluralizmu bez demokracji.

Ludzie w bloku wschodnim nie tęsknią do demokracji, której nie znają. Bardzo nieliczni wiążą poczucie prawa z reprezentacją demokratycznie wyłonioną. Ludzie tęsknią za nadbudową demokracji, którą jest pluralizm, prawo do opozycji, bogata i różnorodna twórczość kulturalna — jednym słowem wolność. Nikt nie tęskni za piekarnią, ale głodni ludzie tęsknią za chlebem. Niestety nie ma chleba bez piekarni.

W moim przekonaniu europejskim państwom komunistycznym będzie coraz trudniej izolować społeczeństwa środkami administracyjnymi i mechanicznymi. Zmierzamy ku masowej kulturze w wydaniu światowym, bo tego typu kulturę narzuca rozwój zachodniej technologii.

W zupełnie innej sytuacji są Chiny. Tam nie istnieje dylemat: europejska kultura humanistyczna *contra* marksizm. Chińskie państwowe domy wydawnicze wydają zbiory legend i przypowieści o duchach — wszystko jako klasyczną kulturalną nadbudowę chińskiego marksizmu. Redaktor warszawskiej „Kultury” p. Wilhelmi w swojej bezbrzeżnej naiwności oburza się na „chińskich towarzyszy”, że wydają legendy o duchach, co jest oczywiście idealistyczno-metafizycznym odchyleniem, bo dla marksistów duchów nie ma, nawet w Chinach.

Teoretycznie można było przypuszczać, że marksizm jako ruch europejski będzie działał europeizująco na Chiny. Wydaje się jednak, że nie marksizm zeuropeizował Chiny, tylko Chiny schińczyły marksizm. Dzięki tej operacji Chińczycy uniknęli kulturalnego kryzysu, który charakteryzuje wszystkie komunistyczne państwa europejskie.

Na Zachodzie rozwój technologii i środków komunikacji od samochodu po „Telstar” — na niższym szczeblu nadbudowy kulturalnej wyraża się powszechnością kultury masowej, a na wyższym szczeblu dążeniem do humanistycznego uniwersalizmu. Każdego dnia po obu stronach Atlantyku w miastach zachodniego świata obradują setki międzynarodowych kongresów i zjazdów. Nauka i kultura Zachodu odbywają robocze sesje w permanencji. To jest zjawisko nowe, zjednoczeniowe, typowe dla powojennego okresu.

Polacy, Węgrzy, Czechosłowacy śledzą z napięciem ewolucję kulturalną na Zachodzie, ponieważ to jest ich problem i ich kultura. Chińczyków nic to wszystko nie obchodzi, bo to nie jest ani ich problem, ani ich kultura.

W gruncie rzeczy nie ma innej drogi poza chińską. W Chinach marksizm musi stanowić część składową kultury chińskiej — w Europie marksizm stanowić musi istotną część kultury europejskiej.

Dziś komunizm sowiecki jest w równej mierze antyzachodni jak i antywschodni, antyeuropejski jak i antyazjatycki. Kulturalnie komunizm nie przynależy do nikąd — podobnie jak faszyzm nie przynależał do nikąd. I to zadecyduje z czasem o jego losie. Bo w końcu chodzi o rzecz prostą i zasadniczą. Ci którzy budują bazę ekonomiczną mają prawo do nadbudowy kulturalnej takiej, jaka im odpowiada, a nie narzuconej dekretem menadżerów. Na tym zasadza się demokracja i humanistyczne pojmowanie dziejów.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Komekon i Europa

(ARTYKUŁ DYSKUSYJNY)

W ostatnich miesiącach uwagę opinii publicznej w świecie zaprzątały głównie wydarzenia ściśle polityczne. Zjawisko to naturalne, gdyż podpisanie traktatu moskiewskiego o częściowym zaniechaniu doświadczeń nuklearnych, oraz tocząca się już w kulisach debata o pakcie o nieagresji pomiędzy blokiem atlantyckim i warszawskim, zmierzają do utrwalenia systemu sowiecko-amerykańskiego, jako podstawy ładu światowego, a zatem mogą zadecydować o losach ludzkości na niewiadomy okres czasu. Rozłam w obozie komunistycznym, jak również inicjatywy polityki francuskiej, zachwiały poważnie systemem, ale go jeszcze nie zerwały i do rozstrzygnięcia jest daleko, Sierpniowy manewr gen. de Gaulle'a

w sprawie Wietnamu należy do najbardziej jaskrawych przejawów toczącej się walki. Przedsięwzięty w okresie największych trudności amerykańskich na tym odcinku, ma na celu publiczne ujawnienie klęski polityki prezydenta Kennedy w tym konkretnym wypadku, a co zatem idzie — poderwanie sowiecko-amerykańskiej koncepcji podziału świata na strefy wpływów, realizowane poprzez bezceremonialne dzielenie krajów i narodów według biegu takiej, czy innej rzeki, lub takiego, czy innego równoleżnika. Ale w kulisach wielkiej sceny wydarzeń politycznych odbywają się procesy, których wpływ na politykę międzynarodową będzie wzrastał, przyczyniając się w pewnym, może nawet w decydującym stopniu do skruszenia dyptyku dwóch supermocarstw. W świecie zachodnim rozwiła się euforia, wywołana przez konferencję moskiewską i zamiast serdecznych uścisków pomiędzy pp. Ruskim i Harri- manem a Chruszczowem i Gromką, mamy okazję czytania not protestacyjnych, jakie ci dostojni panowie coraz częściej z sobą wymieniają. Projekt paktu o nieagresji zaalarmował już niemieckie sfery kierownicze i w tym zakresie ich współdziałanie z Francją zapewne będzie bardziej ścisłe niż w innych sprawach. Chodzi bowiem o przeszkodzenie formalnemu uznaniu podziału Niemiec i Europy pomiędzy mocarstwo sowieckie i mocarstwo amerykańskie i o niedopuszczenie do odebrania narodom Europy Środkowo-Wschodniej resztek nadziei na odzyskanie wolności. Nacisk amerykański na rozbicie gospodarczej Wspólnoty Europejskiej i rozcieńczenie jej w wodach atlantyckich przyczynił się w ostatnich miesiącach w pewnym stopniu do obudzenia wśród sześciu partnerów europejskich instynktów samozachowawczych, co doprowadziło, po raz pierwszy, do jednomyślności w symbolicznej sprawie zwiększenia eksportu do Europy amerykańskich kurczaków. Ponieważ bilans amerykańskiego handlu zagranicznego z Europą Sześciu jest w wysokim stopniu dodatni, a kryzys dolara wynika z deficytowego bilansu płatniczego, spowodowanego wydatkami na pomoc dla krajów niedorozwiniętych, kosztami utrzymania korpusów ekspedycyjnych w Europie, w Wietnamie i w Korei oraz odpływem kapitałów prywatnych, poszukujących korzystnych lokat inwestycyjnych zagranicą próba rozwiązania tych trudności przez spotęgowanie eksportu do Europy skazana jest raczej na niepowodzenie. Ameryka dąży do podwojenia nadwyżki bilansu handlowego ze Wspólnotą Sześciu. Wysockość tej nadwyżki wyniosła 2 miliardy dolarów w roku 1962, a miliard dolarów w ciągu pięciu pierwszych miesięcy roku bież. Raptowne podwojenie, czy choćby tylko poważne zwiększenie tego wyniku groziłoby gospodarczym skolonizowaniem Europy. Tym bardziej, że na skutek nadprodukcji produktów żywnościowych Ameryka stara się o zwiększenie eksportu do Europy w dziedzinie, w której Wspólnota Sześciu jest aż nadto samowystarczalna. Zaspokojenie postulatów amerykańskich mogłoby się odbyć tylko kosztem rolnictwa europejskiego. Trudno sobie wyobrazić rząd, który zdobyłby się na podobne poświęcenie, w okresie, kiedy kwestia rolna nabiera w granicach Wspólnego Rynku charakteru

coraz bardziej ostrego, na skutek nadprodukcji we Francji, a w mniejszym stopniu we Włoszech i w Holandii. Sama Europa zbliża się pod koniec roku do kryzysu w tej dziedzinie na skutek żądania gen. de Gaulle'a rozciągnięcia gospodarczej integracji europejskiej także na rolnictwo, gdy obecnie jest ona ograniczona tylko do przemysłu.

Kryzys wyłączności amerykańskiej w kierownictwie Sojuszem Atlantyckim i światem zachodnim uległ zaostreniu na skutek procesów gospodarczych. Zadanie, które Stany Zjednoczone sobie postawiły, przerasta możliwości tego supermocarstwa. Będzie ono musiało, prędzej czy później, poddać rewizji całość swoich zobowiązań w krajach niedorozwiniętych i w Europie. Zastugą de Gaulle'a jest, że pierwszy dojrzał tę ewentualność i przedsięwziął w zakresie skromnych środków, jakimi Francja rozporządza, przygotowania do usamodzielnienia Europy. Jego partnerzy ze Wspólnoty Sześciu, łudzą się jeszcze iluzjami. Ale chowanie głowy w piasek jest obyczajem strusiów. Na długą metę nie może być podstawą polityki.

W wyższym jeszcze stopniu, niż na Zachodzie, wywarły procesy gospodarcze wpływ na rozkład monolitu komunistycznego, o spoistości którego byliśmy wszyscy przekonani jeszcze kilka lat temu. Z polemiki pomiędzy głównymi organami prasowymi Sowietów i Chin dowiedzieliśmy się o cofnięciu sowieckiej pomocy gospodarczej już kilka lat temu. Następstwa polityczne tego kroku przybrały charakter otwartego zerwania w ciągu ostatnich miesięcy. O ile Sojusz Atlantycki, mimo kryzysu, jeszcze się trzyma, o tyle monolit komunistyczny przestał istnieć, a kierownictwo sowieckie w świecie komunistycznym uległo poważnemu zachwianiu. Na pewno będziemy mieli możność obserwowania przejściowych zbliżeń pomiędzy dwiema „bratnimi” partiami, ale nic już nie zmieni faktu usamodzielnienia się Chin i ich przyszłej orientacji w kierunku ekspansji terytorialnej kosztem sowieckich posiadłości azjatyckich, oraz na niekorzyść wpływów amerykańskich w południowo-wschodniej Azji. Gdyby nawet Sowiety zdecydowały się, ostatecznie, udzielić Chinom pomocy w zakresie zbrojeń nuklearnych, kryzys uległby tylko przejściowemu załagodzeniu. I dlatego trwały kompromis chińsko-sowiecki jest mało prawdopodobny.

Ale rozłam pomiędzy Moskwą i Pekinem zachwiał także spoistość bloku sowieckiego. Zmusił on ostatecznie Chruszczowa, uzupełniając wpływ wydarzeń polskich i węgierskich 1956 roku, do uznania zasady równości partii komunistycznych, do formalnej wprawdzie, ale wymownej rezygnacji z prymatu sowieckiej partii komunistycznej nad partiami satelickimi i zagranicznymi, oraz do pogodzenia się z faktem, że dążenie do komunizmu może być realizowane metodami, właściwymi dla każdego z państw bloku, bez konieczności ścisłego wzorowania się na modelu sowieckim. W tej chwili nie wiadomo właściwie, czy schizma jest w Moskwie, czy w Pekinie. Niewątpliwie w teorii system chiński jest bliższy leninowsko-stalinowskiemu i posiada pewne możliwości wywierania wpływu, tam, gdzie partie komunistyczne dążą dopiero

do rewolucji. Ale ta czystość doktrynalna jest pozorna i ogranicza się do antysowieckiej frazeologii. Zarzucając Moskwie cofanie się przed rozstrzygnięciami spraw spornych siłą, jak w sprawie Kuby, Pekin uprawia w praktyce tę samą politykę ostrożności wobec Formozy. Niemniej, istnienie dwóch ośrodków atrakcyjnych otworzyło przed europejskimi satelitami Sowietów pewną swobodą manewru. Sprzyja jej względna liberalizacja systemu sowieckiego od czasu dojścia do władzy Chruszczowa, przekonanego, że powrót do metod Stalina nie jest możliwy a uwikłanego w rozgrywki z aparatem partyjnym i biurokracją, wychowaną przez Stalina. Kreml nie zaprzestał dyktowania swej woli satelitom metodami dyskretnymi, za pośrednictwem swych ambasadorów, lub kanałami partyjnymi. Jednak coraz bardziej staje się widoczne, że Chruszczow czuje potrzebę zjednywania sobie satelitów i poszukiwania ich poparcia. I to nie tylko, gdy chodzi o solidaryzowanie się z nim w bloku sowieckim, lub o wspólną postawę wobec Chin. Ta nowa metoda ostrożności wobec satelitów dotyczy także odcinka gospodarczego, którego znaczenie może zadecydować w niedalekiej przyszłości o spoistości wewnętrznej bloku sowieckiego, a przynajmniej o jego charakterze, opartym na tradycji przymusu, zastosowanego w latach: 1944-45.

Utworzona jeszcze przez Stalina Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (Komekon) istniała jedynie na papierze, gdyż Rosja ówczesna wolała opierać swe stosunki gospodarcze z satelitami na podstawie umów handlowych dwustronnych, ułatwiających eksploatację. Koordynacja planów gospodarczych odbywała się po prostu metodą narzucania woli sowieckiej, bez pytania zainteresowanych o zgodę, co musiało prowadzić do wyników, często sprzecznych z zamierzeniami, a w każdym razie odpowiadających przede wszystkim interesom państwa kierowniczego.

Wskreszenie Komekonu przez Chruszczowa odbyło się w sytuacji, nie pozwalającej już na pełne wykorzystanie tej instytucji dla interesów wyłącznie sowieckich. Przede wszystkim — Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej zachowuje ciągle jeszcze charakter raczej doradczy, niż decydujący. Wprawdzie państwa członkowskie zobowiązały się od pewnego czasu dostarczać projekty planów gospodarczych przed ich uchwaleniem przez narodowe ciała ustawodawcze, ale uprawnienia Komekonu ograniczają się tylko do zaleceń koordynacyjnych, a nie mają mocy obowiązujących decyzji. Komekon nie posiada, jak dotychczas, organu wykonawczego o charakterze ponadpaństwowym. Polityka sowiecka, początkowo bezwzględnie wroga wobec Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, uległa w ciągu r. 1962 poważnej ewolucji, zresztą nie bez wpływu zagranicznych partii komunistycznych. Z właściwym sobie realizmem szef rządu sowieckiego ocenił, że blok sowiecki może odnieść więcej korzyści, zbliżając się do prosperującej Wspólnoty Europejskiej, niż walcząc z nią przedwcześnie, bez posiadania niezbędnych atutów. Warunkiem powodzenia tej nowej polityki, z punktu widzenia Kremla, jest przekształcenie Komekonu na organ, przypominający Komisję Europejską Wspólnoty

Gospodarczej, albo Wysoką Władzę Wspólnoty Węgla i Stali. Prace w tym kierunku zostały zapoczątkowane w roku 1962, ale, jak dotychczas, wyniki okazały się nikłe. Zapadły właściwie dwie decyzje poważne. Jedna dotyczy utworzenia Międzynarodowego Banku Krajów Socjalistycznych, którego zadaniem ma być ułatwienie wymiany handlowej wewnątrz bloku, w związku z brakiem wspólnej waluty i niewymienialnością walut narodowych, oraz w związku z istnieniem kilku kursów tych walut. Druga dotyczy przyspieszenia budowy rurociągu „Przyjaźni”, mającego na celu udoskonalenie systemu zależności satelitów od Związku Sowieckiego w zakresie energetycznym. Nieoczekiwanie, na największe trudności natrafił projekt obowiązkowej koordynacji państwowych planów gospodarczych, dla której wymyślono eufemistyczną nazwę „socjalistycznego podziału pracy”.

Opor przeciwko „socjalistycznemu podziałowi pracy” świadczy o przebudzeniu się refleksów narodowych w poszczególnych państwach satelickich i to aż do naczelnych szczebli władz państwowych włącznie. Nie przesądzając w tej chwili znaczenia tego objawu, należy go co najmniej zanotować i stwierdzić, że skończyła się pewna epoka. Tak, jak Aleksander Bregman w swym raporcie z podróży do Finlandii stwierdza, że fińscy komuniści nie zasługują na nazwę agentury sowieckiej partii komunistycznej, poszczególne partie satelickie i wyłonione przez nie rządy, zaczynają ujawniać coraz wyraźniej skłonność do uzyskania pewnej swobody i samodzielności, chociaż ciągle jeszcze w ramach bloku sowieckiego. W pewnym stopniu źródłem tych skłonności jest lęk przed własnym społeczeństwem, a więc co najmniej konieczność liczenia się z jego nastrojami, a wkrótce — może — z jego postulatami. Drugim motywem oporu przed „socjalistycznym podziałem pracy” jest obawa przed reperkusjami trudności sowieckich na satelickie gospodarki narodowe. Dużą rolę gra niechęć do poświęceń w wyciąganiu z trudności „bratnich” republik satelickich, lub do rezygnacji na ich korzyść z takiej, czy innej gałęzi gospodarki, gdyż jedną z cech psychicznych spauperyzowanych społeczeństw i rządów Europy Środkowo-Wschodniej jest duma z osiągnięć, w których, z braku innych kapitałów, trzeba było zainwestować i to pod przymusem, rezygnację z minimum godziwego poziomu życia. Niektóre kraje, jak Rumunia i Bułgaria, lękają się skazania ich, w wyniku „socjalistycznego podziału pracy”, na zachowanie przewagi rolnictwa nad przemysłem, gdy spontanicznym dążeniem mas i lokalnych partii jest uprzemysłowienie najszybciej prowadzące do podniesienia stopy życiowej. W czasie tegorocznej, letniej sesji Komekonu Gherghiu Dej, szef rządu rumuńskiego, kiedyś gorliwy stalinista, wywołał niemałe zdziwienie uczestników, oświadczając brutalnie, że gospodarczy plan rumuński będzie opracowywany wyłącznie pod kątem widzenia interesów rumuńskich i że jego kraj będzie handlował wedle własnej woli, z kim mu się będzie podobało. Nawet Żiwków, kreatura Chruszczowa, po zesłorocznych czystkach, zastrzegł się, że Bułgaria nie dojrzała jeszcze do integracji i podporządkowania się zasadzie „socjalistycznego podziału

pracy". Walter Ulbricht, najbardziej zniechęcony spośród przywódców satelickich, znalazł również okazję do zgłoszenia szeregu zastrzeżeń. Miał ku temu chyba najwięcej powodów, gdyż sytuacja gospodarcza jego kraju przybrała charakter najbardziej katastrofalny, a wydajność pracy wschodnio-niemieckiego robotnika nie wzrosła, mimo wybudowania muru berlińskiego, a może właśnie dlatego. Najbardziej potulne, jak zawsze, okazało się kierownictwo partii i rządu czechosłowackiego, ale ono bije już od dawna wszystkie rekordy konformizmu wewnątrz bloku sowieckiego. Pewien wpływ na postawę Czechów wywarła z pewnością stalinowska przeszłość Nowotnego, zmuszonego obecnie do wzmoczonej gorliwości, za cenę której utrzymuje się przy władzy. W imię obiektywizmu nie należy jednak pominąć faktu, że na konformistyczne stanowisko Czechów wpływa także ich stosunkowa, mimo panującego obecnie kryzysu, zwłaszcza w rolnictwie, siła gospodarcza. Zacieśnienie stosunków z Sowietami przedstawia dla nich mniejsze ryzyko, niż dla ich sąsiadów. Ciekawe stanowisko zajął Kadar, który, za cenę względnej liberalizacji systemu w zakresie amnestii, przywrócenia swobody słowa, złagodzenia stosunków z Kościołem, ułatwienia wyjazdów obywateli węgierskich zagranicę i powrotu uchodźców politycznych, poszedł na stosunkowo poważne koncesje. Niektóre z nich mogą się odbić katastrofalnie na gospodarce węgierskiej. Mam na myśli układ, na mocy którego rząd węgierski zobowiązał się, stosownie do zasady „socjalistycznego podziału pracy”, wysłać do Rosji całą produkcję bauxytu, który, już jako aluminium, ma być następnie zwrócony Węgom. Ten układ należy do najbardziej jaskrawych nonsensów, jakie może zanotować historia gospodarcza świata i zmusi Węgrów do sprzedawania ich aluminium ze stratą. Wątpliwe zresztą, aby mógł być wykonany, gdyż nie pozwoli na to niedostateczność połączonego taboru kolejowego Sowietów i Węgier. W każdym razie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Chruszczow, wskrzeszając Komekon, pragnie powrócić, w innej formie, do stalinowskiej polityki eksploatacji gospodarczej państw satelickich. Tym razem jednak plany sowieckie napotykać na opór i nie ma jeszcze żadnej pewności czy się powiodą.

Wspólnym i zupełnie już nieukrywaniem dążeniem państw satelickich jest oparcie ich wzajemnych stosunków, oraz ich stosunków z Sowietami, na zasadzie układów dwustronnych, które za czasów Stalina były narzędziem eksploatacji, a obecnie ułatwiają obronę przed zbyt daleko idącymi próbami integracyjnymi. Drugim objawem wspólnym jest dążenie do rozwinięcia wymiany gospodarczej ze światem kapitalistycznym, a troska o zachowanie towarowych środków wymiany powoduje powściągliwość w wymianie handlowej na wewnątrz bloku sowieckiego. W tym dążeniu na pierwsze miejsce wybija się Polska, a na ostatnim znajduje się Niemiecka Republika Demokratyczna, pomysłana początkowo przez sowieckich ekonomistów, jako wzór do naśladowania dla „demokracji ludowych”. W tym roku z nową inicja-

tywą rozwinięcia stosunków handlowych z Zachodem wystąpiła Rumunia, wysyłając w sierpniu specjalną misję do Waszyngtonu z zadaniem uzyskania tych samych pomocy, z jakich, z wyjątkiem roku 1962, korzysta od kilku lat Polska i Jugosławia.

Obok przebudzenia się refleksów narodowych, albo na skutek konieczności liczenia się ze społeczeństwem, integrację w ramach Komekonu utrudniają także przeszkody techniczne. Jedną z przyczyn niechęci satelitów do podporządkowania się „socjalistycznemu podziałowi pracy” jest lęk przed schematyzmem sowieckim, nie uwzględniającym różnic klimatycznych, interesów regionalnych, różnic w wydajności robotnika zależnie od narodowości, różnic obyczajowych, religijnych itp. Jak wiemy, ten schematyzm tłumaczy zresztą niepowodzenia planistyki sowieckiej w ogóle, a klęskę materialną i doktrynalną komunizmu w dziedzinie rolnictwa w szczególności. Niemałą rolę wśród przeszkód, hamujących integrację, odgrywa chaos monetarny. Pieniądz poszczególnych państw satelickich nie ma obiegu ani pomiędzy nimi, ani w Sowietach, podobnie zresztą, jak rubel. Kalkulację cen utrudnia istnienie kilku naraz kursów, co zmusza do zawierania układów handlowych na podstawie *troc'u* (niech mi puryści wybaczą nieznaną odpowiedniego terminu polskiego), a nie na podstawie określonej kwoty. Najczęściej za podstawę kalkulacji cen, zwłaszcza gdy chodzi o artykuły, posiadające kurs światowy, określany na giełdach, służy dolar przeliczeniowy. Decyzja o utworzeniu Międzynarodowego Banku Państw Socjalistycznych nie przyniesie oczekiwanych wyników, dopóki w ramach bloku sowieckiego nie będzie wprowadzona, wzorem Europy, wymienialność dewiz narodowych i dopóki nie nastąpi zerwanie z podtrzymywaniem kilku kursów. Jeszcze większy chaos, niż w dziedzinie monetarnej, panuje w zakresie kalkulacji cen, opartej często na konieczności sprzedania, a nie na normalnych kryteriach handlowych. Tam gdzie Sowiety sprawują wyłączność, np. gdy chodzi o naftę i produkty naftowe, ta dowolność prowadzi do krzyczących nadużyć. Jest powszechnie wiadomo, że satelici zmuszeni są płacić za naftę sowiecką 30% drożej niż kraje kapitalistyczne. Nie wiadomo, jakie panują w bloku sowieckim kryteria w określaniu dochodu narodowego totalnie i na jednostkę, oraz w kalkulacji kosztów własnych. W następstwie tego chaosu statystyki oficjalne, nawet te, które wykazują pewną tendencją do rzetelności, jak polskie, zawodzą, jako materiał do oceny gospodarczej, lub do rokowań międzynarodowych. Między innymi zbyt często nadużywana jest metoda wskaźników, bez podania wartości absolutnych. Statystyki polskie np. podają dynamikę dochodu narodowego wyłącznie we wskaźnikach, nie wiadomo na czym opartych. Uniemożliwia to porównania wysokości dochodu narodowego w ogóle i na jednostkę zarówno w granicach bloku sowieckiego, jak w skali światowej. Jeżeli do tego dodać rozmaitość systemów miar, taryf transportowych, brak standaryzacji, od opakowania zaczynając, to zobaczymy, że samo usunięcie przeszkód technicznych na drodze do przekształcenia Komekonu w organizm przypominający Europejską Wspólnotę Gospodarczą,

wymagałoby bardzo długiego czasu. Tym czasem kierownictwo Komekonu, inaczej mówiąc — Związek Sowiecki, nie rozporządza. Schizma chińska odebrała mu znaczną część autorytetu, a przede wszystkim rolę jedyne go w świecie komunistycznym kierowniczego ośrodka doktrynalnego i politycznego. Własne niepowodzenia gospodarcze, widoczne w przemyśle, ale przede wszystkim w rolnictwie, gdzie przybrały charakter katastrofalny i kompromitujący doktrynę komunistyczną, nie zachęcają satelitów do nadmiernego związywania się ze złym interesem, zwłaszcza, gdy główna przyczyna spoistości bloku sowieckiego, strach, zaczyna zanikać nie tylko wśród satelitów, ale nawet w stosunkach wewnętrznych Związku Sowieckiego. Powrót do metod stalinowskich jest trudny, jeśli wręcz niemożliwy. Kremłowi nie pozostaje nic innego, jak oddziaływanie perswazją oraz jak najdalej posunięta ostrożność w stosowaniu środków przymusu, obok bezustannej troski o uniknięcie sytuacji, które przypominałyby październik i listopad 1956 roku. Opanowanie podobnych sytuacji przez użycie siły wojskowej grozi dziś Sowietom ogromnymi komplikacjami, w pierwszym rzędzie w samej Rosji. Kryzys Komekonu świadczy zresztą także i o tym, że komunistyczne partie lokalne i rządy satelickie spychane są coraz bardziej, mniejsza o to świadomie czy pod wpływem rzeczywistości, na grunt interesów narodowych i będą do tych interesów coraz bardziej stosowały swoją politykę i nagiwały doktrynę.

W interesie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej leży wykorzystanie zarysowujących się po drugiej stronie żelaznej kurtyny przemian i przyspieszenie zachodzących tam procesów. Europa powinna jak najdłużej utrzymać strukturę, ułatwiającą państwom satelickim obronę ich autonomii. Zbyt szybki proces integracyjny Europy musi prowadzić do wzmocnienia nacisku sowieckiego w kierunku integracji w ramach Komekonu. Należy go więc opóźnić co najmniej do momentu, w którym państwa satelickie wyjdą, w takiej, czy innej formie, z orbity sowieckiej. Komisja europejska powinna nie zaniedbywać inicjatyw umożliwiających satelitom zbliżenie gospodarcze z Europą, bo to jest jedna z dróg, prowadzących także do zbliżenia politycznego. Sowiety, uwikłane we własne trudności, będą miały coraz mniej możliwości, a chyba i ochoty do przeciwstawiania się siłą takiemu zbliżeniu, do którego, zresztą, same się również skłaniają. Dopóki Komisja Europejska nie zrozumie, o jaką stawkę chodzi, powinny ją wyręczyć rządy państw Wspólnoty. W roku 1963 można zanotować w tej dziedzinie dwa wydarzenia o wielkiej doniosłości. Jednym z nich jest wysłanie przez rząd Niemieckiej Republiki Federalnej wielkiej misji handlowej do Polski, pomimo braku stosunków dyplomatycznych między obydwoma rządami, a jako jeden z pierwszych rezultatów tej inicjatywy — umowa pomiędzy zakładami Kruppa i polskimi centralami przemysłowymi o budowę wspólnym wysiłkiem dużego kompleksu przemysłowego w Brazylii. W tym wydarzeniu wolno się dopatrywać nie tylko talentu dyplomatycznego Bertolda Beitza, generalnego dyrektora zakładów Kruppa ale i rozsądnego rea-

lizmu czynników rządowych, pomimo, że pokrywają one jednocześnie tę pożyteczną dla interesów polskich inicjatywę gospodarczą zaostrzeniem propagandy, inspirowanej zresztą przez Sowiety i oskarżającej Niemcy Zachodnie o pielęgnowanie zamiarów rewizjonistycznych w stosunku do Polski.

Drugim wydarzeniem o podobnej doniosłości jest zawarcie dodatkowej umowy handlowej francusko-polskiej, przewidującej zwiększenie wymiany o 30 milionów dolarów, oraz zastąpienie rocznych traktatów handlowych przez umowy długoterminowe, które będą tolerowały roczne nadwyżki polskiego importu z Francji nad eksportem do tego kraju, pod warunkiem zrównoważenia wymiany pod koniec umownego okresu. Jednocześnie zapadła decyzja, przewidująca wzajemną dostawę maszyn, oraz instalacji przemysłowych. Z tą chwilą Francja przestaje traktować Polskę, jako dostawcę jedynie produktów rolnych, których nie porzucuje i nadaje jej patent wytwórczy maszyn i urządzeń przemysłowych. Jak na konserwatyzm francuski, w wyniku którego wymiana handlowa z Polską kurczyła się ostatnimi laty w zawrotnym tempie, sprowadzając udział Francji w imporcie polskim do 1,4%, a w eksporcie do 1,5% (wobec pozycji Niemiec: 3,3% i 5,1%, W. Brytanii: 6,3%, i 6,3%, Włoch 1,6% i 2,4%), czyli na jedno z ostatnich miejsc. W tej zmianie polityki francuskiej wobec Polski odegrało rolę rosnące w polskim handlu zagranicznym znaczenie W. Brytanii, oraz Niemiec Federalnych, ale sam ten fakt świadczy że rząd francuski zaczyna zdawać sobie sprawę z konieczności skoordynowania wobec Polski swej polityki międzynarodowej z gospodarczą.

Kilka wymienionych tutaj faktów, świadczących o słabej jeszcze, ale już zauważalnej ewolucji stosunków pomiędzy Komekonem i Europą Zachodnią, nie może spowodować zmian trwałych ani przełomowych. Olbrzymi rozmiar możliwości, a jednocześnie brak wszelkiej szerszej myśli w tym zakresie, ujawnił się na przełomie września i października tego roku z okazji sowieckich zakupów mąki i zbóż. Jak wiadomo, z rzadkim wyjątkiem lat o szczególnym urodzaju, produkcja rolna, zwłaszcza produkcja zbóż w Związku Sowieckim jest stale deficytowa. Po blisko 50 latach trwania systemu komunistycznego i biorąc pod uwagę olbrzymi wysiłek, włożony w zmechanizowanie tej gałęzi gospodarstwa, można wysnuć wniosek, że w zakresie rolnictwa, podobnie jak w zakresie dystrybucji i wielu innych, system komunistyczny przegrał i to przegrał definitywnie. Uświadomienie tego zjawiska masom rosyjskim, a zwłaszcza młodemu pokoleniu powinno należeć do głównych trosk świata wolnego. Sprzedaż zboża w takich ilościach, jak to ma miejsce tej jesieni, kiedy chodzi o 6,8 milionów ton z Kanady, 4 miliony ton ze Stanów Zjednoczonych, 1,6 milionów ton z Argentyny i 800 tys. kwintali mąki z Francji (6 milionów dolarów), wszystko razem o wartości około 800 milionów dolarów, przedstawia i powinno być traktowane jako zagadnienie polityczne, jako jeden ze sposobów uzyskania czegoś więcej, niż zwykłego sukcesu handlowego. Oczywiście,

wpływ 250 milionów dolarów do samych tylko kas banku federalnego USA nie jest bez znaczenia w okresie, kiedy wysokość jego rezerw spadła już do 13 miliardów, wobec 23 miliardów, znajdujących się w skarbcach banków emisyjnych innych krajów wolnych, głównie europejskich. Ten pozytywny sam w sobie fakt, nie powinien być przesłonić oczu na istnienie drugiej strony medalu, a mianowicie — na konieczność wydania przez Rosję na sfinansowanie całości operacji 800 milionów dolarów, czyli, według ocen, najbardziej Sowiecom przychylnych, ponad 10% ich zapasów złota. Jeżeli Związek Sowiecki zmuszony będzie kupować zboże i w latach następnych, choćby w mniejszych ilościach, ale które będą zawsze świadczyły o załamaniu się systemu komunistycznego w rolnictwie, byłoby wprost przestępstwem niewykorzystanie przez Zachód politycznego aspektu tej sprawy. Nie wiadomo jeszcze, czy te olbrzymie masy zboża zostały zakupione wyłącznie na użytek ludności Związku Sowieckiego, czy też także dla odsprzedania krajom satelickim. Gdyby to podejrzenie okazało się trafne, musielibyśmy uznać sowiecki cynizm i pogardę, okazywaną Zachodowi przy okazji każdej negocjacji, za poważnie usprawiedliwione. W każdym razie zagadnienie nie-doborów zbożowych wśród satelitów Związku Sowieckiego zasługuje na sumienne przestudiowanie. Wspólnota gospodarcza, a zwłaszcza Francja i w skromniejszym stopniu Włochy, są w stanie pokryć niedobry satelitów przy pomocy własnych możliwości, nie uciekając się do pomocy obywateli dostawców amerykańskich. Powinny to czynić bezpośrednio, w ramach traktatów handlowych, które przybierają obecnie charakter długoterminowy, ułatwiający zrównoważenie wymiany. Amerykańscy dostawcy Związku Sowieckiego powinni się nauczyć od Anglików XIX wieku tej mądrości, która mówi, że nie ma w stosunkach międzynarodowych operacji handlowych, które nie miałyby politycznego charakteru. Nie udziela się bezinteresownie pardonu przeciwnikowi, znajdującemu się w sytuacji przymusowej. Jest to okazja do wyłożenia zaległych rachunków.

„Dobry interes”, jaki zrobili Amerykanie i Kanadyjczycy, nie powinien zniechęcić Europy do ważnej obserwacji zmian, zachodzących w Komekonie, ani powstrzymać jej przed wykorzystaniem każdej okazji, prowadzącej do pogłębienia stosunków z satelitami. Tym bardziej, że zboże nie przedstawia naj-poważniejszej liczbowo pozycji w ich wymianie handlowej ze światem zachodnim. Trzeba uczynić wszystko, aby wyjść na spotkanie tendencjom satelitów do rozluźnienia ich uzależnienia gospodarczego od Sowieców, bez względu na to, czy ta tendencja jest zawsze wyrazem świadomej woli, czy tylko konieczności.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

Kronika angielska

POLSKI CAPITOL HILL

Przed kilku laty na pewnym wieczorze w Instytucie gen. Sikorskiego — wybitny historyk zwrócił się do nas z zapewnieniem: „Panowie wszyscy przedjdziecie do historii”.

Byłbym znacznie pewniejszy naszego „przejścia do historii” — gdyby pisarze emigracyjni wykazywali większe zrozumienie dla powieści politycznej i dla powieści dokumentacyjnej. Polacy są arcy-historyczni. Kariera Pruszyńskiego i Wańkowicza polegała na tym, że brali na warsztat teraźniejszość, a nie historię. W kraju, pierwszy poważny rozrachunek z okresem okupacji nastąpił dopiero w drugiej połowie lat 50-tych. W polskiej literaturze, zarówno krajowej jak i emigracyjnej, do rzadkości należy zbeletryzowany reportaż dokumentacyjny a powieść polityczna jest gatunkiem nieznanym.

W Ameryce roi się od powieści politycznych. Pisane są przeważnie — choć nie zawsze — przez dziennikarzy, świetnie obznajmionych z wybraną tematyką. Do tego typu powieści należą Fletcher Knebel'a i Charles W. Bailey'a „Seven Days in May” czy Andrew Tully „Capitol Hill”. Nieco inny charakter ma „Fail-Safe” Eugene Berdick'a.

Powieści tego rodzaju powstać mogą tylko i wyłącznie w społeczeństwie otwartym. Czy byłoby do pomyślenia napisać w kraju powieść odsłaniającą z wszystkimi szczegółami walki „Chamów” i „Żydów” — „Partyzantów” i „Puławian”? Polski „Capitol Hill” musiałby odsłaniać wszystkie zakulisowe intrygi i spiski w Komitecie Centralnym, gierki personalne — jednym słowem cały mechanizm władzy partyjnej.

Amerykańska powieść polityczna bywa nie tylko odważna ale i zaangażowana. I tutaj dotykamy problemu, który w Polsce walczą krytycy od 20 lat. Najogólniej zaangażowanie można zdefiniować jako zdecydowany i aktywny stosunek do teraźniejszości. Nasi pisarze tradycyjnie boją się teraźniejszości. To pachnie gazeciarsstwem i wyłącza patos oddalenia. Poza tym, teraźniejszość jest zawsze cenzurowana przez tych, którzy są przy władzy. Lecz oczywiście w polskich oczach największą wadą teraźniejszości jest fakt, że nie jest jeszcze historią. Nasi powieściopisarze są wierni maksymie, że „co ma żyć w pieśni musi umrzeć w życiu”. Na tej zasadzie Wajda przystępuje do filmowania „Popiołów”. „Popioły” umarły w życiu, ale czy ożyją na filmie — *it remains to be seen*.

Jako publicysta jestem prawdopodobnie stronnicy i skłonny do przesadnych sympatii w odniesieniu do powieści politycznych. W epoce wczesnej młodości sam pisywałem „dreszczowce” polityczne, a drukowana na kilka lat przed wojną w odcinku I.K.C. powieść „Berlin II” odbiegała od przytoczonej powyżej zasady Goethego. Potwierdziła natomiast porzekadło Oskara Wilde'a że „życie naśladowuje sztukę”. Moja młodzieńcza powieść sztuka prawdopodobnie nie była — niemniej wojna, niestety, wybuchła.

Są problemy ogromnej wagi, współczesne, teraźniejsze, aktualne które wymagają zrozumienia i czynnego zaangażowania. Kwestia murzyńska, bomba atomowa, Pentagon kontra Biały Dom, związki zawodowe, walki polityczne w Kongresie itp. itp. O każdym z tych zagadnień napisano tysiące poważnych studiów, które przeczytała garstka ludzi — przeważnie specjalistów. Natomiast „Advice and Consent” czy „Fail-Safe” — tą są bestsellery czytane przez milionowe rzesze.

Publicysta dużej klasy nawet w prasie amerykańskiej pisze dla wybranych i nielicznych. Ci nieliczni mogą być niezmiernie ważni i bardzo blisko głównego ołtarza. Lecz w momencie wyborów decyduje nie jakość tylko ilość — nie wybitni tylko liczni, bo nawet najświetniejszy pisarz polityczny dysponuje tylko jednym głosem, podobnie jak każdy inny obywatel.

Jest paradoksem naszych czasów, że powieść polityczna rozwija się i zdobywa rynek w Ameryce, a w Sowieciech, w Polsce i w innych krajach bloku wschodniego nie istnieje.

Kazimierz Koźniewski pisze w „Polityce”:

„Marzeniem i dylematem naszej współczesnej literatury pięknej jest powieść polityczna. O cud jej spełnienia modlą się wszyscy. Tadeusz Hołuj, Stefan Kisielewski i Andrzej Kijowski, który chciałby dojrzeć w niej kronikę wielkich wydarzeń teraźniejszości. Pragną jej zarówno działacze polityczni jak czytelnicy. A tymczasem — powieści politycznej jak nie ma tak nie ma”.

Istotą powieści politycznej jest walka, a nie propaganda. Marksizm na pewnym poziomie może być fascynującym przedmiotem dyskusji, choć w krajach wschodnio-europejskich zrobiono wszystko, by intelektualistom doktrynę tę doszczętnie obrzydzić. Lecz po okresie minionym należy uznać, że intelektualista polski jest całkowicie alergiczny w stosunku do bezpośredniej propagandy. Po 20 latach pouczać znów pisarzy, że „sztuka jest służbą”, zamieszczać na każdej stronie hasła-slogany, windować p. Bratnego na stanowisko wielkiego politruka — to może jednak trochę za wiele.

Gomułka na warszawskim „Capitol Hill” śmieje się w kułak i powtarza: „przełknęli, mówiłem, że przełkną!”. Jego pogarda dla intelektualistów musiała wzrosnąć o sto procent.

Nie będzie powieści politycznej, o którą modli się p. Koźniewski. Kiedyś, kiedyś, obecny okres sportretuje powieść historyczna, ale czytać ją będą nasze późne wnuki — nie my.

IDIOMY

Języki słowiańskie Anglosasom wydawać się muszą niezmiernie trudne, egzotyczne i obce. Żaden Anglik nigdy nie pojmie dla czego są *te* Węgry, *ta* Litwa, *to* Monaco i *ten* Luksemburg.

Lecz po wielu latach pobytu na wyspach brytyjskich doszedłem do przekonania, że najtrudniejszym językiem świata jest język angielski. Angielszczyzna jest językiem najtrudniejszym, ponieważ jej bogactwo słów i idiomów jest wręcz nieprzebrane. O każdej porze dnia i nocy setki milionów

ludzi myśli, mówi i pisze po angielsku. W tym morzu ludzi mówiących po angielsku — najmniejszy procent stanowią rdzenni Anglicy. Sądzę, że bogactwo rozwojowe języka jest zależne od jego zasięgu — od różnorodności kultur które obejmuje — od myśli w nim formułowanych — od ilości książek w nim napisanych. W bogactwie, w bajecznej giętkości i zwięzłości angielszczyzny — odzwierciadla się w pełni rozwój zachodniego intelektu.

Angielszczyzny nie można nigdy opanować w pełni. Jeżeli ktoś zna 10 tysięcy słów, może czytać i mówić po angielsku i uchodzi za człowieka znającego język angielski. Lecz czekają na niego dziesiątki tysięcy słów, których nie zna i setki idiomów, z którymi nigdy się nie zetknął. Po angielsku uczymy się całe życie. Jedni należą do „początkujących” — inni przechodzą do grupy „zaawansowanych” — jak na kursach PKPR. Kurs dla „zaawansowanych” rozciągnąć można na dziesiątki lat, ponieważ przedmiot jest większy niż życie.

Wielką pomocą w studiowaniu angielszczyzny są dobre słowniki. Ostatnio ukazał się w Londynie doskonały „Angielsko Polski Słownik Idiomów i Zwrotów” — Piotra Borkowskiego. Słownik Borkowskiego powinni masowo kupować Polacy w kraju. Borkowski podaje wiele nowych idiomów, które zrodziły się w czasie wojny i po wojnie.

Krajowe wydawnictwa w języku angielskim — choć na ogół poprawne — grzeszą często drewnianą, nie idiomatyczną angielszczyzną. Słownik Borkowskiego powinien umożliwić Polakom — a w szczególności Polakom w kraju przyswojenie sobie najnowocześniejszych idiomów współczesnej angielszczyzny.

Nie jestem językoznawcą i nie piszę fachowej recenzji. Osobiście uderzył mnie tylko jeden mały błąd. Borkowski podaje: „Trooping the Colours”. Powinno być: „Trooping the Colour” (liczba pojedyncza). Wybiera się zawsze kolor jednego pułku dla ceremonii wojskowej, określonej nazwą „Trooping the Colour”.

Ten sam błąd popełniają w swoim słowniku Bulas i Whitefield. Za nimi, jak za panią matką, przedrukowuje owe nieszczerne „Colours” Piotr Borkowski. Szkoda, że nie zajrzał do Oxford Dictionary, bo wówczas uniknąłby błędu, którego nie dostrzeże wprawdzie lingwista ale, który zirykował nieco Londyńczyka, weterana „Army of the Nile”.

LENIN I BIBLIA

Jak wynika z wydawanego corocznie przez UNESCO Indeksu Przekładów — w ubiegłym roku Biblia znajdowała się, jak zawsze, na pierwszym miejscu pod względem ilości nowych wydań w różnych językach. Na drugim miejscu znalazły się dzieła Lenina. Po Leninie idą Tołstoj i Szekspir.

Jeżeli marksizm-leninizm jest systemem filozoficznym, studiować go winni w pierwszym rzędzie zawodowi filozofowie. Gdyby większość filozofów w wolnym świecie zaakceptowała marksizm, byłoby to olbrzymim sukcesem dla komunizmu. To są bowiem nie tylko rzeczoznawcy przedmiotu lecz również ludzie wywierający potężny wpływ na opinię swoich krajów. Okazuje się jednak, że na około 10 tysięcy zawodowych filozofów w wolnym świecie zaledwie 100 związanych jest, względnie było — z komunizmem. Oznacza

to, że dla zachodnich znawców przedmiotu komunizm jako system filozoficzny jest nie do przyjęcia.

Słowo „komunizm” odmieniamy codziennie we wszystkich przypadkach, lecz nie wielu z nas umiałoby dać jednoznaczną odpowiedź na pytanie: czym właściwie jest komunizm?

W ubiegłym roku ukazała się znakomita książka o której w prasie emigracyjnej głucho. Mam na myśli „Handbook on Communism”. Redaktorami tego dzieła są — I.M. Bocheński i Gerhart Niemeyer. Książka została napisana przez 15 najwybitniejszych specjalistów.

Dzieło Bocheńskiego — nazwijmy je tak dla skrót — nie ma absolutnie nic wspólnego z propagandą. Przedstawia obiektywnie przejrzyste uporządkowany materiał informacyjny. Mimo, że sowietoznawcza literatura w wolnym świecie liczy tysiące pozycji — nie zawahałbym się umieścić dzieła Bocheńskiego w pierwszej piątce najlepszych książek jakie ukazały się na Zachodzie o komunizmie na przestrzeni ostatnich lat 30-tu.

Większość z nas nie ma ani czasu ani ochoty na studiowanie gigantycznej literatury dotyczącej komunizmu. Z drugiej jednak strony inteligentny człowiek powinien mieć wyrobiony sąd o tak charakterystycznym fenomenie 20-go wieku jakim jest komunizm.

Dziesiątki razy pytano mnie: „Co mi pan radzi przeczytać o komunizmie?”. Do tej pory odpowiedź na to pytanie nie była łatwa. Ludzie, którzy szukali mojej rady nie są ani dziennikarzami ani sowietologami. Chcieliby przeczytać jedną książkę, która w jasny sposób ogarniałaby całość przedmiotu. Do tej pory takiej książki nie było. Dzieło Bocheńskiego, znakomitego znawcy marksizmu i profesora filozofii na uniwersytecie we Fryburgu — lukę tę wypełnia.

Lecz wróćmy do podstawowej kwestii: czym jest komunizm?

Według komunistów marksizm jest nauką. W roku 1883, w przemówieniu nad grobem swego przyjaciela Karola Marksa — Fryderyk Engels podkreślił jako największą jego zasługę, że podobnie jak Darwin odkrył prawa rozwoju świata organicznego, tak Marks odkrył prawa rozwoju dziejowej ludzkości.

Czy istotnie komunizm jest doktryną naukową? Posłuchajmy co w tej sprawie ma do powiedzenia Bocheński w cytowanej książce. Doktryna — by ją można określić mianem naukowej — odpowiadać musi trzem następującym warunkom: po pierwsze — musi opierać się na doświadczeniu; po drugie — musi tworzyć system logiczny i spójny; po trzecie — musi być przystępna krytyce i rewizji, jeżeli nowe fakty i doświadczenia tego wymagają. Komunizm nie odpowiada żadnemu z powyższych warunków. Nie opiera się na doświadczeniu, lecz na teoretycznych założeniach o charakterze dogmatycznym — nie przedstawia logicznego systemu, lecz przeciwnie, wykazuje wiele zasadniczych sprzeczności — i wreszcie komuniści odrzucają niezależną krytykę, w przekonaniu, że oni jedni posiadli absolutną prawdę.

Bardzo znaczny procent też komunizmu jest czystą metafizyką — to znaczy leży poza zakresem naukowego badania. Nauka nie ma nic wspólnego ze stwierdzeniami w rodzaju: „wszystko jest materią”, „wszystko jest dostępne ludzkiemu poznaniu” itp. Teoria komunizmu obfituje w tego typu stwierdzenia, na które nie ma żadnego dowodu.

Jeżeli komunizm nie jest nauką — być może jest wiarą. Rozróżniamy dwa typy wierzeń: religijne i świeckie. Wierzenia religijne opierają się na autorytecie Boga. Wyznawcy danej religii wierzą, że pisma i przykazania powstały z Bożego natchnienia lub objawienia. Wierzenia nie-religijne opierają się nie na autorytecie, lecz na doświadczeniu i usiłują drogą określonej interpretacji nadać sens sumie naszych doświadczeń. Tylko wiary religijne bywają dogmatyczne i absolutne. Wierzenia nie religijne nigdy nie są dogmatyczne i mają charakter hipotez.

Do której z powyższych dwóch typów wiar zaliczyć należy komunizm? Nawet pobieżna analiza wykaże, że komunizm nie jest wiarą ani religijną ani świecką. Komunizm niewątpliwie wykazuje pewne cechy charakterystyczne wiary religijnej. Komuniści powołują się stale na nieomyłne dogmaty swoich klasyków. Lecz zaprzeczają istnieniu Boga i nie przypisują swoim podstawowym tekstom natchnienia bożego. Tym samym rezygnują z nieomylności i z autorytetu absolutnego. Jest jawnym nonsensem przypisywanie autorytetu absolutnego i ostatecznego dziełu czysto ludzkiemu.

Z drugiej jednak strony nie możemy uznać komunizmu za wiarę świecką, gdyż jego wyznawcy nie uważają komunizmu za hipotezę, lecz przeciwnie, za dogmatyczną absolutną prawdę. Komunizm nie jest nauką. Nie jest również wiarą. Komunizm zgłasza pretensje do naukowości a zachowuje się tak jakby był religią. Jeżeli kwestionuje się naukowy charakter marksizmu komuniści powołują się na autorytety — jeżeli szuka się wyjaśnienia autorytetów wówczas komuniści powołują się na naukę.

Być może komunizm nie jest ani religią ani nauką, lecz jest teorią, która mimo wszystko odpowiada prawdzie? Przez prawdziwość rozumiemy stosunek do rzeczywistości. Jeżeli mamy na myśli cele ostateczne doktryna jest prawdziwa jeżeli zaspakaja autentyczne ludzkie pragnienia. System filozoficzny jest prawdziwy, jeżeli syntetyzuje fakty i doświadczenia. Metodologia jest prawdziwa, gdy wiedzie do obranego celu i zapewnia jego osiągnięcie.

Komunizm nie odpowiada żadnemu z powyższych kryteriów. W odniesieniu do celów ostatecznych jest fałszywą utopią. Żadna nierealna utopia nie może zaspokoić autentycznych pragnień ludzkości. Komunizm jest fałszywą filozofią, ponieważ odrzuca jedyny sprawdzian każdej teorii, tzn. niezależne badanie naukowe i zastępuje je dogmatami zaczerpniętymi z klasyków.

Metodologia komunistyczna jest fałszywą metodologią ponieważ nie prowadzi do celu i nie posiada możliwości osiągnięcia wyznaczonych celów.

Czym więc jest komunizm jeżeli nie jest ani nauką, ani religią ani filozofią?

Komunizm zarówno w teorii jak i w praktyce jest prymitywnym uproszczeniem, które wiedzie do zniekształcenia obrazu rzeczywistości. I to jest główna przyczyna, która myślącemu człowiekowi uniemożliwia zaakceptowanie komunizmu. Dane twierdzenie może nie być fałszywe, jeżeli traktować je jako jedno z wielu możliwych. To samo twierdzenie podniesione do rangi dogmatu staje się fałszywe i zniekształcające rzeczywistość. Ów prymitywizm powoduje, że komunizm nie czyni żadnych postępów w krajach wysoko uprzemysłowionych. Ufać należy, że i Rosja z owego prymitywizmu kiedyś wyrośnie.

DOKUMENTY CZŁOWIECZEŃSTWA

Pod powyższym tytułem „Deutschlandfunk, Polen-Redaktion” ogłasza konkurs literacki. W komunikacie prasowym cytowanej rozgłośni czytamy m.in.:

„Historia państwa polskiego, to jednocześnie historia stosunków i spotkań polsko-niemieckich. Ale nigdy przedtem stosunki te nie były tak tragiczne, tak bardzo przeniknięte cierpieniem i ocienione smutkiem, jak w okresie od września 1939 roku. Historię drugiej wojny światowej, działania wojenne i wydarzenia bezpośrednio po wojnie opisano z różnych punktów widzenia w obszernych dziełach. Ale mało jest dokumentów, które rozjaśniałyby noc wypadków wojennych i pierwszych lat powojennych, ukazując mimo grozy Człowieka i wydarzenia przypominające, że jesteśmy jednym społeczeństwem ludzkim i wskazujące na aspekty pogodniejsze, może braterskie... Czy takich aspektów zupełnie nie było? Czy były tak rzadkie, że nie warto o nich pisać? Po wojnie ukazało się już kilka książek, które trzeźwo mówią o miłości bliźniego i pomocy z lat krwawych i nędzy, wbrew rozkazom, które kazały nienawidzić. Książki te wzbudziły po tej i po tamtej stronie granic tak żywe echo, że chcielibyśmy prosić naszych słuchaczy by zbierali dokumenty człowieczeństwa. Relacje nie powinny przekraczać 150 do 200 wierszy pisma maszynowego. Prace należy nadsyłać na adres: Deutschlandfunk, Köln-Marienburg, Lindenallee 46”.

Inicjatywa jest godna poparcia. Wszystko co zmierza do polepszenia stosunków polsko-niemieckich jest godne poparcia. Wydaje się nam jednak, że rozrachunek wojenny polsko-niemiecki powinien znaleźć inną formę. Historię wojny polsko-niemieckiej oraz okres okupacji z Powstaniem Warszawskim włącznie — winien opracować wspólnie polsko-niemiecki komitet historyczny. Takie dzieło torowałoby naprawdę drogę rzetelnemu porozumieniu. Nie brak dziś zarówno w Polsce jak i w Niemczech anty-tradycyjnie nastawionych historyków. Lecz krytyka przeszłości jest bezpłodna jeżeli nie przyczynia się do nowego, pozytywnego spojrzenia na rzeczywistość.

PSEUDONIMY

Pseudonimy dzielą się na dwa rodzaje — otwarte i zamknięte. Do pseudonimów otwartych zaliczamy pseudonimy typu: Boy, Politicus, Londyńczyk itp. Wiadomo powszechnie, że żaden Polak nie nazywał się Boy ani Londyńczyk, a tym mniej Politicus.

Jan Lechoń, Bolesław Prus, Zygmunt Nowakowski — to są pseudonimy zamknięte znane tylko wtajemniczonym. Pisarze używający pseudonimów zamkniętych nie ujawniają swego oryginalnego nazwiska. Pseudonimy tej kategorii są zawsze nazwiskami — często imionami i nazwiskami (Jan Lechoń) — i cechuje je pewna typowość. A więc pisarze o nazwiskach obco brzmiących przyjmują zwykle pseudonim nazwiskowy o brzmieniu rdzennie polskim. Jeżeli ktoś nosi piękne nazwisko Piast nie przyjmuje pseudonimu Goebbels.

Lecz pseudonimologia nie jest nauką ani prostą ani małą. Dlaczego p. Abramow przyjął pseudonim Igor Neverly („Pamiętka z celulozy”) trudno odgadnąć. Jeszcze trudniej odgadnąć dlaczego — jak mówią — Adam Krajewski (Londyn) pisuje pod pseudonimem Andrzej Boryna (Warszawa).

Lecz rekord oryginalności pobił niewątpliwie Stefan Żółkiewski, który coraz częściej pisuje pod pseudonimem Alicja Lisiecka.

LONDYŃCZYK

TOM XC

BIBLIOTEKI "KULTURY"

SERIA „ZESZYTY HISTORYCZNE”

ZESZYT CZWARTY

z a w i e r a

WKŁADKĘ ILUSTRACYJNĄ — AKTUALNY PLAN MIASTA
LWOWA — Z OBJAŚNIENIAMIRelacje i wspomnienia z okresu Niepodległości, z czasów
drugiej wojny i Polski Ludowej:Jerzy Mond — *Nieznana dyskusja Gomułki z dziennikarzami.*W. Chocianowicz — *Sejm Wileński w 1922 r.*W.A. Zbyszewski — *Nieznane „testimonium” o Piłsudskim.*St. Fischlowitz — *Kiedy wojna rozpoczęła się naprawdę.*F. Frankowski — *Kryzysowy okres w stosunkach polsko-francuskich.*K. Bagiński — *„Proces szesnastu” w Moskwie*W. Ładniewska-Blankenheimowa — *Z dwóch ostatnich lat
Boya*L. Nikulin — *„Pochód za Wisłę”*

o r a z d z i a ł y

MASONERIA W POLSCE — POLEMIKI — PRZEGLĄD
WYDAWNICTW — NOWOŚCI HISTORYCZNE — LISTY
DO REDAKCJI

Str. 240

Cena egz. 15 F (22/-; dol. 3,00)

UWAGA: Prenumeratorzy „Kultury” korzystają ze specjalnej
50% zniżki. Opłacając z góry prenumeratę ZESZYTÓW
HISTORYCZNYCH otrzymują dwa ZESZYTY w cenie jednego.

Sąsiedzi

Wiesbaden

„Wystarczy się zatrzymać w Wiesbaden choćby na kwadrans, a oczom naszym ukazują się wspaniałości tego świata.

(Goethe, 1814)

Jak to na kongresie ładnie...

Komu z czytelników zdarzyło się nocować pod koniec tygodnia w jednym z większych hoteli w Nowym Jorku, Chicago czy San Francisco, ten z pewnością zna ten widok: setki chłopczyków po czterdziestce hasają po korytarzach, a zdobią ich furażerki, kokardy, barwne emblematy tej czy innej organizacji. Buzowisko instynktów społecznych, politycznych, towarzyskich. Zjazd krajowy. Doroczny sejmik. Jak mówią Polacy amerykańscy: „konwencja” (od „convention”). Coś podobnego, jak spostrzegam, przyjmuje się i w starej Europie.

The Foundation for Foreign Affairs, Chicago, biorąc mnie najwidoczniej za polityka, zaprosiła mnie na amerykańsko-niemiecki kongres w Wiesbaden, poświęcony „scaleniu Europy zachodniej i przyszłości Europy wschodniej”. (Przed kilku laty jedna z organizacji polonijnych pomyliła mnie ze znakomitym śpiewakiem operowym Marianem Nowakowskim. Z trudem wybrońnięm się przed zaśpiewaniem im czegoś religijnego na nieszporach). W Stuttgarcie mieszka jeden z najlepszych organistów na świecie, prof. Anton Nowakowski. W Monachium ordynuje dr Helmut Erich Nowakowski, sława medycyny niemieckiej. Może to ich miano na myśli?

Przyszłość Europy wschodniej, rzecz oczywista, leży mi na sercu. W pięknym Wiesbaden, mieście ogrodów i emerytów, nie byłem od lat. Przyjąłem więc zaproszenie bez chwili wahania, lubo zatroskani o moją cnotę polityczną znajomi przestrzegali mnie życzliwie jak mniszkę przed kozakami: „Zetkniesz się z Niemcami!”. O wa! Małom się to w życiu z nimi nasykał! Nie-

którym starym pannom wydaje się czasami, że całe zastępy jurnych juhasów dybią na resztki ich niewinności. A to tylko niepożądane przywidzenie, hormonowa fata-morgana. Podobnie i niejednen rodzimy mocarz ducha boi się „konszachtów” z Niemcami jak diabła.

Chruszczow mizdrzy się do Kruppa. Kennedy woła: *Ich bin ein Berliner!* De Gaulle pręży swe długie ciało przed monstrualną brzydota monachijskiej Feldherrnhalle. Gomułka ściska dłoń Ulbrichtowi. Sztafety rączych kupców z Izraela nie omijają bońskiego złotego cielca. A tylko pan Krupczakowski na Earls Courcie nie chce uwierzyć w istnienie Niemców w Europie. „Takich zwierząt — powiada na widok żyrafy — w ogóle nie ma”.

Przypięto mi więc amerykańskim zwyczajem celofanową tabliczkę z imieniem i nazwiskiem do marynarki, posadzono za pulpitem parlamentu krajowego Hessji i troskliwie obłożono sterami zadrukowanego papieru. Poczujęm się nagle ważny i obu częściami Europy potrzebny jak zdrowie. Rzekłbyś: Feliks Krull pielgrzymstwa polskiego. („Kto pana u-po-waż-nił, panie N.? A gdzie jest man-da-cik, niecny samozwańcze?”) Na wszelki wypadek zjawiłem się w okularach w czarnej rogowej oprawie, dźwigając pod pachą skórzaną teczkę, wypchaną arcydziełami mojego ulubionego pisarza Erle Stanley Gardnera. Bez okularów i bez teczki, jak wiadomo, na imprezach tego typu człowiek czuje się nieubrany.

Na swojską nutę

Zaczęło się elegijnie. Pewien siwy, grzeczny pan z rumieńcem patriotycznego podniecenia na apetycznie zaokrąglonym licu wręczył nam, cudzoziemcom, materiały propagandowe, zredagowane przez związek przesiedleńców ze wschodu, a skarżące się przed światem na krzywdę wyrządzoną Niemcom. (Szczecin i Wrocław pod „polską administracją”). Jeszcze jeden misjonarz, rozdający ludożercom ulotki zachwalające zalety dań beźmięsnych. Przez moment zrobiło mi się żal tego nadodrzańskiego potomka Szyzyfa: przypomniałem sobie że podobne broszurki rozdaje Anglikom w Londynie mój przyjaciel-kombatant, broniący polskich praw do Lwowa i Wilna. A kiedy jeden z tych luksusowo wydrukowanych prospektów zużyłem na cel raczej nie przewidziany przez wydawców (zrobiłem z niego papierową łódkę dla mego trzyletniego synka), pomyślałem sobie: oto moja cicha zemsta, odwet za to co z *naszymi* żarliwymi broszurkami, petycjami i memoriałami dzieje się od tyłu lat na różnych międzynarodowych zjazdach i konferencjach. I ujrzałem nagle przed sobą poplamioną

atramentem bródkę prof. Strońskiego, który nieskazitelną francuszczyzną apelował do sumienia świata przy pomocy powielacza, tej naszej emigracyjnej *Wunderwaffe*. Słowa Ben-Guriona: „Żyd, który nie liczy się z możliwością cudu, nie jest realista”, brzmią przyjemnie nie tylko w uszach polskich, ale i niemieckich.

Także i na wieczornicy regionalnej, przygotowanej przez dynamicznych Niemców sudeckich, na której z dużym wdziękiem śpiewała i tańczyła urodziwa młodzież z „ziem zabranych” (pod względem artystycznym słaba replika naszego „Mazowsza”), młodzież urodzona już poza krajem swoich ojców, ale wychowywana w sentymencie dla „raju utraconego”, przez cały czas tego barwnego widowiska zadawałem sobie pytanie: skąd ja to znam? Ależ to nasz wileński „Kaziuk” lub lwowski „wieczór batiarów” w londyńskim „Ognisku”!

W czasie pogawędek, jakie uciąłem sobie z niektórymi działaczami związków ziomkowskich, zwłaszcza z nieprzejednaniami i nienasyceńcami terytorialnymi (tylko bez paniki: Odry i Nysy, proszę cioci, nie przefrymarczyłem. Przeciwnie: domagałem się przy bufecie, są na to świadkowie, przyłączenia Zwickau w Saksonii do Polski w czapce frygijskiej. Z tytułu symbolicznego odszkodowania za młodość sielską, anielską, jaką spędziłem w tamtejszym więzieniu), miałem wrażenie że obcuje intelektualnie z niektórymi gigantami naszej emigracji. Cóż za podobieństwo mentalności! Pokrewny typ argumentacji. Ten sam emocjonalizm. Znajome kryteria. To samo wężenie „kapitulantów”. I ta wspólna racja ostateczna: położenie rozdygotanej z oburzenia ręki na sercu: „Urodziłem się i umrę Niemcem, Polakiem, Ślązakiem, Sudetczykiem, synem Kłajpedy, wnukiem pastora spod Szczytna, piewą Horynia, płaczką po zamku Friedrichstein w Prusiech wschodnich, itd”. Pióropusz, rzecz piękna. Czasem jednak może przypominać kitę nad czołem cyrkowego kuca. Od patosu do tragigroteski krok tylko. Gwałtowna gestykulacja, okrzyki zdławione, słowo honoru, oburzenie moralne, „Historia was potępi!” (dość kapryśna to instancja!). Ach, próbowaliśmy już tego, brałiśmy to w szkole. Wasza Impotencjo. Z widomym skutkiem.

Wiara w możliwość naprawy świata poprzez pisanie artykułów wstępnych, wygłaszanie przemówień na forum międzynarodowym, dobór celnych argumentów dla wykazania słuszności tej czy innej tezy, jest dzisiaj słabsza niż wczoraj czy przedwczoraj. Ty se mów, a ja zdrów. Ty masz rację, ale ja mam siłę. Pomijając już wątpliwości tego typu, sceptyk zadaje sobie pytanie czy kongresy i zjazdy nie są anachronizmem także i ze względów czysto technicznych. Po co ci zacni panowie w okularach godzinami dukają z papierków, skoro i tak każdy z obecnych na sali ma gotowy tekst przed sobą? Czy to nie strata czasu w epoce dru-

ku, radia i telewizji? Nic podobnego. Takie dostojne zbiegowisko to coś więcej niż konwenans towarzyski. To obrządek pseudoreligijny, rytuał, liturgia. W kościele też z góry wiemy „co będzie dalej”, a jednak w skupionym milczeniu siedzimy w ławce, ciało mistyczne.

„Conferentis” a psychoterapia

Slizgam się okiem po poradlonych czołach. Większość tych panów, zanurzonych w fotelach po uszy, zna się nawzajem jak łyse konie. Wiedzą dobrze co kto gdzie i kiedy powie. Niektórzy mędrzy wiecznie ten sam wygłaszają odczyt. Bywalcy. Wyżeracze. Nałogowcy. Z doskonale zagranym zaciekawieniem „pierwszej naiwnej” wiszą referentowi, rekordziście banału i nudy, na sennie sepleniących wargach, trzymają ostentacyjnie dłoń przy uchu, by nie uronić ani jednej kropelki z tej bezcennej siłkawy mądrości. Gdzie jest, na Jowisza, ten niezepsuty przez szkołę i życie brzdąc, który z okrzykiem „Dziazio wariat!” wbiegnie na salę, wyrwie mówcy kartki z ręki i z chichotem rozsypie je po spoconych łysinach? Dyzio, przybywaj!

Jakże się ci oblatkańcy wzajem czarują, emablują, komplementują, jak się po wersalsku przekomarzają, to znowu — cóż za zgrabny piruet! — dość duserów i komeraży; właśnie zięją sztucznym ogniem i siarką, tekturowe diabełki z jasefek! Ale nie bierzcie tej salwy ze straszaka na serio: na korytarzu się pogodzą. Te dąsy, krygi, zaloty, modulacje głosu, pauzy artystyczne, te znakomite *bon-mots* po bezsennych nocach w męce nadludzkiej przygotowane, na pamięć po stokroć wkute, które, o dziwo, przyfrunęły geniuszowi *ausgerechnet* teraz, w tym ułamku sekundy, jak na zawołanie. Bujać to my, ale nie nas, arcyksiężnicy sarkazmu, dowcipu i ironii.

Ten cherlawiec kaszlem targany, który właśnie wspina się na podium, odstawiając na moment piszczel dziurawiący skarpetkę, wygląda jakby się miał zaraz rozsypać. Ino patrzeć, jak wbiegnie sprzątaczką i zgarnie go do szufelki. Ale już dotknął rozlataną piąstką pulpitu. Już rozłożył kartki przed sobą. Mitologia nie kłamie: mówca odmłodził! Jak Anteusz, co odzyskał siłę w zetknięciu się z ziemią. Jednym ruchem strącił z pleców tornister lat. Wyprostował się. Zmarszczki zniknęły mu z twarzy. Mówi głośno i wyraźnie! Z chłopięcym zapałem. O, boska muzyko własnego głosu! Słodki szeleście przewracanych kartek! O, pulpicie, preparacie skuteczniejszy od małpich gruczołów! Są jeszcze koła ratunkowe na czarnych oceanach życia!

Brecht, w odróżnieniu od zaleceń Wyspiańskiego: „byłe

nie tak jak się dzieje w życiu”, pouczał braci aktorską, że najlepszy teatr rozgrywa się wśród wędrownych sprzedawców na jarmarcznym rynku. Tam dopiero można się nauczyć niełatwej sztuki przekonywania. Podglądajcie przekupniów, sierotki po Melpomenie! Literat również powinien się czasem przyczaić w głębi sądowych krążganków, zadymionych sal wiecowych, na galerii różnych tam mniej lub bardziej nieochędożnych politycznych *vanity fairs*, tam gdzie oko, ucho i pamięć kibica nasiąkają octem jak biblijna gąbka.

Oto scena na miarę Daumiera! Między możliwymi technokratami Wspólnego Rynku i profesorami nauk politycznych, tużami cieszącymi się opinią suflerów Białego Domu (zdaje się, że z tą suflerką to wielka przesada: Kennedy nie wygląda na kanię łaknącego dżdżu dobrej rady) uwijają się rzewne dinosaurusy, jakieś ważne figury z epoki admirała Horthy'ego i Madame Lupescu. Ktoś napuścił wody do akwarium. Śnięte ryby odkleiły się od dna. Ino patrzeć jak przepowiednia Wernyhory słowem się stanie. Cóż za wspaniała terapia psychiczna!

Pamiętajmy, że obok autentycznych, bo dzisiejszych, mężów stanu, popularnych polityków, rozpolitykowanych profesorów, różnego autoramentu rzeczoznawców i aktywistów, pojawiają się na podobnych spektaklach, przeważnie w charakterze statystów, zapchajdziur, ministrantów, także i najubożsi krewni tego świata, *floksam*, *Strandgut* historii. Błyszczą oko. Skrzy się zamek przy teczce. Srebrzy się krawat przy staromodnym żakiecie. „Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni”. Żegnaj, naftalino! *Vive l'exhumation!* Cóż za cudowny haszysz, to złudzenie parytetu na kilkanaście godzin. O bladym świecie „królowa na jedną noc” wróci do swego grobowca. Nad przyprószoną confetti siwizną własnoręcznie przymknie trumienne wieko swej codziennej egzystencji. Co użyjem, to dla nas. Celofanowa tabliczka z nazwiskiem, zaproszenie na bankiet do premiera, wspólna fotografia („z lewej: prof. C.E. Carrington, Royal Institute of International Affairs, London; z prawej: Freiherr von und zu Guttenberg, Bundestag, Bonn; w środku: ja!”), niczym kotylion sylwestrowej zabawy, znajdują się w sanktuarium najkniejszych pamiętek. Aż zjawi się ów „anioł smutku” z wiersza Tuwima i „tyyyylko weeeestchnie”....

„Ultraszy” wszystkich krajów, łączcie się!...

Czas nabić na pióro chrabąszcza zaciętrzewionego, belfrapolitykiera, Mr. S., krzykuna z grupy „twardych”. (Kongres stał pod znakiem sporu „twardych” z „miękkimi”). W pozagro-

bowym zaciszu prowincjonalnego uniwersytetu (aż dziw bierze, ile tych różnych, między Atlantykiem a Pacyfikiem rozsianych, *college'ów*, pół i ćwierć-uniwersytetów a chyba i zwykłych akademii smorgońskich, udzieliło schronienia różnym pół i ćwierć profesorom, a chyba i zwykłym szalbierzom, z Europy środkowej i wschodniej!) austrowęgierski dziadzio-reakcjonista posłyszał kongresowe larum. Dla zagrożonych pryncypiów ratowania rzucił się „Boingiem 707” przez morze. Dorożkarska szkapina na dźwięk kawalerskiej trąbki w bojowego przemieniła się rumaka. I oto drapie się na podium, piąstką groźnie w powietrzu wymachuje:

— Żadnej pomocy gospodarczej dla Polski!

Wiadomo: trzeba ich wziąć głodem. Prof. S., wojujący antykomunista, popełnia ten sam błąd co wielu sympatyków komunizmu na zachodzie: tak go urzekły komunistyczne drzewa, że już nie dostrzega polskiego lasu.

Gdy poseł Jaksch (stronnictwo przesiedleńców!) wysuwa projekt utworzenia „Planu Marshalla dla wschodniej Europy”, Austrowęgień z amerykańskim paszportem prychnie z niesmakiem:

— A cóż to za fanaberie!

Od dawna mi się widzi, że przesadne „anty” do niczego nie prowadzi. Służy sprawie którą się zwalcza! Antyalkoholizm w najmniejszym stopniu nie zagraża pijaństwu. Wojujący ateści tylko opóźniają procesy laicyzacji. Wulgarny antykomunizm przychodzi (nieświadomie, jak tuszę) w sukurs stalinowcom. (Dziwić się trzeba propagandzistom partyjnym w Warszawie, że nie przedrukowują niektórych artykułów i broszur emigracyjnych. Nie jestem pewien czy po tej lekturze bezpartyjni nie zaczęliby się tłumnie zapisywać do PZPR'u. Przy sposobności: tylko bez pohukiwań, że „kalam własne gniazdo” oporu; to gniazdo mnie kala).

Aż wstyd ciągle tę samą odkrywać Amerykę: linia podziału między ludźmi przebiega inaczej niż ją wytknięto na politycznych mapach. Zapominamy nieraz, że rzecz na innej, pozabarykadowej, rozgrywa się kondygnacji. Im szerzej otworzyć oczy, tym jaśniejszym się staje, że fanatycy, szczujni tropiciele, inkwizytorzy, to jedyna autentyczna międzynarodówka, jaka istnieje na świecie. Nie dajmy się urzec tej czy innej barwie na chorągwi. Co oni tam wykrzykują, nie takie znów ważne. Okrzyki „za” czy „przeciw” bywają wymienne. Najważniejsza jest ta gęba, wykrzywna nienawiścią, ta wspólna tęsknota do złapania innowiercy za gardło. Niech tylko dzieci wyjdą na chwilę z pokoju, a my, dorośli, możemy sobie całą prawdę szepnąć na ucho: przecież i w naszym potrzaskanym światku, wśród patentowanych szermierzy wolności i demokracji, na brak gagatków o umysłowości hitlerowskiej czy stalinowskiej uskarżać się nie można. Daj im tylko,

szansę przemeblowania ojczystej chałupy, o podchmielona Nemezis! Nie pozbieramy się ze śmiechu. Wymyślą już *remedia contra hereticos*, wymyślą.

Wróćmy na salę. Zdziwiło mnie nieco, że pewien amerykańsko-austriacki profesor żydowskiego pochodzenia, uchodząca spod hitlerowskiego koszmaru, gdy rozmowa zesłała na tematy polskie, nie taił swego hakatystycznego uprzedzenia. Nie chciał mi wierzyć, że Poznań jest miastem rdzennie polskim. Z ciężkim sercem przyznał nam w końcu Wielkopolskę...

— ...kolebkę państwa polskiego! — zawołałem.

— Nie ma już dzisiaj państw w klasycznym słowa znaczeniu — skorygował mnie z bezlitosną erudycją, poczułem kolano profesorskiej wiedzy na piersiach. — Czasy się zmieniły. Są tylko biurokratycznie zarządzane koncerty, zorganizowane i działające według praw rządzących społeczeństwami wpisanymi w koło cywilizacji technicznej. Natomiast przestarzały już dzisiaj etos państwa, jak również związane z nim normy moralno-obyczajowe...

Wyłączyłem się. Znam ten typ intelektualnego masturbanta. Dopiero ostatnie, mniej uczone, zdanie wyrwało mnie z niebytu:

— Aneksji Gdańska nie uznajemy!

— Gdańska? — jęknąłem przerażony.

— Granicy na Odrze i Nysie nie uznajemy — okularki profesora groźnie zaszyły parą. — *I am terribly sorry*: nie uznajemy!

Już miałem ochotę zapytać się na głos: co za „my”, *lieber Herr Professor*? Ameryka? Austria? Miasteczko Bełz? Ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język, gdyż we wszystko uwierzą cudzoziemcy Polakowi zagranicą, tylko nie w to że *nie* jest antysemitą. (Za pięć czy dziesięć lat świat cały, z Żydami włącznie, przebaczy Niemcom Hitlera i komory gazowe, ale tyśiąca lat potrzeba, zanim przebaczą nam haniebne getto ławkowe na uniwersytetach czy też nieszczęsne powiedzenie Składkowskiego „I owszem”. Jesteśmy w tej sprawie skazani na bezsilność, gdyż mechanizm zapamiętliwości ludzkiej, indywidualnej czy zbiorowej, nie tylko że obywa się bez przesłanek natury racjonalistycznej, lecz wręcz hołduje zasadzie nieporównywalności zjawisk).

— Rząd w Bonn nie uznaje państwa żydowskiego — wtrącił ktoś przy stoliku — ale mimo to Izrael istnieje, krzepnie i rośnie.

— Przesada z tym uznawaniem czy nieuznawaniem — dorzucił kpiarz Francuz, farmazon rodem z Cieszyna. — Znam małżeństwa nie uznawane przez kościół, a mimo to są szczęśliwe i mają dzieci.

Emigracja polistopadowa modliła się ustami Mickiewicza „o

wojnę powszechną ludów”. Gdyby Baliński lub Łobodowski napisali dzisiaj coś podobnego, zmotoryzowane pielgrzymstwo odwróciło by się od ich Muzy. O ile mi wiadomo, dzisiejsza emigracja o wojnę się nie modli.

Aliści w rozmowie z austrowęgroamerykańskim zwolennikiem uwolnienia Gdańska spod polskiego jarzma spostrzegłem, że wojnę uważa za rzecz równie nieuchronną jak zjawiska meteorologiczne. Z precyzją elektronowego mózgu tłumaczył mi, że od roku 3600 przed narodzeniem Chrystusa do chwili obecnej było na kuli ziemskiej tylko 297 lat względnego pokoju. Ludzkość stoczyła od tego czasu 14 513 większych lub mniejszych wojen. Zginęło 3.640.000.000 ludzi. Innymi słowy: co czwarty *homo sapiens* padł ofiarą katastrofy równie naturalnej jak burza z piorunami czy oberwanie się chmury. Od roku 650 przed Chrystusem historia zanotowała 1656 wyścigów zbrojeń. Z czego 1640 doprowadziło do wojny.

— Racjonalista liczy się z faktami. Wodór nie wodór, kobalt nie kobalt — wyjaśniał spokojnie profesor, wypuszczając przez nos dwie smugi papierosowego dymu — można przyjąć za pewnik, że i tym razem odstępianie od reguły jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobne...

O broni atomowej mówiono na tym sympozjone dużo i chętnie. Pułkownik Miksche z Paryża, ekspert francuski, (pierwsze ostrogi, na co wskazuje jego śpiewna wiedeńska niemczyzna, zdobywał na manewrach jesiennych w monarchii naddunajskiej) z wdziękiem konferansjera podkreślał zalety *force de frappe*: mała atomowa degaulle'ówka niesie na trzy tysiące kilometrów. Do Moskwy, Leningradu, Kijowa doleci bez trudu. (A co będzie, jeśli doleci „tylko” do Warszawy?).

Baron von und zu Guttenberg (z wyglądu polski szlagon) wypomniął Amerykanom, że „wielkie mocarstwo Europę” w sprawach atomowych traktują per nogam. Na co Amerykanin prof. Moseley zauważył, że przy całym zaufaniu do Europejczyków nie wolno zapominać, że któregoś dnia włoska czy francuska partia komunistyczna może dojść do władzy. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Kongresman z zasadami

Znawcy ornitologii politycznej utrzymują, że najbarwniejszym ptakiem na kongresie był amerykański kongresman polskiego pochodzenia (trzecie pokolenie, „mamusia mamusi rodzona była w Płocku”). Zjawił się w Wiesbaden opalony, w pełni sił, z filmowo piękną żoną której kształtne ramiona okrywała na-

rzutka z nurków. Spieszył się do Białogrodu na doroczną sesję Unii Międzyparlamentarnej czy też Międzyplanetarnej. (*Kakaja raznica?*) Wysoki. Zgrabny. Ostrzyżony na pałę. Atleta. Typowy kapitan drużyny *base-ball*owej. Brak mu tylko aparatu fotograficznego na piersiach i słomkowego kapelusza, a przypominałby karykatury amerykańskich polityków, publikowane w „minionym okresie” w moskiewskim „Krokodylu”. Gdybym go umieścił w jednej ze swych nowelek, krytyka nie bez racji napisałaby, że przesadziłem, ulegając pokusie stereotypu. W rzeczy samej ów młody, dynamiczny republikanin z Chicago (nazwiskiem Derwinski) „ukradł widowisko”. Dźwięcznym barytonem wypowiedział na głos to wszystko, co wielu „twardych” czuło i myślało w sekrecie, ale nie miało odwagi nazwać publicznie po imieniu.

— Po pierwsze — podniósł palec w górę — nie wiercie Kennedy'emu! On nie wygłasza swoich przemówień do was, Europejczyków, ale do nas, Amerykanów. A w ogóle to on lubi wygrywać wybory.

Myląc wiesbadańskie audytorium ze swoim okręgiem wyborczym w Illinois, ciągnął z uśmiechem:

— Po drugie: zagadnienie walki z komunizmem wcale nie jest aż tak skomplikowane jak nam tutaj tłumaczy prof. Philip E. Mosley z Columbia University. Profesorom nie trzeba za bardzo wierzyć. W naszym zachodnim obozie jest, niestety, wielu takich, którzy, owszem, walczą, ale nie mają w sobie ducha walki. Można by nawet przypuszczać, że nie chcą zwyciężyć. Po mojemu zaś — w tym miejscu palec z pierścionkiem przedziurawił powietrze — trzeba pamiętać, co mawiano w Ameryce, w okresie pionierskim, gdy toczyły się walki na Dzikim Zachodzie. Dobry Indianin, to zabity Indianin. To samo odnosi się do komunizmu. Dobry komunista, to zabity komunista. *That's right* — powtórzył z zaciekłością Robespiera podpisującego na odwrocie starej kopty nakaz aresztowania Dantona — *a dead one!*

Część sali klaszcze. Zwłaszcza dziadkowie z naftaliny wyjęci. Profesorowie, uchodzący za „miękkich”, speszeni, rozluźniają krawaty pod szyją. Bohater dnia schodzi z ringu. Spoglądam na niego z nabożnym lękiem: ma chyba z dwa metry wysokości. Po chwili siada na swoim miejscu. Mam wrażenie, że własne przemówienie nie sprawiło mu większej radości. O dziwo, jest z lekka zasmucony. Nagłe zwiotczenie ducha? Czyżby zachodziło podobieństwo między sukcesami w polityce i w miłości? *Post coitum omne animal triste* — jak przestrzegali ojcowie kościoła.

— Z poglądami Mr. D. — szepce ktoś za moimi plecami, bodaj poseł Hynd (Labour) — nie można dyskutować. Trzeba je leczyć.

Kroniki zapasów ideologicznych znają dobrze zagadnienie „lekarstwa silniejszego od choroby”. Spór to stary, czy godzi się diabła wypędzać Belzebubem, zamieniać siekierkę na kijek. Paul Valéry, zastanawiając się nad bezdrożami spełniania „świętych obowiązków”, pisał że idee bronione przy pomocy apeli do najniższych instynktów przestają być warte obrony: zaciera się różnica między aniołem a demonem. Jakże niebezpieczny to frazes: „Bijmy przeciwnika jego własną bronią!”. Bijemy w końcu samych siebie. Mao-Tse, kardynał Ottaviani, ideolog Iljiczew, senator Goldwater, Madame Nhu, czy nasz znakomity Józef Mackiewicz, chociaż tak bardzo niepodobni do siebie, jedną złączyli są troską: że nadchodzi czas „letnich”... Szeft zachodnio-niemieckich ku-klux-klanowców (DRP) w Karlsruhe, dr Walter Kupka, stwierdził ostatnio z żalem: „Coraz mniej ludzi można dziś namówić na konsekwencję i radykalizm”...

W barze hotelu „Pod czarnym kozłem” sympatyczny na swój sposób wielkolud z Chicago tłumaczył nam jeszcze, że złoty wiek ludzkości zacznie się w dniu zwycięstwa senatora Barry M. Goldwatera nad Kennedym i jego jajkogłowym teamem. (*The egg-heads* spłaszają sen z oczu „twardych”). Zobaczycie: senator nie będzie się patyczkował z wrogami ludzkości. Czerwonym huncwotom powie: albo — albo. A jeśli nie, to potańcujem!

Po czym z miną pierwszego chrześcijanina, który rysuje na piasku znak ryby, nakreślił nam, poganom, na tekturowym krążku od piwa, tajemniczą formułę, coś na kształt wzoru chemicznego!

— Au + H₂O! To jego znak! Znak zwycięstwa! Gold plus Water! Goldwater! Złota woda! Przyszły Prezydent Stanów Zjednoczonych!

Chciałem mu powiedzieć: „Nie wszystko złoto, co się świeci”. Ale co się tam będę mieszał do wewnętrznych spraw obcego państwa!

Jak spostrzegłem, wystąpienie dziarskiego młodzieńca o polskim nazwisku wyraźnie zafrasowało generała brygady w stanie spoczynku, Franka L. Howley'a, wiceprezidenta New York University. (Ileż by to było krzyku, gdyby tak u nas, w Polsce, wpadł ktoś na pomysł zaparkowania emerytowanego generała pod uniwersytecką strzechą!). Zdyscyplinowany żołnierz zmarł cały, gdy na obcej ziemi, pod obcym niebem, z niefrasobliwych ust amerykańskich padły słowa krytyki pod adresem Kennedy'ego, który, bądź co bądź, jest nie tylko Prezydentem i politykiem, ale i najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych, bossem wszystkich generałów. Lekkomysłne wynoszenie wewnętrzno-

amerykańskich sporów poza granice wód terytorialnych! W harcowniczym West Pointu rzecz nie do pomyślenia. Za granicą — „trzymacie fason, druhu zastępowy”!

Ze generałowie tak myślą i czują, nie ma w tym nic dziwnego. Gorzej, gdy pisarze, istoty z natury swej wymykające szyję spod lasa lojalności, zaczynają zbyt nasilać podobną harcerskością. Gdy czytamy te nasze polskie hymny na cześć ogrzewania się własnym oddechem w sołectwie, radosnego ocierania się o własne pośladki w rodzimej stadninie, czy te sierżantkie wybuchy gniewu na każdą, choćby najniewinniejszą próbę rozluźnienia pętli „zbiorowych obowiązków”, „solidarności”; gdy spostrzegam jak chętnie i dobrowolnie pilnuje u nas jeden drugiego (a co gorsza: samego siebie!) by nie przydepnąć pewnej „dopuszczalnej” granicy wymalowanej święconą kredą, zastanawiam się skąd właściwie wzięła się legenda o naszej rzekomej tęsknocie do autentycznej (nie tej oklepanej, pozornej) wolności jednostki.

Wróćmy tylko, dla przykładu, do „wynoszenia spraw wewnętrznych poza opłotki”. Szantażując się wzajem „poczuciem godności narodowej”, „elementarnym poczuciem taktu” i tym podobnemu „nie godzi się”, zwolna zaczynamy wierzyć, że sądy nasze i opinie rzeczywistości powinny być podporządkowane „wyższemu względowi”, w tym wypadku uzależnione od geograficznej odległości. Jeśli więc Krupczałkowski powie w Warszawie do Kopciukiewicza, że Wisła śmierdzi, nikt się tą rewelacją nie zmartwi. Ale niech ten sam Krupczałkowski wyjedzie do Paryża i w rozmowie z Monsieur Dupontem zwierzy się po trzecim kieliszku z brzydkiego zapachu Wisły, naród nasz z niesmakiem odwróci się od zdrajcy i paszkwilanta. „Renegat Krupczałkowski — przeczytamy w warszawskiej „Kulturze” — zbeszcześcił królowę rzek polskich. Przy obcych!”.

Generał dobrej woli

Nie mogę oderwać oczu od generała, dowódcy wojsk amerykańskich w czasie sowieckiej blokady Berlina. Przystojny mężczyzna. Wzrost orli. Brwi krzaczaste. Siwa czupryna. Młoda, zuchowata twarz. Takich generałów, z lekka ucharakteryzowanych na starorzemskich senatorów, widuje się czasem na hollywoodzkich filmach dydaktycznych o tematyce wojennej. (Szaremu żołnierzykowi dzieje się krzywda. Sierżant-sadyśta próbuje go zgnoić. Ale nad zaszczytnym szaraczkiem czuwa niewidoczna, sprawiedliwa moc. Rzecz, po dłuższych perypetiach, opiera się o generała. W ostatniej minucie filmu, zanim flagę przy dźwięku trębacza

wciągną na maszt, generał wolnym krokiem podchodzi do żołnierza, patrzy mu w oczy (zbliżenie!), męski uścisk dłoni. Dobro zwycięża).

— Czerwoni — rzecze generał — nazwali mnie w r. 1948 „bestią Berlina”. Jestem dumny z tego przydomku.

Przypomina zebranych słowa szlagieru, śpiewanego przez Marlenę Dietrich: *Ich hab noch einen Koffer in Berlin und darum geh ich gerne wieder hin* (Zostawiłem walizkę w Berlinie i dlatego chętnie do niego wracam).

— Moje serce — powiada — bije nad brzegami Szprewy!

Ze szczerym przejęciem kreśli obraz pierwszych prób odbudowy zniszczonego miasta, kiedy to dwieście tysięcy zabitych spoczywało pod gruzami, przydział żywności wynosił 900 kalorii, śmiertelność niemowląt dochodziła do 90 procent, a przeciętny berliński pogorzeliec ważył piętnaście kilogramów poniżej swej wagi...

Przypisywany Tuwimowi wierszyk „Po Berlinie sobie tupam, patrzę — trup tu, patrzę — trup tam”, zawsze napawał mnie niesmakiem. Żal mi szczerze wszystkich ofiar niewinnie wplecionych w koło wojny. Wszystkie bez wyjątku bombardowania miast i ludności cywilnej były przestępstwem. Nie rachujemy już swoich zabitych, pomordowanych i niedożywnionych. Nie wiem też czy godzi się licytować kto poniosł w tej makabrycznej jatce większe straty (i kto w końcu „gorzej” czy „lepiej” wyszedł na tej wojnie). Ale w tym miejscu generalskiej oracji zaczęła mi wokół czoła fruwać myśl natrętna: jaka szkoda, że Mr. Howley nie przechowuje pod swoimi pięknie wykrojonymi powiekami księżycowego krajobrazu zburzonej Warszawy! Czy zna chociaż słowa, jakie wydarły się Eisenhowerowi na gruzach warszawskiego getta? „Wstydzę się, że jestem człowiekiem”.

Przemówieniu generała na temat „Berlin a sprawa Zachodu”, chociaż chwilami przywodziło na myśl znany nam ze Starego Testamentu występ solowy Jozuego pod murami Jerycha, nie można było odmówić uroku prostoty:

— Trzeba posłużyć się formułą M-O-E-O-D! — powiedział. — Podstawą wszelkiego planowania wojskowego, warunkiem nieodzownym dla *estimate of the situation* jest formuła M-O-E-O-D! M — to *mission* (misja lub zadanie). O — *opposing forces* (siła jaką możemy przeciwstawić). E — *enemy* (siła przeciwnika). O — *opportunities* (sposobności sprzyjające naszemu działaniu). I wreszcie: D — *decision* (podjęcie decyzji).

No, to — cześć! Nie jest tak źle. Wracamy do Polski. Na białym czołgu. *See you to-morrow, general!* Na Nowym Świecie! Wypijemy ćwiarteczkę. Pod to cudowne D — (*decision*).

„Mięty w krzyżu”

Autor niniejszych notatek, spisanych na gorąco pod pulpitem, przyglądał się również heroldom „elastycznej linii”. Zarzuty, jakie im się stawia, są powszechnie znane. Lista tych mniej lub bardziej niepocholebnych opinii jest dość długa. Oportuniści. Zastrachańcy, wyznawcy zasady: *Better red than dead*. Lunacy, biorący własne przywidzenia za rzeczywistość polityczną. Naiwni (lub perfidni) koegzystencjaliści. Kapitulanci. Kombinatorzy. Defetyści. Asekuranci. „Towarzysze podróży”. Kryptokomuniści. Neojałtańczycy. Neomonachijczycy. Zwolennicy *appeasementu*. Adwokaci podziału świata na „strefy wpływów” (Adres wylegarni tych pomysłów: Chatham House, London). Pseudorealiści. Pragmatycy od siedmiu boleści. Niesprzeciwicze się złu. Bałwochwalczy siły. (Cudzej, nie własnej!). Wrogowie broni atomowej. (Własnej, nie cudzej!). Zaprofesorzeni daltoniści. Wszystko wiedzą, ale nic nie rozumieją. Trzeba jeszcze dodać, że *vox populi* przypisuje „twardym” — charakter, a „miękkim” — intelekt. Przy czym te dwa rzeczowniki traktuje się jako wartości przeciwstawne.

Hadka litanii! Wiedząc jednak, jaki jest z dawien dawna stosunek „ludzi czynu”, „silnej ręki”, „porzundku”, „męskiej decyzji” do „zgniłych intelektualistów”, do podobnych sądów kwalifikujących odnosimy się z instynktowną niechęcią i nieufnością. Nikomu się nie śpieszy do zadęcia w dudkę obślinioną przez szympansa. Sugestia podziału na „Spartańczyków” i „Ateńczyków” robi swoje. A nade wszystko optymistyczne przekonanie, że mózg człowieka nauki, istny słoik fermentujących drożdży, rzeczywiście bezstronnie rozeznaje i rozświeśla mroki, ogarnia całość naszej egzystencji i — cóż za pobożne życzenie! — z całą bezstronnością „słusznej” tylko służy sprawie. Zdarza się nieraz inaczej, i wtedy ze smutkiem prawdziwym odkrywamy, że Ateńczyk Ateńczykowi nie równy. Najwspanialsze przymioty umysłu nie chronią człowieka przed zaślepieniem, wyrachowaniem, naiwnością, deformacją nadspekulacji, politycznym zabobonem lub konikiem, humorkami, antypatią, fobią, ciśnieniem krwi, ciałem mdłym, czy zwykłym hysiem.

Wróćmy na salę. Typowy przedstawiciel „dojrzałego pragmatyzmu”, prof. Carrington z Londynu, zarzuca w swoim referacie Amerykanom, że w odróżnieniu od trzeźwych Anglików, widzą zagadnienie sowieckie w kategoriach ideologicznych, że niepotrzebnie dają się ponosić szlachetnemu, ale i naiwnemu zarazem romantyzmowi „krucjat”, podczas gdy w polityce, *ladies and gentlemen*, w polityce...

Ach, wiemy już dobrze co w polityce! Znamy tę płytę gramofonową na pamięć, równie zgraną jak zoologicznie zajadły antykomunizm! Niech tylko „zimna wojna”, to „najstraszliwsze nieszczęście naszych czasów” (są straszliwsze!), skończy się, a wiele wskazuje na to, że się skończy, bo przecież wszystko się w życiu kończy, niejedną kwestię sporną da się załatwić kompromisowo. Zdrowy kompromis, to brzmi dumnie! (Zdrowy? Jak dla kogo). Prof. Carrington i jemu podobni „odprężacze” są, oczywiście, zbyt inteligentnymi ludźmi, by nie wiedzieć, że „zimna wojna” nie jest przyczyną ani obiektem istniejących napięć i konfliktów w świecie, lecz tylko ich wyrazem, jednym z wielu wyrazów, ale na tym właśnie polega rzekoma mądrość taktyczna „elastycznych” umysłów: udawać że się poglądy strony przeciwnej bierze za dobrą monetę. Stwarza to urojony punkt wyjścia do pozorowanego marszu w kierunku fikcji, zwanej „znalezieniem wspólnego języka”. Londyński *Royal Institute of Foreign Affairs* powinien się czym prędzej zakrzętać wokół kanonizacji Miss Keeler. Idealna Patronka św. Koegzystencji! Wschód i Zachód przy jednym (nocnym) stoliku. Tow. Iwanow i Mr. Profumo „znaleźli wspólny język”.

(Prof. Arnold Toynbee, duchowy kustosz „Chatham House”, domaga się dzisiaj ostatecznego uznania przez zachód wszystkich zdobywczy Stalina w Europie. W imię psychologii: trzeba Rosji dać poczucie, że jej nikt nie zagraża. Na dwa i pół roku przed wybuchem drugiej wojny światowej tenże wybitny morfolog kultur i cywilizacji na zjeździe hitlerowskiego „Kolonialverein” w Berlinie domagał się oddania Hitlerowi dawnych niemieckich kolonii w Afryce. W imię psychologii: żeby nie miał poczucia niższości).

Głoszona od jakiegoś czasu na Zachodzie dziecięca wiara w cudowną „ewolucję przez odprężenie”, w jakieś tam „stopniowe zmiany na lepsze wewnątrz baraku poprzez zbliżenie do komendanta obozu”, wiara zresztą symulowana, jak wiele rzeczy w polityce, do autosugestii „szkoły nantejskiej” podobna, (oni wcale nie są tacy naiwni!), w praktyce — o czym się coraz mniej mówi i pisze — pozostawia kraje „satelickie” swojemu losowi. Odpust dla dozorczy. Zielone światło dla blokowych. Odpisuje miliony ludzi z politycznej księgi inwentarza „wolnego świata” (wolnego od skrupułów), w której, między nami mówiąc, i tak figurowały tylko symbolicznie, przez siedem dni w roku. („Tydzień narodów ujarzmionych”. Coś w rodzaju „minuty milczenia” dla uczczenia ofiar Jałty).

Jarossy zapytywał kiedyś przed kurtyną warszawskiego kabaretu: „Jaki jest najlepszy sposób na pluskwy?”. Publiczność wysuwała dziesiątki propozycji. Jarossy na wszystkie pogardliwie

machał ręką, i wreszcie odpowiedział: „Jest tylko jeden: *polubić*”... Podobnie wyglądają niektóre recepty polityczne, wypisywane Polakom i innym narodom przez „elastycznych” znachorów. Trzeba komunizm polubić. Może się zmieni na lepsze... (Rzekłbyś: przedrzeźniono starego Senekę. *Si vis amari, ama!* Jeśli chcesz być kochanym, kochaj!).

O pewnym „*iunctim*”

Zdaniem większości niemieckich uczestników kongresu, *egg-heads* w Ameryce świadomie czy nieświadomie przykładają ręki do nowej zdrady Europy. Grozi nam zмова potęg pozaeuropejskich.

— Płyniemy w tej samej łodzi — słyszę nie po raz pierwszy. — Scementowanie podziału Niemiec przypieczętuje *status quo* w Europie środkowo-wschodniej. Brońmy wspólnej sprawy...

Zdrada Europy! Mógłbym zacytować Goethego: *Denn alle Schuld rächt sich auf Erden*. Wadliwa od pokoleń polityka niemiecka wobec Polski, ukoronowana iście „europejską” z ducha wyprawą Hitlera na Polskę i antypolskim paktem ze Stalinem — trudno o klasyczniejszy przykład zdrady naszego starego kontynentu. Nie brak i dzisiaj w Niemczech zachodnich zwolenników dogadania się z Moskwą „wprost”. Czyba nie na koszt... Wysp Kanaryjskich?

Z monotonią buddyjskiego mnicha, obsługującego modlitewny młynek, powtarzał niemieckim rozmówcom w kółeczko:

— Istnienie ulbrichtowskiego kacetu odcina nas od Zachodu, to prawda. Mur berliński (właśnie dlatego, żeśmy już podobne mury widywali) nikogo z nas nie cieszy, to barbaria. Samostanowienie narodów, rzecz święta! Nie odmawia się go plemionom murzyńskim w Afryce, nie można go odmawiać narodom w Europie. Ale dopóki Niemiecka Republika Federalna jednym tchem domaga się połączenia obszarów między Renem a Odrą w jedną całość oraz rewizji zachodnich granic polskich, trudno sobie, doprawdy, nie zadać pytania czy istnienie dwóch odrębnych państw niemieckich nie leży w polskim interesie...

— ...w sowieckim! — poprawiają mnie chórem.

Taka to i rozmowa.

Papierowy świat

Jeden z niemieckich wydawców przysłał mi niedawno do oceny rękopis Kanadyjczyka, profesora uniwersytetu, pod dra-

matycznym tytułem „Polska — most nad przepaścią”. A więc już nie „przedmurze”, tylko most obrotowy. W gwarze kolejarzkiej: „drejszajba”. Jedna z tych prac, które przy wszystkich pozorach obiektywizmu naukowego nasuwają czytelnikowi na myśl znane powiedzenie Maupassanta: „Cokolwiek się o kobiecie powie, jest z gruntu słuszne”. Albo — z gruntu fałszywe. Co kto woli. Cokolwiek się dzisiaj mówi i pisze o Polsce...

Coraz więcej na świecie tych polonofilów, którzy interesują się naszym krajem tylko dlatego, że znalazł się w orbicie sowieckiej. Polska zaczęła się dla nich 22-go lipca 1944. Rzeczywiście: wyskoczyła z zamyślonego czoła Bieruta! Niczym Minerwa z głowy Jowisza! Tysiąc lat historii naszego narodu ani ich ziębi ani ich parzy. Niewidoczny balast przeszłości, który swoimi blaskami i cieniami ciąży na naszym życiu, nasze wiekowe związki z zachodem, nurty głębinowe polskiej kultury, nauki i sztuki, wszystko to z czym liczyć się dzisiaj musi partia komunistyczna w Polsce, dla zagranicznych pseudoznawców zagadnień „wschodnio-europejskich” na dobrą sprawę nie istnieje. Wiemy dlaczego: komplikuje im apriorycznie powzięte wnioski, psuje im obraz „drejszajby”. Małi chłopcy i dorośli mądralińscy niechętnie rozstają się ze swoimi zabawkami.

Pod sam koniec kongresu poznałem człowieka z papieru! Spacerujemy po pięknym „Kurparku”. Złota wiesbadeńska jesień. Szemrze fontanna. Tryskają wodotryski. A obok mnie perli się i wszystkimi barwami tęczy mieni wodotrysk papierowej wiedzy: Szwajcar którego życie umysłowe, jak spostrzegam, składa się z setek cytatów, przypisów, przyczynków, odsyłaczy, notek bibliograficznych, indeksów. Uznaje tylko jedną rzeczywistość: tę zadrukowaną na papierze. Czego nie wydrukowano, tego nie ma. Papier owinął mu oczy i uszy. Gdybyś go zaczął obdzierać ze skóry, zostałyby ci w rękę papier. Gdybyś go zranił, spłynąłby cały farbą drukarską. Oczywiście, znawca zagadnień wschodnich. Jeszcze jeden. I to z prawem jazdy na uniwersyteckiej kobyle, kobyle z papieru. Po dwudziestu okrążeniach zabytkowej fontanny spostrzegam, że w mniemaniu mego rozmówcy Polska Marksem stoi. Lechickie niwy, łąny i gaje roją się od marksistów. Miliony ludzi uwijają się po kraju z tomami „Kapitału” pod pachą. W kolejkach dojazdowych, w autobusach i tramwajach dyskutuje się u nas korespondencję Marksa z Engelsem... Dowiaduję się jeszcze, że ten sympatyczny skąd inąd papyrus pracuje nad dziełem swego życia: „Nowa Polska”. Już ma pięćset stron maszynopisu w teczce. Pogratulować!

Kiedy próbuję mu delikatnie wyjaśnić, że Polska dzisiejsza jest w równym stopniu marksistowska, co Niemcy Świętego

Cesarstwa Rzymskiego byli rzymscy lub z goła święci, patrzy na mnie jak na raroga.

— Przepraszam pana — rumieni się na papierowym obliczu — czy nie jest pan przypadkiem... faszystą?

Dopiero w czasie takich czarujących pogawędek uświadamiam sobie w jak niewymyślny wzorek układają się papierowe zwoje mózgowe niektórych tytanów analizy, interpretacji i syntezy naukowej. A może to i nasza wina? Jak niewiele poważnych prac o Polsce współczesnej napisali Polacy zagranicą w obcych językach! Tytuł obcych kłusowników i „niedzielnych strzelców” uwija się w naszym rewirze myśliwskim? A zatem więcej naukowej paszy dla ludzi z papieru? Skazać więcej niewinnych sosenek na rzeź? Ale może przesadzam w tej naiwnej trosce o „krzewienie prawdy” o naszych sprawach w świecie? Czy to nie spóźniona czkawka po wieku Oświecenia, kiedy to wierzono że wystarczy ludzi uświadomić, a globus nasz bez skrzywienia powiruje w lepszą przyszłość? Nasser wydaje rekordowe sumy na szerzenie wiedzy o Egipcie zagranicą. I co? Wzmogło to jego znaczenie? Zmieniło to nasze poglądy na zatarg egipsko-izraelski? Pomogło to biednym fellachom?

Trzeciego dnia obrad, mimo znacznego wysiłku umysłowego ze strony referentów, dyskutantów i słuchaczy, sprawa scalenia Europy zachodniej i przyszłości naszego rejonu geograficznego, jak spostrzegłem z melancholią, nie posunęła się zbyt naprzód. *Festina lente!* — jak mawiali Rzymianie. Śpiesz się powoli. Cierpliwością i pracą, wycężając główkę, kiedyś słoń w Afryce uwiódł małą mrówkę.

— Bardzo pożyteczna wymiana myśli — zegnają się „twardzi”.

— Owocne, naprawdę udane spotkanie — powiadają „mięczaki”.

— Trzeba je powtórzyć — zgadzają się wszyscy.

Następny kongresik, jeśli się nie mylę, za rok w słonecznej Kalifornii. Ale po tym artykulu pewnie mnie już nie zaproszą. A szkoda: Kalifornia — piękny kraj. I Hollywood blisko. Mogliby nas sfilmować.

Tadeusz NOWAKOWSKI

Kraj

Drętwa mowa czy różowe klisze

O numery „Kultury” w Polsce nie jest łatwo. Z tego względu autorzy krajowi mogą po prostu nie wiedzieć, że to co piszą spotyka się z krytyką i polemiką na świecie. W numerze 6/188 „Kultury” p. Andrzej Korboński polemizuje z trzema autorami. Dwóch mieszka zagranicą. Trzeci, którego p. Korboński szczególnie ostro atakuje, mieszka w Polsce. Nie wydaje mi się by słuszną metodą było atakowanie powodzią przymiotników („adept drętwej mowy”) ludzi mogących mieć trudności, by stanąć we własnej obronie. Odpowiadam na ten atak, ze względów zrozumiałych, anonimowo (anonimowy autor to taki ładny argument, który od razu dyskwalifikuje. Prawda?).

Najpierw dwie uwagi: 1) Jestem rzeczywiście „domorośłym” ekspertem od spraw gospodarczych, ale to nie jest moja wina. Należę do powojennego pokolenia, które w warunkach Polski Ludowej nie miało i nie ma ułatwionych wyjazdów zagranicę, zwłaszcza do krajów, w których są możliwości swobodnego czytania i dyskusowania. W tym sensie jestem rzeczywiście „domorośły”, co jednak nie powinno być, samo przez się, zarzutem. Piszę bowiem o sprawach, dotyczących sytuacji w Polsce, której elementy są w kraju lepiej znane niż zagranicą. Dlatego poczucie wyższości p. Korbońskiego nie jest słuszne. W każdym razie nie dowiodł w swoim liście, że ma do niego prawo sądząc po doborze argumentów. 2) Autor artykułu pt. „Zastępcze plenum” „jest zainteresowany” w czytaniu wydawnictw ONZ, m.in. dotyczących „terms of trade” krajów eksportujących surowce i artykuły rolnicze i chyba znaczną część tych wydawnictw zna. Wątpliwości p. Korbońskiego są więc w danym wypadku — niech mi wolno będzie użyć jego języka — „nie na miejscu”.

Przechodząc do spraw merytorycznych;

1) „Terms of trade” obliczane są przy wyborze odpowiedniego „koszyka” towarów i przy przyjęciu za podstawę danych z roku, który mógłby być uznany za rok „normalny” czy przeciętny, tj. kiedy nie występowały wyjątkowe zaburzenia cenowe. Rok 1956 był okresem konfliktu sueskiego i spowodowanych tym

transakcji spekulacyjnych. W konsekwencji wzrosły bardzo silnie, między innymi, koszty transportu morskiego (frachty) w relacji porty wschodnie Stanów Zjednoczonych — porty Europy zachodniej, co z kolei wpłynęło na podwyżkę cen węgla amerykańskiego w Europie i stworzyło wyjątkowo pomyślne warunki zbytu węgla polskiego, stanowiącego wówczas główny artykuł eksportowy PRL. Był to także rok stosunkowo dobrych cen artykułów rolnych, sprzedawanych na rynkach zagranicznych.

Gomułka wziął rok 1956 za punkt wyjściowy do obliczenia „strat” cenowych właśnie dlatego, bo był to rok nienormalnie wysokich i w miarę — o ile można przewidywać — niepowtarzalnych w najbliższych latach cen. W ten sposób „straty”, będące konsekwencją niepomyślnego układu „terms of trade” wyglądały odpowiednio imponująco, by uzasadnić, że są one właściwą przyczyną trudności gospodarczych Polski. Dalszą konsekwencją rozumowania Gomułki było: ograniczajmy handel z krajami o gospodarce rynkowej — przestawiajmy się na handel z krajami RWPG.

2) Przez przeszło 10 lat po wojnie Polska otrzymywała wielkie dochody dewizowe z eksportu węgla, którego było brak w wielu krajach. Podstawowym błędem przywódców gospodarki polskiej było niezadbanie o taki profil uprzemysłowienia, jaki mógłby zapewnić eksport na zachód artykułów gotowych. Polska ma dotychczas z krajami o gospodarce rynkowej bardzo podobną strukturę towarową wywozu, jak przed wojną! Przeważają surowce energetyczne i produkty rolne.

3) Kiedy na zachodzie, do 1957 roku, płacono nam dobre ceny za węgiel, do krajów socjalistycznych eksportowano po cenach znacznie niższych. Jedną z przyczyn popularności Gomułki w 1956 r. stało się to, że wytargował od Rosji skasowanie długów Polski za wyrównanie strat poniesionych przez Polskę wskutek wieloletniego eksportu węgla po niskich cenach. Czy podobną restytucję udało się otrzymać od Czechosłowacji i Wschodnich Niemiec? Kroniki milczą o tym.

Proponuję obliczyć wiele Polska straciła na tym eksporcie, przyjmując, że na każdej tonie wywiezionej do „bratnich” krajów traciła 5 dolarów USA.

Pamięć tych sytuacji jest żywa w Polsce. Ostatnio wprawdzie kraje socjalistyczne płaciły cenę wyższą od światowej, teraz jednak cena znowu została obniżona.

4) Koszty wydobywania węgla w Polsce są wygórowane. Górnik zatrudniony w przemyśle węglowym w Polsce wydobywa dziennie około 35-40 procent mniej węgla niż w krajach Europy zachodniej, a zaledwie około 1/7-1/8 tego co wypada na jednego górnika w USA (przy znacznie lepszych warunkach geologicznych w Ameryce).

Płace w górnictwie węglowym w Polsce są stosunkowo duże. Jest to jeden z elementów polityki rządu: płaci dobrze górnikom węglowym i metalowcom, by nie mieć przypadkiem z nimi kłopotów politycznych.

Połączenie wysokich płac i niskiej wydajności daje duży koszt wydobywania każdej tony. Proponowałbym p. Korbońskiemu, żeby zechciał obliczyć, przy wprowadzeniu współczynnika wydajności — kto jest lepiej płatny: górnik polski czy górnik amerykański? Może przyczyni się do rozwiania legendy, że podstawą „rentowności” produkcji węgla w Polsce są niskie płace. Za wysokie płace i niską wydajność górników płaci całe społeczeństwo, m.in. robotnicy w innych działach przemysłu.

5) P. Korboński wydaje się być zwolennikiem posuniętej do ostatnich granic autarkii, gdyż uważa, że argumentem za inwestycjami w przemyśle węglowym jest to, że w Polsce „zapotrzebowanie węgla rośnie szybciej niż produkcja”. To i co z tego? Przecież nie potrzebują chyba przypominać o korzyściach międzynarodowego podziału pracy. Można sobie wyobrazić sytuację, w których Polska przywozić będzie surowce energetyczne w zamian za wywóz produktów wytworzonych w zakładach przemysłowych, w których nakład na każde stanowisko pracy będzie niższy niż w górnictwie węglowym. Właśnie dlatego, że jak p. Korboński pisze: „Polska jest krajem biednym” nie stać jej na to, by jeden z podstawowych elementów kosztów ogólnych produkcji przemysłowej — koszt energii — był wysoki.

6) Węgiel nie jest jedynym surowcem, którego ceny są stosunkowo wysokie. Polska jest w ogóle krajem drogich surowców, m.in. przez inwestowanie bez rachunku ekonomicznego w rozwój tak zwanej „własnej bazy surowcowej” i przywóz surowców po wysokich cenach z krajów RWPG.

Sprawa ta wymaga naturalnie szerszego omówienia. Tutaj jedynie ją sygnalizuję.

7) W wielu krajach, jak o tym jest mowa w artykule pt. „Zastępcze plenum”, ogranicza się produkcję węgla i przechodzi na tańsze źródła energii dla poprawy warunków konkurencji wyrobów gotowych na rynkach zagranicznych (niższe koszty własne). Problem ten stoi także przed Polską, tylko nikt się nim nie zajmuje.

8) W Polsce nie ma zastrzeżeń (czy jest ich mniej) gdy rzecz idzie o rozwój kopalni węgla koksującego w Zagłębiu Rybnickim. Inaczej z problemem produkcji węgla energetycznego i perspektywą, że przez okres planów wieloletnich, opracowywanych do 1980 roku przez kraje RWPG, Polska ma być właśnie dostawcą węgla do innych krajów tej organizacji. Jest to stabilizacja surowcowego charakteru dostaw z Polski, a więc i surowcowego charakteru jej gospodarki gdy chociażby z dynamiki ludnościowej wynika, że w Polsce gwałtownie winien być rozwijany przemysł przetwórczy. Inne kraje socjalistyczne są więc tu w pewnej mierze „winowajcą”, zgodnie z terminologią p. Korbońskiego, a nie wyłącznie potrzeby wewnętrzne.

W Rosji ogranicza się produkcję węgla (wynosi ona teraz łącznie około 515 milionów ton) w kopalniach zwykłych, a rozwija w kopalniach odkrywkowych, gdzie koszt wydobywania jest sześciokrotnie niższy niż w kopalniach zwykłych. Prócz tego

Rosja rozwija bardzo produkcję ropy naftowej. W rezultacie będzie miała niższe ogólne koszty produkcji. A więc — jest o czym pomyśleć, a to tym bardziej, że „domorośli” ekonomiści w Polsce widzą jak w podobnych okolicznościach w Rumunii potrafią się jednak bronić przed narzucaniem im na trwałe surowcowej struktury produkcji w tzw. „socjalistycznym podziale pracy”.

9) W Polsce aż za dobrze wiedzą, że „każda inwestycja odbija się na konsumpcji”, i nikt nie myśli, że „najlepiej nie inwestować w ogóle”. Tutaj p. Korboński niepotrzebnie puszcza wodze fantazji.

Ale w Polsce widzą ile błędów popełniono. Znane są wypadki że maszyny sprowadzane za drogo zdobywane dewizy, latami całymi stoją w skrzyniach, że budowane są hale fabryczne, które wykorzystuje się dla innych niż zamierzano celów, itd., itd., nie mówiąc o fabrykach, które nawet są czynne, ale których koszty produkcji są horendalnie wysokie.

Znane są prymitywne metody planowania, bałagan w domenie cen i płac. A więc nie trzeba patrzeć na sytuację w Polsce jakby to były Stany Zjednoczone, gdzie wydatki na cele ogólne, społeczne, są niewspółmiernie niskie. W Polsce jest odwrotnie. Już drugi rok z rzędu stopa życiowa spada, ta stopa życiowa, która i tak nie była wysoka.

Myślę, że społeczeństwo polskie, w którym można jeszcze wykrzesać patriotyzm, byłoby gotowe znieść wiele, ale nie wtedy, gdy zaciskaniu pasa towarzyszy zamordyzm i dbałość o żłób partyjny.

Różowe klisze, powierzchownie przykładane, nie będą w stanie pokryć tego co się dzieje teraz w Polsce. Nie wystarczy pisać o złej pogodzie...

10) Do rozwagi p. Korbońskiego proponowałbym temat: czy gdyby w Polsce od 18 lat zamiast złej gospodarki była prowadzona właściwa gospodarka, musiałyby ona jeszcze być krajem biednym?

Oświadczenie

W następstwie mojego szkicu „Klucz i Hak”, (nry 7/8 i 9 „Kultury”) — warszawska „Kultura” ogłosiła komunikat pt. „Słowo i Rzecz, czyli casus Aleksandra Wata”, podpisany przez RDC.

Stwierdzam niniejszym:

Nie jest prawdą, że „Aleksander Wat spędził osiem lat na

Lazurowym Wybrzeżu. Rzecz jasna — za pieniądze Polski Ludowej”;

natomiast prawdą jest, że leczono mnie „za pieniądze Polski Ludowej” na południu Francji i Włoch od grudnia 1955 r. do lipca 1957 r. Czyli przez 19 miesięcy. W okresie odwilży.

W lipcu 1957 r. wróciłem do Warszawy, a po dwóch latach, w lipcu 1959 r., ostatecznie wyjechałem z kraju. Ani przy wyjeździe, ani później żadnych „pieniędzy Polski Ludowej” nie dostałem, o żadne „pieniędzy Polski Ludowej” nie zabiegałem.

Prawdą jest również, że pod komunizmem często i długo bywałem na utrzymaniu państwa. W więzieniach i szpitalach. Było tego raptem 11 więzień (w ZSSR, w 2 nawrotach) oraz 16 pobytów w szpitalach.



Pod komunikatem warszawskiej „Kultury” podpisała się Redakcja (RDC). Wśród 19-osobowego zespołu naliczyłem co najmniej 13-tu, którzy o tym wszystkim wiedzą dokładnie, w tym co najmniej 3-ch, którzy są ludźmi z gruntu poczciwymi. Osobliwością ustroju jest nie to, że w zwalczaniu przeciwnika nie przebiera w środkach, ale że swoich najlepszych przymusza do uczestnictwa w brudnej robocie.

Paryz we wrześniu 1963

Aleksander WAT

Ponieważ nasi czytelnicy z pewnością nie czytają warszawskiej „Kultury” — podajemy kilka wyjątków z cytowanego wyżej artykułu pt. „Słowo i rzecz, czyli casus Aleksandra Wata”, zamieszczonego w nrze 15 wymienionego pisma, z 22.9.63 r.:

„...Aleksander Wat spędził osiem lat na Lazurowym Wybrzeżu. Rzecz jasna — za pieniądze Polski Ludowej”... „Brał polskie złotówki bez wabanania, bez obaw o konfrontacje „słowa” i „rzeczy”. Chociaż... gdy po raz pierwszy, w roku 61, produkował się w nowym ideologicznym charakterze, uczynił to pod pseudonimem Stefan Bergholz (przedmową do pewnej antykomunistycznej powieści)...”. (Redakcja).

Z księgi dżungli

Roman Bratny poucza nie tylko polskich autorów. Zwalcza i przeraża również pisarzy zagranicznych. Posłuchajmy co w tej sprawie ma do powiedzenia Józef Brodzki tłumacz Priestley’a. Cytuje za „Polityką”, nr 342:

„Sztuka J.B. Priestley’a „Pan Inspektor Przyszędł” opowiada o

dziejach pewnej bezbronnej dziewczyny, która popełniła samobójstwo. Do domu bogatego przemysłowca angielskiego, Berlinga, przychodzi inspektor policji, aby dowiedzieć się o okoliczności jakie towarzyszą temu rozpaczliwemu aktowi uwiedzionej dziewczyny. Dzięki sprytowi i podchwytliwym pytaniom owego inspektora wszyscy po kolei: pan Berling, jego żona, syn, córka i jej narzeczone, przyznają się do tego, że pośrednio lub bezpośrednio przyczynili się do śmierci tej dziewczyny. Inspektor swoje zadanie wykonał, wszyscy wyznali swą winę, inspektor odchodzi. Wszyscy są skonsternowani, gdyż okazało się, że każdy z nich postąpił podle. Za chwilę ma zapaść kurtyna. Wtem wchodzi pokojówka i melduje przybycie inspektora policji, a więc ten, który był w ciągu trzech aktów na scenie (łatwo się domyśleć, że był to sam autor demaskator) nie był autentycznym komisarzem policji. Świetnie zbudowana przez Priestley'a sztuka zdarła maskę obłudy z angielskiej burżuazji, a o to przecież tylko w tej głośniejszej sztuce chodziło. Za chwilę na scenę wkroczy prawdziwy inspektor. Kurtyna zapada i tu dopiero Roman Bratny znajduje pole do popisu i wkracza na swój „plac boju”. Dopisuje epilog, w którym na scenę wchodzi — *przez niego do życia powołany* inspektor policji. Pan Berling, wyzyskując swoją sytuację bogatego obywatela imperium brytyjskiego, „załatwia” inspektora, przy czym cała sprawa udziału rodziny Berlingów w śmierci owej dziewczyny zostaje zatuszowana. Sojusz burżuazji angielskiej z policją w tym epilogu Romana Bratnego zostaje najdobitniej zademonstrowany publiczności, a autor ((Priestley) jest „przywożdzony”, bo Roman Bratny jeszcze dziś wyznaje z emfazą: „nie możecie mi zabronić walczyć z wrogiem”.

Bratny, zastępca naczelnego redaktora warszawskiej „Kultury” zademonstrował dobitnie co rozumie przez „kulturę”. Na łamach teje „Kultury” chwali się tym wyczynem. Prawo autorskie, konwencje *copyright*'u, szacunek dla cudzego dzieła — to wymysły zgniłego zachodu.

Mam już nie wiele złudzeń na temat Polski Ludowej, a w szczególności ludowej literatury — lecz wprost trudno było mi uwierzyć w to wszystko i gdyby nie świadectwo tłumacza sztuki Józefa Brodzkiego — uważałbym, że Bratny dla kawału zmyślił tę całą historię.

Wystawienie sztuki pod nazwiskiem głośniego autora, z zachowaniem oryginalnego tytułu z dopisanym epilogiem, który całkowicie przeinacza sens utworu — stanowi „unik” nienotowany nawet w Sowietach w okresie stalinowskim.

Przeróżający jest w tym wszystkim nie tylko Bratny, ale i reakcje na Bratnego. Nie wyciągnięto w stosunku do niego żadnych konsekwencji, przeciwnie, nagrodzono go oficjalnym stanowiskiem w warszawskiej „Kulturze”. Dzieją się w Polsce Ludowej rzeczy, które można opisać — ale pojąć nie sposób.

Dla p. Romana Bratnego to nie nowina. Czytelnicy na pewno pamiętają, że po ukazaniu się „Kolumbów” Stefan Korboński oskarżył Bratnego o plagiat. Bratny całe ustępy z książki Korbońskiego pt. „W Imieniu Rzeczypospolitej” przepisał żywcem w swoich „Kolumbach”. Lecz Bratny uważa, że w ten sposób „zwalcza” burżuazyjnych pisarzy czego w Polsce Ludowej nikt nie może mu zabronić.

Ponieważ książka St. Korbońskiego jest od dawna wyczerpana i wobec tego mało znana czytelnikowi krajowemu — podajemy bardziej charakterystyczne „zapożyczenia”:

„W Imieniu Rzeczypospolitej”, str. 200, w rozdziale o emisariuszu Michale Strzeleckim:

„...Gdy go obudziłem i przystąpił do porannych ablucji, zauważyłem, że ściąga z siebie jedną po drugiej jakieś cztery, pięć koszul. Michał spostrzegł moją zdziwioną minę i wyjaśnił rzeczowo: Chociaż mam stałą melinę, to jednak rzadko do niej zaglądam i właściwie nigdy nie wiem, gdzie będą nocować. Toteż noszę na sobie, na zapas, parę zmian bielizny. — Ale jak ty to robisz, żeby mieć jednak od czasu do czasu czystą koszulę? — Bardzo prosto. Jak się koszula z wierzchu zbrudzi, to ją kładę na sam spód, a druga z kolei wychodzi na wierzch. I tak do końca”.

„Kolumbowie” str. 145:

„...Nie mając mieszkania, chodził w trzech koszulach na raz. — Świetnie zastępują sweter — oznajmił kiedyś, zmieniając koszulę, to znaczy chowając najbrudniejszą pod spód...”.

„W Imieniu Rzeczypospolitej”, str. 224, gdzie Korboński przytacza opowiadanie Wiktora Lipińskiego o użytym przez niego podstępnie, związanym z „zieloną przepustką” i mówi o jego smutnym losie, o którym zadecydowało wydarzenie z cyną:

„...Postanowiłem wymyślić coś extra i to się udało. Odpowiednia komórka wykonała dla mnie nowy typ przepustek niemieckich dla przesyłek ekspresowych. Miały one zielony pas na ukos, co nadawało im bardzo wygodny wygląd i dziurkowane odcinki, które miały być odrywane przez posterunki żandarmskie, przez jakie towar będzie przechodził. W odpowiedniej chwili został wyprodukowany przez tę samą komórkę okólnik Generalnego Gubernatora, informujący żandarmerię, że transporty, posiadające ten typ przepustki, której wzór był załączony, są pośpiesznymi i nie wolno ich rewidować, a przeciwnie należy im ułatwić szybki przejazd...”.

„...Ten sam Lipiński odpowiadał w r. 1946 przed reżymowym sądem wojskowym w Warszawie za podjęcie na fałszywe papiery kilkuset ton cyny, jakie nadeszły do Gdyni dla reżymowego przemysłu...”.

W „Kolumbach”, str. 79 i 732, „zielona przepustka” i „cyna” zostały przyswojone w następujący sposób:

„...Zygmunt od paru miesięcy przestał używać słów „zacier, filtry, kadzie”, a mawiał „Meinl, Bezugscheiny, przepustka z zielonym pasem”. Zwłaszcza ów zielony pas, za pasem broń... stanowił jego ulubioną arię. Chodziło o specjalny typ przepustki, który dawał wolny przejazd każdemu transportowi...”.

„...Kosiorek, wysłuchiwał relacji o okolicznościach zdobycia przez współpracownika przed miesiącem wagonu cyny... Piętnaście ton cyny z pierwszego transportu UNRRA...”.

Im dalej w las, tym więcej drzew, więc dalsze studia nad obu książkami doprowadzają do dodatkowych spostrzeżeń, a mianowicie, że ich bohaterowie przemawiają gdzieś tam tymi samymi słowami, na przykład:

„W imieniu Rzeczypospolitej”, str. 162:

„...zagadnął mnie w przelocie ni to z żalem, ni to z wyrzutem: „No i co wyszło z całego waszego tyrania?... G...!...”.

W „Kolumbach” str. 792:

„...Co wyszło z waszego tyrania? G...” (Bratny to ostatnie wykrópkowane, niecenzuralne słowo drukuje w pełnym brzmieniu).

„W imieniu Rzeczypospolitej”, str. 280:

„...O, psiakrew! Dzisiaj siedzi ten żółtodziób, któremu trzeba wszystko powtarzać dwa razy!...”

W „Kolumbach” str. 208:

„...Cholera, odbiera tam jakiś żółtek, wszystko mu trzeba po dwa razy powtarzać!...”

Najbardziej jednak korzystał Bratny z tych rozdziałów książki Korbońskiego, które są poświęcone niebezpiecznej, czteroletniej pracy tajnych radiostacji, utrzymujących łączność między podziemną Warszawą i Londynem. Tutaj Bratny bez ceremonii ubiera swoich bohaterów w przygody własne Korbońskiego, na przykład w następujących opisach:

„W Imieniu Rzeczypospolitej”, str. 103 i 104:

„...W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych i za chwilę wpadła do pokoju Zosia, która miała przyjechać na stację rano. Od pierwszych jej słów serce podeszło mi do gardła: „Podjechały was trzy samochody. Jeden stoi o sto metrów stąd, dwa na sąsiednich ulicach”. — Stanęliśmy, jak wryci. Patrzymy na siebie i pierwszy odruch — to uciekać. Ale co ze stacją? Mózg zaczął pracować gorączkowo i wpadłem na pewien pomysł. Wołam więc do Stanisława: „Nadaj pan, ale kodem międzynarodowym, że zarządzamy przerwę w pracy na pół godziny...”. Stanisław tylko błysnął okiem na znak, że rozumie, nacisnął klucz i powtórzył trzykrotnie znane wszystkim telegrafistom na całym świecie sygnały. Zorientowałem się błyskawicznie, że skoro jeszcze nie atakuje żandarmeria, która na pewno czeka w pobliżu, to oznacza to, że nie jesteśmy dostatecznie dokładnie przez gonię umiejscowieni. Jeśli więc gonia podsłucha zarządzoną przerwę, Niemcy będą czekali spokojnie pół godziny, by dokończyć pomiarów i na nas uderzyć... ..Po sprawdzeniu i odbezpieczeniu rewolwerów, z rękami w kieszeniach na kolbach, wyszliśmy frontowymi drzwiami i poszliśmy w stronę stojącego na ulicy auta. Mijając je, zajrzałem do środka i zobaczyłem prócz szofera dwóch cywilów, palących cygara. U jednego na kolanach leżały słuchawki. A więc nasz podstęp się udał! Będąc czekali z zegarkiem w rękę pół godziny aż rozpoczniemy pracę na nowo...”

Bratny na str. 207 „Kolumbów” przyswoił sobie ten podstęp Korbońskiego w sposób następujący:

„...ubezpieczenie doniosło, że samochód stanął na rogu ulicy, a ta cała ulica to cztery domy. Krewa! To wiesz, co Jaś wymyślił? Kazał Grzesiowi, radiotelegrafście, nadać kodem międzynarodowym: „Zmęczyłem się, pół godziny przerwy”. Po tym zwinęli majdan i z walizą przeszli obok samochodu ekipy goniometrycznej. Ci gestapowcy od eteru siedzieli ze słuchawkami na kolanach i spokojnie czekali, aż oni po pół godzinie zaczną znowu grać, żeby ich dokładnie wymacać. Dobry numer, co?...”

U Korbońskiego str. 279, 325 i 321:

„...a w międzyczasie zgrzytało mu w słuchawkach i wołał: „O, słyszę, jak mnie gonia wymierza!”... „...sterczał w miejscu, okręcając się wolno na wszystkie strony. Stacja już była zaalarmowana, więc nie bardzo się tym przejmowałem, w przeciwieństwie do obserwatorki, która cała się trzęsła z emocji, rozpytując: „Czemu on się kręci jak fryga?” — „Prosta rzecz. Ma wszytą w ramiona antenę kierunkową, a ponieważ nasza stacja nagle zamilkła, więc myśli, że zgubił falę i chce ją na nowo schwytać”... „inni znowu na wyjazd kładą pilotki lub obwiązują twarz, tak jakby ich zęby bolały. Pod pilotką lub chustką mają coś w uchu, od czego idzie przewód za kołnierzyk i do kieszeni”.

U Bratnego str. 206:

„...Kiedyś podobno wymierzali go już tak blisko, że w słuchawkach mu skrzypiało jak nie oliwione zawiasy... podchodzi do okna, patrzy, a na rogu jakiś facet kręci się na wszystkie strony... Musiał mieć, bracie, antenę kierunkową wszytą w ramiona płaszcza. Jak radiotelegrafista przestał grać, szkop myślał, że zgubił falę i szukał, dlatego się tak wiercił... W zeszłym tygodniu wyspała się radiostacja w Ożarowie: podeszli ją pieszo. Jeden biedak z obwiązaną twarzą, jakby go zębki bolały, a słuchawki miał... pod bandażem...”

U Korbońskiego str. 391:

„...Przedtem jednak odbyła się krótka ceremonia. Czterech panów o twarzach starannie przyobleczonych w smutek wzięło na swe barki skromną trumnę, skleconą z prostych desek sosnowych i w towarzystwie kilku pań, kroczących w żałobnym pochodzie, udało się na jeden z pobliskich cmentarzy. Tam trumna została opuszczona do już wykopanego grobu, starannie zasypała i po kilku minutach wyrósł nad mogiłą zwyczajowy kopczyk. Pocho waliśmy w ten sposób resztę naszych radiostacji...”

U Bratnego str. 658:

„...po tym ten „pogrzeb”. Byli tylko we dwóch. Banalny powstańcy kondukt, trumienka mała, jak dla dziecka. Grzebali... radiostację”.

U Korbońskiego str. 318:

„...Natychmiast poinformowałem wszystkie stacje o nowym chwycie Niemców, to jest że samolot wzbija się w górę w odległości kilku kilometrów od stacji, a potem ze zgaszonym motorem, by nie płoszyć obserwacji, zbliża się do niej lotem ślizgowym...”

U Bratnego str. 232 i 233:

„...A ponadto wczoraj krążył wciąż nad naszą willą samolot. Byliśmy ochroną stacji, ale nikt nas nie informował o metodach nasłuchu i wykrywania stacji w czasie gry... Dopiero potem usłyszałem, że samolot schodzący ślizgiem z wygaszonym silnikiem stanowić może pierwszy zwiad goniometrii...”

Najbardziej dramatyczny rozdział książki Korbońskiego, to „Wpadka na Dolnej”, str. 303-309, opisujący przygody Korbońskiego i jego żony Zofii w czasie wykrycia przez Niemców tajnej radiostacji. Bratny, opisując podobne w szczegółach wykrycie, znów stroi jednego ze swych bohaterów w przeżycia Korbońskiego.

„W Imieniu Rzeczypospolitej” str. 306 i 307:

„...Na czele ich stoi młody, przystojny blondyn. Gdy spojrzałem na jego ruchy, nie miałem już wątpliwości: to Niemiec, oficer i dowódca... dowódca przywołuje do siebie jednego z cywilów, mówi mu coś, ten podchodzi do mnie, obmacuje mnie od góry do dołu, zdejmując mi kapelusz z głowy i bacznie ją ogląda. (Dopiero wiele dni później domyśliłem się, że szukał odcisku pałaka słuchawek na włosach)... Zamiast tego, po paru sekundach rozlega się stamtąd radosny i podniecony krzyk Niemców: „Alles is hier! Er is tot!”.

W „Kolumbach” str. 216 i 215:

„...z okna wygląda piękny jak amant filmowy młody mężczyzna, widocznie dowódca... Trzeci podchodzi i sprawnie obmacuje kieszenie. Potem nagle niespodziewanym, macierzyńskim ruchem głaszcze go delikatnie po głowie... Jerzego ten niezrozumiały gest oszałamia bardziej, niż cios. „Aha, sprawdza, czy nie mam na włosach odcisku od pałaka słuchawek”. — Olśniewa go nagła pewność... Die drei sind da — krzyczy ktoś z okna. Z okna pokoju, w którym grała radiostacja”.

Dwadzieścia lat później

Powiecie, że listy pochodzące z biura sędziego śledczego nie mają zwyczaju wywoływać u ich adresata uczucia swojskości i spoufalenia? Pozwólcie, że wyprowadzę Was z błędu. Oto nagłówek pisma, które — roku Pańskiego 1963 — dochodzi mnie niespodzianie, z Niemiec: *Landgericht. Der Untersuchungsrichter* (Sąd ziemski. Sędzia śledczy).

Do właściwego listu dołączony jest arkusz, pokryty wyłącznie nazwiskami. To jednak one, zaledwie przebiegłem je wzrokiem, rozpętują we mnie intensywną falę uczucia „swojskości”. Jest tych nazwisk blisko czterdzieści. Obok *grubych szyszek* miejscowych z tamtego okresu (członków sztabu SS miasta Lwowa i okręgu), figuruje na tym arkuszu pewna liczba najbliższych moich władców z obozu we Lwowie, zwanego *Janowskim*: ci właśnie, których wyczyny zdarzyło mi się opisać w kilku moich książkach.

Sposób w jaki zawiązałem i pogłębiłem moją z nimi znajomość był raczej koszmarny? Z tych które przyprawiają o dreszcze? Nie przeczę. Co nie przeszkadza, że — jakby nie było! — chodzi o zapowiedź spotkania z osobami, z którymi byłem kiedyś w bardzo — żywych — jeśli tak można to określić — stosunkach: spotkania dotąd nieprzewidywanego; na domiar z ludźmi, którzy wryli się w moją pamięć już na zawsze.

Nie do odnalezienia od chwili zakończenia wojny, SS-owcy ci zostali ostatnio, mimo wszystko, odkryci i „nakryci”, krótko mówiąc aresztowani. W następstwie czego sędzia *H. Bischoff*,

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

kierujący dochodzeniem, zwraca się do mnie — wymienionym wyżej listem — bym przybył do Stuttgartu, w charakterze świadka.

Nawiedza mnie proste porównanie: wyczyny SS-owców o których mowa dosięgły szczytu w 1943 roku; obecnie żyjemy w roku 1963. Inaczej mówiąc, okrągłych lat dwadzieścia: odstęp czasu w równej mierze standartowy, co symboliczny. Więc sprawiedliwości „powolnej ale niezawodnej” staje się jednak zadość?



Przybywszy do Stuttgartu około 3 godziny popołudniu, zostawiam moją walizkę w przechowalni i udaję się od razu do biura sędziego śledczego. Znajduje się ono chyba niedaleko od dworca: — „Dziesięć do piętnastu minut, pieszo” — informują mnie przechodnie, których pytam o drogę do *Urbanstrasse*. Mijam ogród publiczny i plac, zmierzając w okolice Muzeum i Teatru. Chwilę później znajduję się przed szukanym budynkiem.

Ta pierwsza wizyta ogranicza się do rozmowy z sędzią śledczym. Na razie chciałby on uplasować osobiste moje przeżycia pod kątem ich związku z poszczególnymi oskarżonymi. Pokazuje mi ich fotografie. Ponieważ te ostatnie pochodzą z epoki w której „współżyłem” z nimi, rozpoznaję ich bez trudu. Z kolei zatrzymujemy się nad każdym nazwiskiem. Po ukończeniu tego przeglądu, umawiamy się, następne przesłuchanie rozpocząć nazajutrz rano.

Po wyjściu z biura sędziego śledczego, mieszam się z gęstym tłumem przechodniów. I, przemierzając miasto wybieranymi przypadkiem ulicami, rozmyślam nad pytaniem, jakie sędzia zadał mi w momencie, gdy opuszczałem już jego gabinet:

— Czy uwierzyłby pan *wtedy*, że zobaczy ich pan jeszcze, ale sądzonych za ich zbrodnie?

Ponieważ tym razem, w stosunku do tych „moich” osobistych SS-owców, chcę być tylko i wyłącznie świadkiem, nie odczuwałem żadnej ani ochoty, ani potrzeby, uprzedzać sędziego o pewnym szczególe, o którym winienem wszakże poinformować Czytelnika: to wcale nie po raz pierwszy wypada mi odnowić moją znajomość ze zbirami SS, w rolach znośnie odwróconych. Tuż po wojnie, jako dyrektor Żydowskiej Komisji Historycznej, byłem powołany w charakterze biegłego przed Polski Najwyższy Trybunał Narodowy, ustanowiony do sądenia niemieckich zbrodniarzy wojennych grubszego formatu.

Oto jeden spośród pierwszych: Amon Leopold Goeth, były założyciel i szef obozu koncentracyjnego w Płaszowie, pod Krakowem, odpowiadający za współudział w kierowaniu zagładą

30.000 ludzi. Obok rzezi, którymi dowodził i które kontrolował, miał on zwyczaj osobiście mordować starców i chorych, dzieci i kobiety. Jego proces odbył się w Krakowie, w r. 1946. Świadkowie, którzy cudem przeżyli, przesuwali się jeden za drugim przed stołem sędziowskim. Ludzie stłoczeni na galerii dla publiczności i tłum cisnący się na ulicy, przed głośnikami, śledzili przebieg rozprawy z zapartym tchem. Lecz oskarżony, przywykły do swoich własnych metod śledztwa toczonego z reguły przy akompaniamencie krwawych tortur, i do własnych metod wyrokowania, zdołał już tymczasem pojąć i opanować wszystkie przywileje i korzyści, jakie przyznawała mu procedura wręcz przeciwna: beznamiętna i obiektywna. W czasie procesu, Goeth słuchał każdego słowa, z ołówkiem w ręku. Gdy nie dosłyszał przekładu jakiegoś zeznań, domagał się — od tłumacza — by mu to powtórzył. Stawiał pytania, komentował, prostował, zaprzeczał. W dniu jego „ostatniego słowa”, napięcie słuchaczy graniczyło już z paroksyzmem: — „Czy powie jedno choćby słowo, ale dotyczące sedna jego zbrodni?”. Goeth podniósł się ze swego miejsca by stwierdzić mniej więcej to co następuje: — *Es ist selbstverständlich* (jest samo przez się zrozumiałe), że — w przeciwieństwie do tego co utrzymywali świadkowie — latryny w jego obozie były oddzielne dla mężczyzn i oddzielne dla kobiet. Odnośnie faktu, że on i jego podwładni strzelali do więźniów? Nie działo się to bez głębokiej przyczyny: więźniowie przeznaczeni do „transportu” zachowywali się niespokojnie; do tego stopnia, że nieraz trzeba było dwa, trzy, a nawet cztery razy poprawiać te same szeregi. Inne dowiedzione mu zbrodnie? Odnośnie instrukcje dostawał z zewnątrz od swoich przełożonych. On, Goeth, uśmiercał w istocie zniecka, niespodzianie, lecz wcale nie na oślep. Tyle jedynie, że świadkowie nie mogli wiedzieć, dlaczego to robił (1).

Później odbył się, w Warszawie, proces byłego komendanta obozu w Oświęcimiu, Rudolfa Hessa i jego adiutantów. Sprostowanie, które główny oskarżony zrobił w toku rozprawy, zyskało rozgłos: — „Nie jest prawdą, jakoby liczba ofiar zgładzonych pod jego kierownictwem przekroczyła trzy miliony; łączna suma zamordowanych wynosiła *tylko* dwa i pół miliona osób”.

Tak bywało w epoce już przebrzmiałej, bezpośrednio po wojnie. Odtąd świat przeszedł dużą ewolucję. Przeszli ją również sędziowie w odniesieniu do przedwczorajszych ludobójców,

(1) Stenograficzne sprawozdanie z tego wielkiego procesu ukazało się w formie dużego tomu, obejmującego z górą 500 stron druku, pt. *Proces ludobójcy A.L. Goetha* (Kraków, 1947) Moje pytanie zadane oskarżonemu i wygłoszona przeze mnie ekspertyza: *ibid.*, str. 338-369.

jak i — w konsekwencji — ludobójcy zbyt późno uwięzieni. Dialektyka prawa dokonywa istnych wyczynów ekwilibrystyki.

Myślę m.in. o SS-owcu, który mnie powiesił. W świetle obiektywnego prawa, ja będę chyba teraz dla niego tylko świadkiem... odciążającym. Powie, że powieszenie mnie było mu nakazane przez szefa obozu. On zachowuje wyłącznie zasługę ułaskawienia mnie... po przerwaniu się sznura. Powie też, że ułaskawiając mnie z własnej inicjatywy i popędu, okrutnie się narażał.

Mam przy sobie przypadkiem francuski tygodnik, a w nim sprawozdanie z niedawnego procesu Martina Fellenza. Ten ostatni stanął przed niemieckim trybunałem, oskarżony o współudział w wymordowaniu 40.000 ludzi: władze niemieckie odkryły w istocie, że kierownik miejskiego chóru w małej miejscowości Schleswig, (położonej blisko granicy duńskiej), „jeden z najbardziej poważanych notabłów tegoż Schleswigu, ławnik municypalny z ramienia liberałów i żarliwy obrońca sprawy europejskiej”, był *Stabsfuhrerem* (czyli szefem sztabu SS) w Krakowie pod okupacją. W czasie procesu autor sprawozdania widział jak niedobitki popełnionych w Krakowie rzezi, przybyłe by świadczyć przeciw Fellenzowi, wybuchły łkaniem na samo wspomnienie jego nazwiska. W czasie ich zeznań Fellenz robił zapiski niby solidny kupiec, notujący zamówienia.

O jego areztowaniu ludność Schleswigu dowiedziała się ze zdumieniem: — „...On interesował się głównie muzyką”. Zająmował się chórem Schleswigu i, w ciągu 10 lat, podciągnął go na poziom jednego z najlepszych w Niemczech. Jako dobry Europejczyk, był jednym z przedstawicieli Schleswigu, wydelegowanych w r. 1958 do Mantes, z okazji „spokrewnienia” z sobą tych dwóch miast, zaś dwa lata później do Londynu, z okazji „spokrewnienia” z przedmieściem Hayes. Zaproszony był nawet na kolację w Izbie Gmin. Gdy wrócił z Londynu, oczekiwała go jednak już policja, gdyż inny SS-owiec ujawnił jego działalność w Krakowie. Tym niemniej: „Niemał wszystkie dokumenty, które mogły służyć śledztwu, przepadły. Trudno było nawet ustalić dokładnie uprawnień Fellenza, albowiem był on jedynym spośród *Stabsführerów* okupowanej Polski, pozostałym przy życiu. Nawet zeznania świadków-niedobitków były niedokładne”. Oto co znaczy obiektywność, myślałem: z braku dokumentów *dokładnych*, poczciwi sędziowie Fellenza byli na pewno skłonni przyjąć, że misja *Stabsführera SS* polegała na hodowli niezapomnianek lub na obrywaniu płatków ze stokrotek. Otóż: również w tej oto grupie SS-owców, oskarżonych za działalność we Lwowie, największe szanse wykręcenia się sianem mają byli członkowie sztabu oraz inni dygnitarze SS. Mimo, że najbardziej obciążeni zbrodniami, właśnie przeciwko nim może zabraknąć

naocznych świadków, albo też zeznania ich mogą się okazać nie-
dość dokładne. Dziesiątki i tysiące wymordowanych nie stawia
się ani przed sędzią śledczym ani w sądzie.

Czy obserwowaliście jak, pod wpływem upływającego czasu,
zmienia się kolor śladów krwi? Krew wytoczona z żył tryska i
kipi, gorąca i szkarłatna. Potem stygnie i ścina się, wykrusza się
i płowieje. Na koniec zostają po niej plamy, zaledwie brudne
i rdzawe. Zbyt często na podstawie tych właśnie i takich tylko
plam, trybunały skłonne bywają dzisiaj opierać swoje wyroki.



Szarawy, prywatny budynek, wciśnięty swojsko między
inne czynszowe kamienice. Biuro sędziego śledczego znajduje się
na pierwszym piętrze oficyny. Wymalowane jest ono bielą nie-
pokalaną; czuć je bez mała aseptycznym zapachem apteki: nic
wspólnego z zatęchłymi gabinetami, które już sama ich staro-
świeckość wypychała niegdyś czymś na kształt powagi. Poprzez
dwa okna widać dokładnie krzątających się na podwórzu loka-
torów: ten bardzo powszedni szczegół włącza nas z jakąś śmiesz-
ną oczywistością do współczesnego, do bieżącego biegu.

Pod koniec każdego epizodu jaki opowiadam, sędzia dyktuje
streszczenie maszynistce. Jest nią młoda i ładna kobieta z typu
kariatyd. Patrząc na nią, myślę mimo woli o komisji, którą kie-
rowałem. Tam również rejestrowano zeznania. Wyjątki z tych
tysiący spisanych wtedy protokołów wypełniły niebawem kilka
dziesiątek publikacji: w nich krew nie wyblakła.

Starając się dokładnie określić rolę poszczególnych oskarżo-
nych, zeznają bez pośpiechu, tonem bez mała obojętnym. Mimo
że sędzia wyraża zadowolenie z mojej rzeczowości, odgaduję w
nim źdźbło rozczarowania. W tych samych co ja okolicznościach,
inni świadkowie mnożą wykrzyki zgrozy. Powtarzają, że język
ludzki nie jest w stanie wyrazić okrucieństw, które widzieli i
przeżyli. Ich wzburzenie komplikuje zadanie sędziego. Zmusza
go do przypominania im konieczności trzymania się wyłącznie
faktów osobiście widzianych, niewątpliwych. Tym niemniej właś-
nie ten ich ustawiczny ferment i brak spoistości w zeznaniu po-
twierdzają mu bez przerwy wagę jego pracy i historyczną jego
misję.

Po upływie dwóch godzin, sędzia śledczy rzuca dyskretnie
spojrzenie na ręczny zegarek. Kilka minut później ponawia je,
tak samo ukradkiem jak poprzednio. Czyżby znak zmęczenia?
W tym momencie otwierają się drzwi: w towarzystwie strażnika,
wchodzi mężczyzna wysokiego wzrostu, szpakowaty. Słyszę we

mnie coś na kształt stuku puszczonego nagle w ruch mechaniz-
mu:

— Kolonko! — mówię.

Skojarzenie: więc to w tym celu sprawdzał tutaj sędzia
przed chwilą — tak dyskretnie! — godzinę, by stawić mnie
niespodziewanie w obecności tego upiora? Tradycyjne wyobraże-
nie dotyczące rozczochranych duchów i widziadeł, o budzących
grozę rysach twarzy, okazuje się jednak żałośnie przestarzałe.
Odziany w schludne ubranie cywilne i troskliwie uczesany, upiór
z krwi i kości, który stoi przede mną, posiada wygląd rozpacz-
liwie przyzwoity.

Wyliczając mu na głos jego dawne wyczyny, widzę go —
w moich wspomnieniach — w mundurze SS, w trakcie mordo-
wania i torturowania moich współwięźniów. Ilekroć wszakże pod-
noszę wzrok w kierunku tej tutaj zjawy, doznaję trudności gra-
niczącej z obrzydzeniem na myśl, że chodzi o tego samego osob-
nika. Dwadzieścia minionych lat zdołało w dziwny sposób odmie-
nić nawet jego fizjonomię. Niegdyś prostacza i bez wyrazu,
twarz jego posiada obecnie cechy prostoty i zamyślenia. Dawniej
nierówny i porykliwy jego głos stał się harmonijny. Jego wy-
sławianie się nie ma teraz nic z wtrętów argotycznych. Zwraca-
jąc się do sędziego śledczego, nie zapomina nigdy wymienić jego
tytuł *Landgerichtsrat'a* (radcy sądu *Land'u*). Zwracając się do
mnie, znajduje sposób inkrustowania w każde zdanie słowa „dok-
tor” (jakby miał w tym, w stosunku do mnie, nawyk już dawny,
z doby tych naszych dawnych spotkań!).

Rozmawiamy z sobą bez cienia zawziętości: uprzejmie, jak
przystało na ludzi dobrze wychowanych. Ale nie bez ugrzęźnięcia
na różnicy optyki nie do przebycia. Zdecydowanie: wspomnienia
które wymieniamy zupełnie się nie zgadzają! Jego wersja?

Jeden (jedyne) raz był on w istocie zmuszony zastrzelić
człowieka: nie poprzestając na daniu mu tego rozkazu, szef obozu
Wilhaus osobiście dopilnował wykonania. Inaczej mówiąc: on,
Kolonko, przyparty był do muru. Poza tym jednym wypadkiem,
nie zabił nigdy nikogo. Zgodnie ze swoimi obowiązkami, docho-
dził on co dzień, o 6.30 rano, jedynie do granicy wewnętrznych
drutów, by przydzielać do pracy wychodzące brygady.

Próbuję mu pomóc, by zorientował się nieco lepiej w swojej
ówczesnej działalności. Z niezmienną łagodnością, przypominam
mu te jego morderstwa które widziałem na własne oczy.

— *Ich bitte sie, Herr Doktor* (proszę pana, panie dokto-
rze) — mówi mi wtedy głosem równocześnie sugerującym i
błagającym. — *Errinern sie sich gut: es sind schon zwanzig Jahre*
her! (Przypomnij pan to sobie dokładnie: od tego czasu minęło
już dwadzieścia lat!).

Grzeczność za grzeczność: podobnie jak ja, pragnie on jedynie pomóc mi, bym nie poplątał tych dawnych historii. Następuje jeszcze uwaga sprawiedliwego, którego zapoznają:

— Ja który byłem nawet posądzony o pomaganie Żydom...

I opowiadanie (tym razem, mimo wszystko, nieco zawile) o tym jak — uczestnicząc w obławie — nie tylko pozwolił uciec ciężarnej Żydówce, ale jej tę ucieczkę nawet ułatwił. (Notuje w myśli: „Nie spostrzegając się, przyznaje się tym do udziału w polowaniu na ludzi również poza obozem”. Nie uważam jednak za konieczne powiedzieć tego na głos. Po co? W naszych sformułowaniach nie o takie tylko szczegóły się różnimy!). Równocześnie odnoszę wrażenie, że ów incydent z ciężarną kobietą musiał w istocie się wydarzyć! Gdyby Kolonko zaczął zmyślać swoje zasługi, mógłby przecież wyfantazjować rzeczy bez porównania bardziej pokazowe niż tę chwilę okolicznościowej słabości.



Następnego rana, sędzia śledczy zabiera sekretarkę i mnie swoim autem. Samochód wyjeżdża z miasta i mija zamiejskie osady; zatrzymujemy się dopiero jakieś dwadzieścia kilometrów za Stuttgartem, w małej miejscowości, przed bramą więzienia. Wpuszczeni do wnętrza budynku, wychodzimy schodami za strażnikiem, do kwadratowej izby: małe okna ubezpieczone kratami. Kilka krzeseł i stół (wystarczający, by rozłożyć na nim akty i maszynę do pisania). W środku pomieszczenia stoi, wprowadzony tam już wcześniej na naszą intencję, mężczyzna w więziennym pasiaku:

— *Schönbach!* — stwierdzam bez wahania.

Macki uwagi, wypęzłe z jednej i drugiej strony, zbliżają się do siebie, osłuchują się wzajemnie i wspinają, w oczekiwaniu tego co nastąpi. Głosem rozmyślnie oficjalnym i surowym, sędzia — tytułem zagajenia — odczytuje wstępne oświadczenie oskarżonego. Dzięki temu, zanim jeszcze Schönbach zacznie mówić, dowiaduję się jaką zajmie postawę. Rozpocznie się na nowo niesamowita płyta: zapowiedź rozmowy zmarłej przed poczęciem. Według rzeczony deklaracji, Schönbach zabił raz jeden i jedyny: ponieważ szef obozu Wilhaus... (resztę już znacie).

Pucułowata jego twarz, tryskająca niegdyś zdrowiem, przywiedła cokolwiek; wzrok — dawniej żywy — zmatowiał; łysina której w tamtym czasie jeszcze nie miał.

Eksterminacja Żydów? Słyszał o niej wtedy, to prawda, ale tylko z pogłosek. Gdy przypominam mu jego codzienne zbrodnie, słucha mnie w skupieniu, nie przerywając, milczący. Po czym:

— Panie doktorze! — mówi do mnie tonem perswazji. —

Nie chcę panu niczego sugerować! Proszę jednak nie zapominać, że dwadzieścia lat upłynęło już od tego czasu. Proszę więc pana doktora przypomnieć sobie dokładnie: moim jedynym zadaniem było kierowanie ukraińskimi *askarami* i żydowskimi milicjantami (2). Ponieważ jedni i drudzy stacjonowali w zewnętrznym pasie łagru, nie miałem nic do roboty w centralnym kręgu obozu.

Także jego głos posiada intonację niewinnej ofiary. Także on, mimo przygnębienia jakie okazuje, ani na chwilę nie płacze się i nie gubi.

— *Sie sprechen doch auch polnisch, nicht wahr?* (Pan mówi także po polsku, nieprawdaż?) — pytam go flegmatycznie.

Zaskoczony, odpowiada półgębkiem, nieufnie:

— *Ein bischen* (trochę).

— Czy powiedzieć panu skąd ja wiem o tym?

I cytuję mu incydent (którzy, obok innych, opisałem kiedyś, w wydanym już siedemnaście lat temu, moim „Uniwersytecie zbirów”): Pewnego dnia Schönbach i Kolonko znęcali się nad wiejskim chłopakiem. Ustawili go w odległości kilku metrów od siebie i walili w głowę deską o takiej długości. Gdy chłopak upadł, kopali go gdzie popadło. Potem nakazali askarom okładać go nahajkami. W pewnej chwili katowany jęknął: „O Jezu! już wystarczy!”. Na co Schönbach soczystą, dolno-śląską polszczyzną:

— „Wystarczy, k...? ja się jeszcze nawet nie rozgrzałem!”.

Teraz, wysłuchawszy mnie, potrząsa głową: — Nie, nigdy nie torturował nikogo. I wraca na nowo do swojej wersji. Ja zaś nie odczuwam żadnej ochoty ani mnożyć przykładów jego zbrodni, ani usidlać go podchwytliwymi pytaniami: tutaj chce być tylko świadkiem. Mimo to, gdy już po raz trzeci i czwarty powołuje się on na tę swoją rzekomo jedyną funkcję, na to dowodzenie ukraińskimi askarami i żydowskimi milicjantami, z myślą o definitywnym wyłączeniu się z placu apelowego (na którym dokonywano zwykle rozstrzelań), zagaduję:

— A co się stało z tymi milicjantami, którymi pan dowodził?

Schönbach milczy: dowód, że od razu przeczuł zasadzkę w tym pytaniu, którego najwidoczniej nie przewidywał. Sędzia natomiast wydaje się nieco zdziwiony, że upieram się przy tym szczegółole, na pozór czysto administracyjnym.

— Więc ja panu przypomnę — mówię do Schönbacha. —

(2) W tym ostatnim wypadku chodzi nie o tzw. „Lagerpolicystów”, lecz o formację raczej nieszkodliwą, pełniącą rolę eskorty w czasie marszu brygad do pracy.

W maju 1943, wszyscy ci milicjanci zostali wymordowani, razem, z setkami innych więźniów, kobiet i dzieci.

Tym razem milczenie Schönbacha staje się ciężkie: oto znalazł się nagle w samym centrum rzezi i to właśnie w tej innej części obozu, która miała mu służyć za alibi. Uchylając się wciąż od odpowiedzi, chwytą się oburącz za głowę, gestem przygnębienia, i wzdycha:

— *Ich, der ich so vielen Menschen geholfen habe!* (Ja, co tylu ludziom pomogłem!).

Nawiązując do tych jego westchnień, sędzia odczytuje mu te ustępy mojego zeznania, w których rzeczywiście wspomniałem pewne jego dobre odruchy. Te ostatnie mogą mu służyć za okoliczności łagodzące. Mimo, że jego wzrok się ożywia, zachowuje jednak milczenie. Do tego stopnia, że ta jego dziwna powściągliwość i dyskrecja zaskakują nawet sędziego: dlaczego oskarżony nie rzuca się w kierunku deski ratunku?

Tylko my dwaj, Schönbach i ja, rozumiemy się. My dwaj jesteśmy tutaj jedyni, którzy widzą w duchu te same obrazy: jedyni, którzy znamy — z jednej strony — prawdziwe zabezpieczenia faktów, z drugiej strony — przyczyny jego rezerwy. By rewindykować określone dobre uczynki, jakie w istocie spełnił, lecz jedynie na marginesie popełnionych morderstw, Schönbach musiałby się naprzód przyznać do tych ostatnich. W topografii, którą usiłuje on zasugerować, nie ma miejsca na te dobre uczynki. To, że teraz ta jego topografia okazuje się nie do utrzymania? Trudno! Pod grozą całkowitego zburzenia jej jednym jedynym słowem, wzbrania mu ona wymienić wypadki pomocy, do których nie przestaje się wszakże odwoływać, ale tylko przy pomocy tych upartych westchnień.



Zaoszczędzę Czytelnikowi bliższego opisywania innych więźniów z tej samej grupy. Mimochodem, tytułem przyczynku na temat „spotkanie autora z postaciami jego książek”, dodam jedynie, że znajduje się wśród nich szereg osobników, których „dokonania” opisałem kiedyś zarówno w „Uniwersytecie zbirów” i „Literaturze w obozie”, jak w „Ecrits des condamnés à mort”:

— Rokita, muzyk sprzed wojny, zastępca szefa obozu; ten który miał zwyczaj rozdzielać chleb obozowcom, był przy każdej takiej okazji zastrzelic kilku z nich; ten, który zamówił skomponowanie „Tanga śmierci” i nakazywał orkiestrze grywać je w czasie każdej kolejnej rzezi. Obecnie jest to starszy pan, który się rozżył, o wyglądzie dobrodusznego artysty, o szpakowatych „baczkach”... — Blum, któremu poświęciłem kiedyś cały roz-

dział, relacjonując moje konspiracyjne wyprawy z obozu do miasta, w celu spotkania łączników podziemnej P.P.S.; to on w ciężarówce, którą konwojował, tłumaczył mi, tragarzowi-analfabecie, czym jest sztuka.

Znajduje się również w więzieniu (nie w okolicach Stuttgartu jednak, ale w Saarbrücken) założyciel i pierwszy władca obozu, Fritz Gebauer: specjalista od duszenia i od grzebania żywcem... Również i on utrzymuje, że był niewinny. Z tą różnicą, że w celu usprawiedliwienia popełnionych morderstw, odwołuje się do następującego porównania: podczas gdy on zgładził *tylko* setki ludzi, jego następca Wilhaus wymordował wiele tysięcy. Świadczy to — według niego — że, w ramach otrzymywanych rozkazów, on, Gebauer, nie wykonał nawet minimum normy. By ograniczyć liczbę ofiar, musiał ustawicznie dokonywać ogromnych wysiłków. Nie mówiąc już o niebezpieczeństwie, na które — wskutek humanitarnej postawy i braku gorliwości — narażał się. Słowem, ja zadaję sobie pytanie, czy nie pretenduje on do tytułu zasłużonego... bojownika ruchu oporu przeciw Hitlerowi.

Żadnemu z nich nie grozi kara śmierci, ponieważ w Niemczech dzisiejszych kara taka nie istnieje. Dobrze odżywiani, mogą bez trudu, „trzymać się w śledztwie” i „nie załamać się”. Wystarczy im, łatwo i bez żadnego ryzyka, powtarzać wersję, mającą na celu zredukowanie do minimum okresu przebywania pod kluczem. Wersje te zostały dokładnie opracowane w ciągu długich lat, jakie spędzili na wolności. Nie jest również tajemnicą, że sieć dawnych hitlerowców udziela swoim weteranom skutecznych w tym kierunku, fachowo i celowo obmyślonych, rad i pouczeń. Wskutek tych wszystkich przyczyn, wysiłki Niemców, zgrupowanych wokoło Centralnego Biura poszukiwania hitlerowskich zbrodniarzy, natrafiają na liczne przeszkody. Mimo to wykonują oni *dobrą* robotę! I to niezależnie od refleksji do których zmuszają wydawane następnie wyroki.

Każde z tych śledztw i każdy z tych procesów pogłębia *demistyfikację* katów. Co do mnie, muszę przyznać, że ciągle jeszcze pasjonuje mnie ich bezgraniczna tchórzliwość: to, że *żadnemu* z nich nie zdarzyło się jeszcze powoływać się na ich „idee”. Z tego punktu widzenia, ich odwoływania i zaprzeczenia, zapieranie się i kłamstwa stanowią dokumenty. Postawa, którą one wyrażają, daje *ich miarę*. Autor tezy o pismach, zostawionych przez ich ofiary, widzę inne studium do zrobienia: rozprawę o *pismach morderców*.

Michał BORWICZ

Jeszcze o biografii Gomułki

(UWAGI NADEŚLANE Z KRAJU)

Bardzo interesujący, a w niektórych wypadkach odślanający nieznane szczegóły, szkic biograficzny Gomułki (1), pióra Jerzego Monda, byłby jeszcze cenniejszy, gdyby autor pisał o pewnych sprawach wyraźniej i gdyby obok własnych informacji i obserwacji, nie cytował materiałów źródłowych o różnej wartości.

Autor pisze o wywłaszczeniu w 1938 r. gruntu należącego do ojca Gomułki. Dlaczego? Albo data jest pomyłona, albo ziemia nie była wywłaszczona, ale wykupiona, (np. pod lotnisko).

Wiadomo, że Gomułka miał dwie siostry. Jedna (chyba znacznie starsza) mieszka w Stanach Zjednoczonych, druga poniosła śmierć tragiczną przed dwoma czy trzema laty, w Krośnie: spaliła się (wypadek) w domu, w którym mieszkała. O tej drugiej mówiono, że nie posiadała pełni władz umysłowych, ale wynikało to może stąd że była bardzo pobożna co „kompromitowało” w pewnym sensie jej brata na stanowisku, jakie zajmuje w Polsce Ludowej. Podobno tego rodzaju komentarze na temat tej nienormalności pochodziły od lokalnych władz partyjnych, dla których była niewątpliwie „problemem”. Obok skłonności do dewocji, cechował ją upór. Obydwie cechy znajdujemy u brata, który swe skłonności do dewocji umieścił w wierze w marksizm. Gomułka nie jest komunistą myślącym, jest komunistą wierzącym. Wykorzystywali to, i wykorzystują, w różnych wypadkach urzędnicy z K.C., którzy potrafili mu podsunąć w odpowiedni sposób spreparowane slogany i stopniowo odsuwać go od społeczeństwa i „polskiej drogi do socjalizmu”.

Tło, na którym kształtowała się pierwsza młodość Gomułki jest ważne. Jest to tło opisane przez Szczepanowskiego w „Nędzy Galicji”. Interesujące byłoby dowiedzieć się więcej o ojcu Gomułki i jego pobycie w PPS, a także dlaczego Gomułka wykluczony został z organizacji „Siła”. W każdym razie Gomułka wyraźnie w środowisku polskim, dalekim od „rabinackich” tradycji SDKPiL a tym samym i „luksemburgizmu”.

Po następnym okresie życia Gomułki p. Mond tylko się prześlizguje, zapewne z konieczności (brak materiałów). Czy Gomułka „wstąpił” czy został zwerbowany do KPP? W jakich warunkach odbyło się „przeprowadzenie” do Warszawy w 1927 roku? Dane biograficzne z tych lat p. Mond czerpie z „Wielkiej Ency-

(1) „Kultura” nr 7/189-8/190.

klopedii Sowieckiej”, która oczywiście nie zaznacza, że jest to zwykła droga „aparaczyka” szkolonego i prowadzonego ze szczebla na szczebel, aż do studiów w szkole Kominternu w latach 1934-1935 w Moskwie.

Gomułka nie „wraca” do Polski po śmierci Piłsudskiego, lecz zostaje WYŚLANY jako (brzmi to brzydko, ale tak to się zwykle określa) „agent Moskwy”. Był to okres, kiedy w Polsce czynione były próby liberalizacji (Kościałkowski), które Moskwa postanowiła wykorzystać przez organizowanie zamieszek i demonstracji (co z kolei było na rękę zwolennikom twardego kursu i doprowadziło do utworzenia rządu Sławoja Składkowskiego). Gwałtowność charakteru i zawziętość Gomułki predystynowały go do akcji czynnej. Kandydatów na teoretyków zatrzymano w Moskwie. Następuje już wówczas de facto oddalenie się Gomułki od „grupy moskiewskiej”. Gomułka należał w 1936 r. do ruchomego aktywu, którego zadaniem jest organizowanie demonstracji w różnych punktach kraju. Do największej doszło we Lwowie, przy pomocy skrajnych nacjonalistów ukraińskich.

Teza p. Monda, że przez aresztowanie i osadzenie w więzieniu w Sieradzu Gomułka uniknęła śmierci w ZSRR jest ciekawa i bardzo prawdopodobna. Bardzo ważną i ciekawą (jeżeli tylko ścisłą) okolicznością jest udział Gomułki w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r.

Jak wiadomo, w tym samym pamiętnym wrześniu, jeszcze długo przed kapitulacją stolicy, Mołotow wysłał słynną depezę do Ribbentropa, gratulującą triumfu armii niemieckiej z racji zdobycia Warszawy.

Czy Gomułka wrócił do Warszawy czy został wysłany? (Inni koledzy partyjni ewakuowali się wówczas w głąb ZSRR). W wiadomości o poleceniu nawiązania kontaktu z Gestapo jest coś niejasnego. W pierwszym okresie 1939/1940 Rosjanie wydawali po prostu niektórych komunistów w ręce Gestapo, a mniej więcej pod koniec 1940, w miarę narastania nieufności, zaczęli powoli budować swoją sieć, jednak bardzo ostrożnie. Czy ta część informacji p. Monda, zaczerpnięta z książki Dziewanowskiego, została dostatecznie przeanalizowana? Czy Gomułka działała wówczas samodzielnie, a więc w pewnym sensie wbrew Moskwie („nie zachwycając się paktem Ribbentrop-Mołotow”) i dlatego nie chce odświeżać pamięci swej ówczesnej herezji (kiedy w 1962 r. dla paktu Ribbentrop-Mołotow znajduje już tylko słowa uznania), czy też wykonywał otrzymane polecenia? I czy „działał” wtedy jako organizator ruchu oporu w ogóle? Jeśli tak, to dlaczego początki PPR wiążą się w wypowiedziach oficjalnych (w 1962 r. w czasie obchodu Dwudziestolecia) z pojawieniem się wysłanników z Moskwy, mimo ogólnej tendencji do podkreślania rodzimego, „miejscowego”, charakteru PPR (i na tym tle przemilczania na przykład działalności Lampego w Moskwie)? Czy w latach 1940-1941 Gomułka „dryfował” samodzielnie, czy wrócił dopiero w 1942 r.? P. Mond pisze, że „Encyklopedia Sowiecka” podaje datę 1942 przyłączając go tym samym do „grupy inicja-

tywnej" czy do następnych wysłanników. Ale czy Gomułka uzasadniający w 1962 r. potrzebę paktu Ribbentrop-Mołotow, próbujący bronić poglądu, że Katyń zrobili Niemcy, itd. nie przyznałby się do tego, że wrócił w 1942 r. według rozkładu jazdy ustalonego w Moskwie?

P. Mond rozkłada wnikliwie akcenty i znaki zapytania w związku z rolą Gomułki w latach 1943-1944. Niepokoi tylko powoływanie się, jako na źródło, na informacje K.S. Karola, którego książka („Visa pour Pologne”, Paris, 1958) i artykuły, zamieszczone w „Express”, pisane były i są na podstawie wiadomości, otrzymywanych bardzo szczególnymi drogami i w bardzo specjalnych celach.

Być może, że w 1944 r. Gomułka miał inny pogląd na możliwość współpracy z rządem londyńskim od, na przykład, Bieruta, ale czy były to różnice istotne, czy tylko taktyczne? P. Mond przenosi to pytanie na omówienie lat 1945-1947. Brak w nim wzmianki o zmianie taktyki partii po zetknięciu się z sytuacją w „lewobrzeżnej” Polsce (tak to wówczas w kołach PPR mówiło się obszarach kraju, leżących na lewym brzegu Wisły), gdzie panował nastrój wrogości do PPR'owców, m.in. w konsekwencji zachowania się wojsk sowieckich w czasie Powstania Warszawskiego. Gomułka lepiej wówczas rozumiał sytuację w kraju od tych, którzy przybyli na teren Polski w bagażach armii radzieckiej.

To nie Gomułka i PPR byli zwolennikami szerokiego frontu demokratycznego, lecz takie były intencje i instrukcje Moskwy, która nisko ceniła możliwości lokalnych komunistów. Zresztą — jak zaznacza p. Mond — istniała wówczas atmosfera Frontu Narodowego, demokratycznego, w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii, w wykonaniu... tych samych instrukcji. Nieufność Stalina do swych własnych agentów i dbałość o niezrywanie łączności z rządami, opartymi o opinię publiczną, jest widoczna chociażby w relacjach Dżilasa. I tak jak partyzanci w Jugosławii tak i PPR w Polsce dąży do zagarnięcia całej władzy, forsując niejednokrotnie rękę Moskwy. Może na zewnątrz Gomułka podawał się za zwolennika frontu narodowego, ale przecież działał też w kierunku eliminacji, wszelkimi środkami, *najbardziej drastycznymi*, niewygodnych elementów (aresztowania i wywożenie do Rosji AK'owców, likwidowanie PSL'owców, itd) oraz utrwalenia władzy partii („władzy raz wziętej nie oddamy”).

Okres odejścia Gomułki od władzy, jego samokrytyki w 1948 r. przedstawia p. Mond obszernie. Na pewno Gomułka nie czuł się na siłach do walki. Ci, co go pamiętają jak półprzytomny słaniał się na trybunie, tłumacząc swe błędy i kolejno podając się teżom oskarżycieli, nie mając żadnych wątpliwości. Gomułka zdaje się dopiero około 1951-1952 r. zrozumiał (już w Miedzeszynie), że niezależnie od tego co powie i jaką samokrytykę przeprowadzi, będzie dalej oskarżany. Bo przestał być potrzebny. Przyszedł czas na grupę moskiewską. Znowu taka była „atmosfera” na Węgrzech, w Czechosłowacji, w Rumunii.

Gomułka zawdzięcza swe życie sile charakteru i oporowi tych, którzy nie chcieli go oskarżać, m.in. o współpracę z Niemcami w czasie okupacji, udział w tępieniu Żydów, itp., gdyż w tym kierunku szedł tok oskarżenia. Ci inni byli torturowani. *On torturowany nie był*. Trzymany był w warunkach „książęcych” w willi, a nie w więzieniu. Wyszedł z niej z nietkniętym uzębieniem. Pewno jeszcze dotychczas myśli, że więzienia za czasów sanacji były gorsze od więzień Polski Ludowej. Niektórzy z jego współpracowników wiedzą o czymś innym. Podobno Gomułka zawdzięcza ludzki sposób traktowania i to, że do procesu nie doszło — Bierutowi. Teza ta wymagałaby potwierdzenia i rozwinienia.

W przedstawieniu okresu wydarzeń po III Plenum w 1955 r. i październiku 1956 r., p. Mond podaje szereg faktów bezspornych, ale operuje też kliszami, zdradzającymi jego sympatie klubowe. Ale i to wymaga obszerniejszego omówienia.

Kliszą jest także podawanie, że Gomułka nie pobiera pensji wyższej niż 4.000 złotych. Gomułka jest człowiekiem żyjącym skromnie (w przeciwieństwie do „dolce vita” grupy dokoła Cyrankiewicza i w przeciwieństwie do niektórych innych przywódców komunistycznych w krajach demokracji ludowych), ale na precyzję z wymienianiem pensji miesięcznej lepiej się nie puszcząć.

Obraz osamotnienia Gomułki i stosunku do niego poszczególnych grup partyjnych, podany na końcu artykułu, wydaje się słuszny. Słuszne jest też rozróżnienie między grupą „natolińską” a „partyzantami” (którego nb. nie chce się dopatrzeć Wolna Europa).

P. Mond może zbyt mało powiedział o Zofii Gomułkowej. M.in. o jej roli w komisji kontroli partyjnej. Po październiku 1956 r. nie ma opinii osoby nietaktownej u szerokiego społeczeństwa. Przeciwnie — szanowana jest za swoją „niewidoczność”, w przeciwieństwie do rzucających się wielu innych dam reżymowych, i za skromność. W okresie 1951-1955 wycierpiała znacznie więcej od męża. Może jej się w 1948 r. czyjś nos nie podobał — ale nie był to chyba antysemityzm, jakby można było wnioskować z artykułu p. Monda, a jedynie poczucie taktu. Należy żałować, że w tym poczuciu taktu była tak osamotniona. Teza o tym że każde uznanie kogoś pochodzenia żydowskiego za niezdolnego do wykonywania jakiejś funkcji (czy wyjazdu do Paryża) jest dowodem antysemityzmu i jest bardzo silnie propagowana przez pewne koła zarówno w kraju, jak i poza jego granicami, co nie dowodzi, żeby była słuszna. Istnieje obawa czy Zofia Gomułkowa w pewnej mierze nie stanowi trasmisji do męża poglądów różnych „ciot partyjnych”, jak niektóre działaczki nazywają młodzi członkowie PZPR. Ich obawy mogą wynikać z przyczyn czysto personalnych — dla społeczeństwa ma to znaczenie ze względu na zdumiewającą utratę wszelkiego zrozumienia nastrojów tegoż społeczeństwa przez samego Gomułkę.

Wystawy polskie w Londynie

Podczas gdy w Tate Gallery wspinała wystawa obrazów Sutina i Modiglianego dobiega końca, Drian Gallery wystąpiła z retrospektywną wystawą *Mariana Bohusza-Szyszki*.

Wystawa ta obejmuje 155 pozycji, z czego 65 przypada na obrazy olejne, a pozostałe prace to szkice, rysunki i gwasze.

Marian Bohusz-Szyszko jest bodajże najbardziej znanym malarzem wśród Polonii londyńskiej. Jego wszechstronna i niestrudzona działalność artystyczna zjednała mu zastępy entuzjastów i stworzyła zapalczywą opozycję.

W tym czasie, kiedy Marian odkrył dla siebie swoją wybuchowo ekspresyjną formę wypowiedzi, ekspresyjny abstrakcjonizm był mało znany na terenie Londynu, a obrazy Bohusza już wtedy posiadały te wszystkie elementy plastyczne, które później, z zalewem abstrakcyjnego malarstwa, miały się stać tak ważne w plastyce. Tylko, że ten polski malarz nigdy nie zadowalał się czystą abstrakcją. Jemu forma abstrakcyjna służyła do wyrażania pewnych metafizycznych treści religijnych, które najwymowniej zostały zrealizowane w niesamowitej i przedwzrostnej kompozycji „Siedmiu archaniołów”.

Bohusz-artysta zdołał dotrzeć w sobie do tych osobliwych przeżyć, dla których wyraz znajduje w cyklu półabstrakcyjnych kompozycji religijnych, gdzie postacie Chrystusa i Apostołów pozabawione są ludzkich cielesnych form; formy te zostały zastąpione koncepcją świetlistych kolorowych plam, czysto malarzkich. Mogą one zapewne lepiej wyrazić owe metafizyczne napięcia uczuciowe, jakie artysta stara się zasugerować widzowi poprzez swoje dzieło.

Malowanie jest dla niego aktem uczuciowym raczej niż zimną kalkulacją — pochłonięty pasją malowania jest całkowicie zdany na intuicję i instynkt. Długa kontemplacja, stałe sprawdzanie wrażenia, zmuszają go do ciągłego powracania do obrazu i budowania i nawarstwiania powierzchni aż do jej kompletnego nasycenia barwnego. Jedynie w szkicach widzimy bezpo-

średniość wypowiedzi zrealizowanych z gwałtowną pasją i niebywałą energią.

Dla tego malarza poddanie się dyscyplinie dwuwymiarowości płótna zdecydowało o zasadzie budowania obrazu plamą barwną, równoległą, do płaszczyzny obrazu. Od tej zasady Bohusz nigdy nie odstąpił. Jego kompozycje ujęte w dyscyplinę i rytm, którego nie można „zrobić”, ani uplanować, ani wyprowadzić z żadnej estetycznej doktryny, posiadają swobodę i spontaniczność; to wrażenie potęguje jeszcze technika malowania, bezpośrednia, energiczna i bez cienia elegancji.

Jeżeli według Ingesa Delacroix malował „pijaną miotłą”, to obrazy Bohusza zostały zrealizowane chyba przy pomocy miotły szalonej i wściekłej szpachli, co uwidoczni się zwłaszcza w jego szkicach. Te pierwsze impakty bezpośredniości, nie poprawiane i bez przeróbek, są świadectwem intensywności wizji malarskiej Bohusza. Artysta ten jest jednym z nielicznych, którzy nie chcieli brać udziału w wyścigu powojennej egzaltacji i gigantycznych skrótów, zrywających programowo wszystkie więzy, które łączą dzień dzisiejszy z wczorajszym. W światoburczym pochodzie sztuki abstrakcyjnej Bohusz nie bierze udziału, mimo że abstrakcja nie jest mu obca.

W tym czasie kiedy abstrakcyoniści wysilali się na jeszcze jeden nowy trick, na jeszcze jedno nieoczekiwane zaskoczenie formalne — Bohusz był zajęty problemem, który pochłaniał go całkowicie. Problemem tym była próba związania metafizyczno-religijnych treści z formą malarską naszej epoki. Zagmatwani dzisiaj w mieszaninę logicznych rusztowań matematycznych i chwastów irracjonalnych, czy będzie nas stać na wysiłek włączenia się w problem, który postawił sobie ten malarz?



The Arts Review jest pismem poświęconym zagadnieniom plastycznym i chociaż niekiedy można znaleźć w nim także omówienia z zakresu muzyki i teatru, to w gruncie rzeczy jest pismem odzwierciedlającym życie sztuk wizualnych w Wielkiej Brytanii.

Ten dwutygodnik, bogato ilustrowany reprodukcjami, bardzo często wielobarwnymi, zamieścił na pierwszej stronie, w numerze 7-21-1963 (wrzesień) wielką kolorową reprodukcję Stefana Knappa, zaś ostatnią stronicę tegoż numeru wypełnia ogłoszenie o wystawie Franciszki Themerson, również opatrzone dużą jednobarwną reprodukcją.

Tak więc wraz z recenzjami z wystaw wspomnianych polskich artystów, ten 24-stronicowy dwutygodnik poświęca jedną ósmą swojej objętości — polskim malarzom z Wielkiej Brytanii.

Jest to bardzo dużo, zważywszy, że w piśmie tym ogłasza się około 90-ciu galerii londyńskich i jakie 60 spoza metropolii, a każdy wychodzący numer nie jest w stanie zamieścić więcej niż 50 krótkich omówień i parę wyczerpujących krytyk z wystaw

bieżących. Nie po raz pierwszy zresztą *The Arts Review* szeroko omawia twórczość Polaków.



Retrospektywna wystawa malarska *Franciszki Themerson* w Drian Gallery odbyła się w czasie od 10 września do 7 października i obejmowała dorobek artystyczny z lat 1943-1963.

Już wernisaż tej wystawy wskazywał, że jest to nieprzeciętne wydarzenie w artystycznym życiu Londynu. Stawili się nań tłumnie znakomici *marchand'zi* z West-Endu, wraz z krytykami i znanymi osobistościami z kół artystycznych.

Te obrazy namalowane są z talentem, smakiem, wrażliwością, inteligencją, zrozumieniem epoki i z wielkim doświadczeniem. Jeśli dodamy, że Franciszka Themerson świadomie korzysta z osiągnięć plastycznych takich artystów jak Picasso, Adler, Dubuffet i Tapiès, to otrzymamy zarys tego czym, jest jej sztuka. Duże kompozycje malarskie o pięknych jasnych powierzchniach wyszukanych białości, szarości i różów, pokryte siatką linii, z których powstają kształty niesamowitych, zdeformowanych i niedopowiedzianych, jak gdyby zastraszonych figur, albo olbrzymich głów ludzkich o twarzach wyczekujących lub zapłakanych — oto wrażenia wzrokowe z tej wystawy. Świadoma ekonomia środków potęguje wrażenie tych znaków graficznych, wydrapanych rylcem w miękkiej białej masie farby, nałożonej grubo na powierzchnię płótna. Elementy ludzkich łez i radości są psychologicznym motywem, jaki przewija się stale w tych zagadkowych kompozycjach.

To co napisałem dotychczas o tej wystawie odnosi się głównie do ostatniej fazy twórczej malarki, zresztą najciekawszej i, moim zdaniem, najlepszej.

Jej prace wcześniejsze, jakkolwiek zawsze ciekawe i malarskie, są jak gdyby drogą rozwojową przygotowującą malarkę do zrywu.

Na specjalną uwagę zasługują jej rysunki. Są one środkiem wypowiedzi artystycznej którą Franciszka Themerson uprawia z miłością, swobodą i dowcipem; przeważnie robione są linią, rzadziej linią i plamką. Te rysunki stały się niewątpliwie wyjściem dla jej ostatnich obrazów.



Stefan Knapp zajmuje dzisiaj w nowoczesnej sztuce światowej niezwykle miejsce ze względu na to, że bodajże jedyny uprawia, na wielką skalę, *vitreous enamel*.

Olbrzymich rozmiarów blachy miedziane, pokryte barwnymi emaliami, wypalany w wysokich temperaturach, są specjalnością tego artysty.

Knapp posiada rozmach i wprost nieograniczone możliwości realizacji olbrzymich dekoracji dla nowoczesnej architektury.

W New Jersey, w Ameryce, gdzie pokrył całą olbrzymią ścianę potężnego budynku swoimi emaliami w formie wielkiej kolorowej kompozycji abstrakcyjnej, specjalna policja drogowa reguluje ruch, aby zapobiec wypadkom samochodowym, gdyż tysiące ludzi zjeżdża się tam, aby podziwiać dzieło polskiego artysty.

Stefan Knapp w chwilach wolnych od wykonywania zamówień maluje obrazy. Właśnie (wrzesień-październik 1963) Hanover Gallery wystawia jego ostatnie malarstwo. Dwanaście obrazów, wypełniających całkowicie galerię, jest jeszcze jednym popisem technicznym Knappa, który posługuje się farbą w sposób wytrawny. Kolor tych obrazów jest żywy i nie zduszony, a piękne i wyszukane harmonie barwne podkreśla jeszcze zupełnie nowe medium, jakim Knapp namalował te dzieła. Nowe farby, bazowane na akrylicznej żywicy, olśniewają wprost nieskazitelną, dźwięcznością tonu, nasyceniami i elegancją.

Sama koncepcja malarska tych abstrakcyjnych obrazów — przyznajmy to — jest w gruncie rzeczy dość płytka i obliczona na błyskawiczne działanie — a więc nadająca się specjalnie do wytwornych salonów, gdzie w przelocie z jednej *party* na drugą, zatrzymuje się na *drink'a* wiecznie śpiesząca się, wyrafinowana publiczność. Knapp posiada fantastyczne odczucie aktualnych potrzeb rynkowych i nieprzeciętny zmysł organizacyjny.



Tadek Beutlich, w towarzystwie Jean Cocteau i Leeny Halme, wystawił w Malta House siedem swoich tkanin.

Beutlich, urodzony w Polsce w 1922 r., zetknął się w poznańskiej szkole artystycznej z L. Kintopfem, który jeszcze przed wybuchem ostatniej wojny zdołał zainteresować go taktwem artystycznym.

Beutlich był także w pewnym okresie, już na emigracji, uczniem profesora Mariana Bohusza-Szyszki, a następnie studiował w jednej z londyńskich szkół artystycznych. Obecnie wykłada w Camberwell School of Arts and Crafts w Londynie i zdobył sobie duży rozgłos swoimi tkaninami; poza tym jest on bardzo utalentowanym malarzem i grafiką.

Wstawione tkaniny Beutlicha wykonane są techniką RYJY, których ojczyzną jest Finlandia. Typowy fiński Ryjy to średnich wymiarów dywan strzyżony, utkany na lnianej osnowie kolorową wełną w sposób przypominający perskie dywany, ale posiadający inny efekt, a to z tego przede wszystkim powodu, że końce węgła są znacznie dłuższe i nie sterczą pionowo, lecz zwisają miękko, układając się linią pionową na tle przerzutów wełnianego wątki, który pokrywa całkowicie.

Technika ta znana była w Finlandii od niepamiętnych czasów; istnieją dowody, że była bardzo popularna w wiekach średnich, a król szwedzki, Gustaw Waza, oczarowany tymi tkaninami sprowadził je na swój dwór. W przeszłości, formy kom-

pozycyjne i ich koloryt były tradycyjne, ale współcześnie artyści komponują je bardzo swobodnie i dowolnie wyzyskują tę wdzięczną technikę dla nieraz bardzo udanych i bogatych kolorowych kompozycji.

Parę lat temu oglądaliśmy w V. and A. Muzeum, przepiękną wystawę tego typu tkanin, przywiezionych z Finlandii.

Beutlich rozumie znakomicie możliwości artystyczne tkaniny i komponuje bardzo udane, oryginalne i ciekawe kolorystycznie puszyste płaszczyzny, świecące jak żar dogasającego ogniska, albo zachodzącego słońca. Każdy z siedmiu wystawionych kobierców posiada styl i kompozycję najwyższej klasy i dorównuje najlepszym Ryji, jakie miałem możliwość kiedykolwiek podziwiać.



Po rocznej przerwie znowu oglądamy malarstwo *Tadeusza Dominika* w Galerii Grabowskiego (10 września — 5 październik 1963). Tym razem jest to jedenaście obrazów potraktowanych jako One-Man Show. Ta wystawa jest bardzo nierówna.

Obok monochromicznych rozwiązań płaszczyzny obrazu, gdzie Dominik odkrywa dla siebie laserunki i tony waloru, mamy obrazy budowane na silnych kontrastach, a miękkie, soczyste realizacje sąsiadują z twardościami i kanciastością o efektach prawie plakatowych. Motywy budowane ze „starych kości” ciągle jeszcze zajmują Dominika, chociaż zauważyłem także próby kompozycyjne o założeniach nowych — szerszych i z oddechem, jak np. w niewielkim obrazie „Storm in Red”, gdzie masy pomarańczowo-cynobrowe górnej części obrazu atakują poziomo położoną ciemną, niebiesko-czarną formę koloru. Obraz bardzo poetycki w nastroju i po prostu piękny.

Zygmunt TURKIEWICZ

Książki

Pamiętniki W. Lednickiego

„I wtedy zrozumiałem raz jeszcze, że tylko nasze wspomnienia są prawdziwe, realne, tylko pamięć nasza jest rękojmią niezniszczalności, wszystko inne jest widmem, iluzją...”
(str. 8).

Wacławowi Lednickiemu winniśmy szczerą wdzięczność za wskrzeszenie całej epoki naszej historii, dla młodego pokolenia nieznanego, a dla wielu z nas zapomnianego, na skutek dalszych klęsk naszego kraju i wyniszczenia od pięciuset lat trwającego na ziemiach wschodnich polskiego osiedlenia.

Różne bywają pobudki pamiętnikarzy. Najważniejsza i chyba imperatywna to bliskość własnego końca, to z dnia na dzień krótszy dystans do mety, pożegnanie złudzeń, ograniczenie zamierzeń. Wtedy człowiek spogląda wstecz na drogę przebytą i pragnie odtworzyć jej bieg, utrwalić pamięć ludzi zmarłych, domów i obyczajów już nie istniejących, a odbitych „w chwiejnym zwierciadle pamięci”. Nieraz wchodzi w to też element porachunków politycznych i osobistych (jak np. u Milewskiego) danie upustu urazom, a nawet tłumionej złości (jak u Tad. Bobrowskiego).

Na czoło *Pamiętników* Lednickiego wysuwa się pietyzm dla rodziców i ten pietyzm złożony z miłości, podziwu i wdzięczności za szczęśliwe dzieciństwo nadaje ton całości.

Siebie samego stawia autor w cieniu nie tylko ojca ale i ukochanej matki, czującej Hestii domowego ogniska.

Lednicki nie lęka się zdziwić czytelnika opisami niezliczonej swojej paranteli, szczegółami bytu ziemiańskiego z końca XIX i początku XX wieku na północno-wschodnich Kresach Polski, dworów, domów i pałaców, ich parków i umeblowania, gospodarstw, jadłospisów kuchennych, obchodów świąt rodzinnych, zjazdów sąsiedzkich itp. Podaje również wywody genealogiczne sięgające trzeciego i czwartego pokolenia, w których dla zorientowania się trzeba by sobie wyrysować drzewo o niezliczonych

Wacław Lednicki, *Pamiętniki*, T. I., str. 656 (B. Świdorski, Londyn, 1963, 63 sh.).

rozgałęzieniach. Dzięki jednak tej drobiazgowości powstaje z martwych cała epoka kresowego bytu ziemiańskiego, pomiędzy powstaniem 1863 roku aż do zapowiedzi pierwszej wojny światowej.

W tych wywodach nie ma żadnego snobizmu, jak by można przypuszczać. Rodowody Lednickich, Bohdanowiczów, Poczobuttów, Świackich i wielu innych opiera autor na materiałach skrzętnie gromadzonych, potem rozproszonych, częściowo odnalezionych i dopełnionych doskonałą pamięcią. Byt i dosyt „człowieka poczciwego” krzepił się po każdej kłęsce, na ogół już w następnym pokoleniu; „samodurstwo” i lekkomyślność jednych równoważą pracę i ambicje innych. Tradycja skromnych dworów, zbytek i ozdobność pałaców, wspaniałość niektórych rezydencji, pokoleniami upiękuszonych świadczą o kulturze polskiej, niepowtarzalnej kulturze kresowej, sięgającej aż poza granice przedrobiorowe i stanowiącej pewien wzór zbliżony do bytu ziemiańskiego rosyjskiego. Jedną z typowych postaci w rodzinie Lednickich był Józef Odlanicki-Poczobutt, któremu świat przedstawiał się jako całość ściśle zhierarchizowana. Wierzył w nienaruszalność tej hierarchii, w niezachwianą słuszność przywilejów szlacheckich, jak również w to, że „jedynym przeznaczeniem chłopów było żyć i pracować w warunkach danych im przez Boga i naturę”. Pracować, oczywiście, dla swoich panów, szlachty polskiej. Mimo jego wad, niestychanych dziwactw, groteskowej śmieszności i próżności, wszyscy na przestrzeni kilku gubernii znali i lubili tego „Józinkę” Poczobutta. Był autentycznym typem swego środowiska i epoki.

Lednicki, jako dziecko wczesnie rozwinięte, sporo miejsca poświęca swoim budzącym się instyktom. O zakochaniu się w sličnej ciotce Mili Bohdanowiczówny pisze: „Trudno być może uwierzyć, że jako dziecko siedmioletnie zakochałem się w niej głęboko i poznałem wszystkie tortury miłości: tęsknotę, zazdrość i coś bliskiego zmysłowemu pożądaniu”. Dalsze przelotne miłości gimnazysty dopełnia autor wyznaniem romantycznej miłości dla sąsiadki Borka, naddnieprzańskiej posiadłości Lednickich, Zofii Aleksandrowny Wonlarlarskiej — Igelström, dziedziczki wspaniałego Wonlarowa. Temu młodzieńczemu uczuciu, które przetrwało od jego czternastu lat aż do rewolucji i do tragicznego końca Zofii Igelström w ciężkim więzieniu Monasteru Solowieckiego na dalekiej północy — poświęcił autor kilka najpiękniejszych stron tego pierwszego tomu wspomnień.

Postać Aleksandra Lednickiego występuje na kartach *Pamiętników* syna, dopełnionych fragmentami wspomnień ojca, ze szczególną plastyką. Poznajemy go jako dziecko wychowane przez wczesnie owdowiałą matkę i macierzystego dziada, w skromnym dworku ziemi mińskiej, kiedy prześladowanie polskości, zaraz po kłęsce powstania 1863 roku, przybrało formy ter-

roru. Widzimy go następnie uczniem gwałtownie rusyfikacyjnego gimnazjum mińskiego, wreszcie ubogim studentem uniwersytetu moskiewskiego. Śledzimy jego postępy w zawodzie adwokackim, fanatyzm pracy i powolne dźwiganie się z ubóstwa do pierwszoplanowej pozycji w palestrze moskiewskiej, zapewniającej mu z roku na rok wzrastającą zamożność, którą się dzielił szczerą ręką z potrzebującymi. Polak, w rosyjskim środowisku moskiewskim, nigdy na krok od polskości nie odstępował.

Jeden z walorów tego pierwszego tomu, to rozważania problemu Polska-Rosja, któremu autor poświęca sporo miejsca, wzajemnym stosunkom i charakterystyce obu narodów. Z analizy Lednickiego wynika, że społeczeństwo polskie, poza oczywiście jednostkami, zdemoralizowane kłęką i uciskiem, nie dociągało ani kulturą ani odpowiedzialnością społeczną do ówczesnej elity rosyjskiej.

„Długa niewola, ciężkie jarzmo obce narzucone jakiej naro-
dowości nie tylko są strasznym ogromem nieszczęścia... lecz jeszcze gdy długo trwają upadają naród cały odbierając mu cechy szlachetności” — cytuje Lednicki słowa Mickiewicza z listu do Ankwiczówny.

Z uznaniem, niejednokrotnie uwielbieniem, wspomina autor przedstawicieli ówczesnej elity rosyjskiej, z którą się zapoznał w domu ojca i na rozprawach sądowych: piękna postać Muromcewa, profesora prawa rzymskiego na uniwersytecie moskiewskim, późniejszego prezesa pierwszej Dumy, kolegi Aleksandra Lednickiego i towarzysza więzienia po jej zamknięciu, Plewaki, syna Polaka zesłańca i Baszkirki „Iwa krasomówstwa rosyjskiego”, S.A. Andriejewskiego, świetnego adwokata i poetę, A.J. Urusowa, też pierwszoplanowego adwokata, znawcy i wielbiciela literatury francuskiej, wreszcie Włodzimierza Spasowicza, z ojca prawosławnego a matki Polki, mistrza Aleksandra Lednickiego, o pokolenie starszego, znakomitego adwokata i autora do dziś dnia w pełni wartościowych studiów literackich. Lednicki ubolewa nad zniszczeniem tego społeczeństwa rosyjskiego, które wydało ludzi tej miary prawości, odwagi cywilnej i niezależności myśli w państwie samowładzy, ludzi którzy ujeli się za godność osobistą człowieka. Państwo rosyjskie — twierdzi Wacław Lednicki — (na przekór powtarzanym do dziś dnia komunałom) mimo zakusów biurokracji, mimo wykroczeń urzędników, mimo samowoli władz miało sądy uczciwe i niezależne i w pewnym zakresie było państwem praworządnym. W zajadłej walce caratu z ruchami rewolucyjnymi i narodowymi stosowały władze specjalne procedury prawne, jak sądy wojenne i tym podobne, ale oskarżeni nie byli jednak całkiem bezbronni, szeregi adwokatów podejmowały się ich obrony, z narażeniem własnym i nieraz bezinteresownie. Sławny był w owe lata wielki proces Nieczajowców i pamiętne oświadczenie Spasowicza w jego mowie

obronnej, że „skuteczniejsza byłaby walka z trzęsawiskami, aniżeli karanie komarów, które w tych trzęsawiskach się lęgną”. Podobnie zwalcza Lednicki opinię szerzoną w Polsce międzywojennej, że Rosja była olbrzymem na glinianych nogach i narodem moralnie głęboko zdeprawowanym, a rządy carskie równoznaczne z bolszewickimi.

Czyżby więc cały wspaniały rosyjski wiek XIX — zapytuje Lednicki — z Puszkinem, Turgeniewem, Dostojewskim, Tołstojem, cała rosyjska nauka, sądownictwo, krasomówstwo, publicystyka literacka i satyryczna, światowej sławy teatr i balet — miałyby to wszystko powstać jedynie „z błota”?

Głęboko przynębiająca jest relacja Lednickiego z jego rozmowy z wysokim urzędnikiem MSZ w Warszawie, na parę lat przed ostatnią wojną, urzędnikiem w którego rękach spoczywały sprawy Polska-Rosja. (Chodziło wtedy profesorowi Lednickiemu o przeniesienie jego katedry rusycystyki z Krakowa do Warszawy). Otóż ten wysoki urzędnik oświadczył profesorowi, że każda książka o literaturze rosyjskiej wydana w Polsce otwiera pośrednio drzwi propagandzie bolszewickiej, a że troską jego jest „zderusyfikowanie” Polski... Stąd, wywodzi Lednicki, kompletna niezajomość wszystkiego co się znalazło poza linią względnego bezpieczeństwa, a dotyczyło przeszłości i teraźniejszości rosyjskiej. Dymitr Fiłosofow, redaktor emigracyjnego pisma rosyjskiej „Za Swobodu”, wydawanego w Warszawie, świątku i szczerzy przyjaciel Polski, założyciel polsko-rosyjskiego kółka literackiego, na którego zebraniach bywali Jerzy Stempowski, Tuwim, minister Roger Raczyński, Jerzy Giedroyc i inni, po referacie o nowych prądach filozoficznych, wygłoszonym przez Bolesława Micińskiego, zaskoczył nas ostrzeżeniem: „Czy zdajecie sobie sprawę, że wystarczyłoby drobnej szczerby w wale, który was dzieli od morza rosyjskiego bolszewizmu, aby Polska została zalana i stała się dodatkiem Rosji Sowieckiej i to dodatkiem bynajmniej *nie* nadzwyczajnym?”. Istotnie nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, nie chcieliśmy nawet słyszeć o tym. Kassandra! Pesymista! — mówiliśmy. Niechże nam da żyć i cieszyć się wolnością!

Niesposób omówić tu wszystkie problemy poruszone przez autora. Wspomnę jednak raz jeszcze Aleksandra Lednickiego, niestrudzonego prezesa Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny, następnie prezesa Komisji Likwidacyjnej dla Spraw Polskich w Petersburgu, jego bezpośredni, prosty i szczerzy stosunek do człowieka, szybkość decyzji, umiejętność przekonywania przeciwników, dar urzekającej wymowy. Był stworzony na męża stanu, a przyczyniwszy się w dużym stopniu do proklamacji Rządu Tymczasowego (18/30 marca 1917 r.), przynajmniej niepodległość Polski, sądził, że znajdzie w ojczyźnie wolnej należne mu uznanie i wyróżnienie. Taka była jego szlachetna ambicja.

Lipiec 1917 rok. Aleksander Lednicki przygotowuje swój wyjazd do Sztokholmu, gdzie ma się spotkać z przedstawicielami Polski spod okupacji niemieckiej. W Piotrogradzie pierwsze wystąpienia bolszewików przeciwko Rządowi Tymczasowemu; Lenin, w willi Krzesińskiej, przygotowuje przewrót. Aleksander Lednicki, oficjalny członek gabinetu księcia Lwowa, widzi co się dzieje i ostrzega premiera.

„Nie chcę przelewu krwi... — odpowiada Lwow.

— Książę obawia się wylać dzisiaj szklankę krwi, a później ocean krwi zaleje całą Rosję”.

A kiedy pierwszy strzał baterii ustawionej pod oknami mieszkania Lednickiego na Nabiereżnej wstrząsnął całym miastem i szyby ze wszystkich okien spadły „jak suknie z wieszadeł” — Lednicki zauważył spokojnie: „Książę Lwow zaczął strzelać”.

Pamiętam to upalne lato 1917 roku w Piotrogradzie. Niedostępne parki Carskiego Sioła pełne żołnierzy, zbiegających masowo z frontu, zdeptane trawniki, zapach juchtu, ścieżki zasypane łuskami „siemieczek”, czerwona flaga w ręku Katarzyny Wielkiej na pomniku *Newskiego Prospektu* — i wszędzie aż do białych nocy, samorzutne uliczne meetings. Czerwień zachodu zlewała się z zorzą wschodu, a ludzie po ulicach radzili, radzili, nie przerywając aż do rana swych namiętnych dysput. Lato wielkich dla nich i dla nas nadziei...

W końcu tegoż lipca 1917 roku książę Lwow podał się do dymisji, zastąpił go Kiereński.

Pomiędzy strony poświęcone najbliższym i historii trafiają się w *Pamiętnikach* Lednickiego piękne opisy krajobrazu białoruskiego i różnych epizodów, opisy o malarskiej plastyce i poezji: rozległa panorama nadbiegającej burzy letniej i obraz Matki Boskiej mającej bronić dom od piorunów, wspólne z matką modlitwy, obchód jej imienin, ostatnie odwiedziny Zofii Igelström w Wonlarowie, spotkanie oko w oko oddziału krosztadckich marynarzy na Nabiereżnej i groza tego zetknięcia dwóch światów, a także oczy, niebieskie oczy starszego pana w kawiarni Sejmowej w Warszawie, te same co u towarzyszącego mu małego wnuka, oczy o wyrazie dobroci i bezbronności.

Tego przygodnego spotkania Lednicki nie zapomniał, i we wrześniu 1939 r. na każdej prawie polskiej twarzy odnajdywał „ten sam wyraz smutnego zdumienia i niemej rezygnacji”.

Po tragicznej śmierci ojca w 1934 r. chciał Wacław Lednicki opuścić Polskę, ale pod niemieckimi bombami niebieskie oczy pojednały go z ojczyzną „i na pewien czas zapomniałem o cierpieniach, które zadała memu ojcu”.

Aleksander Lednicki, kierujący reewakuacją ludności polskiej, wyparterj ze swoich siedzib przez cofające się wojska rosyjskie, wrócił jeden z ostatnich do kraju. Mimo wielkiej popu-

larności wśród wielotysięcznej rzeszy repatriantów i tych wszystkich którzy znali jego rozum, korzystali z jego rad i uczynności, oszczercy nie dali za wygraną a wrogowie polityczni zatruli mu życie intrygami.

Zdaniem starożytnych samobójstwo zabezpiecza wolność i godność człowieka — Aleksander Lednicki wybrał wolność śmierci. O przebiegu tego smutnego procesu dowiemy się jednak później, *Pamiętniki* są zakrojone na cztery tomy (1).

Pierwszy kończy się na roku 1910, roku matury autora i tylko niektóre epizody wybiegają o kilka lat naprzód. Szczególne warunki, w których Lednicki opracował ten pierwszy tom *Pamiętników*, a może też pośpiech, z którym kładł na papier wszystko co mu pamięć pod pióro podsuwała, odbiły się na ich luźnej kompozycji, licznych dygresjach i poddygresjach. Może ta nieprzymuszonosc była zamierzeniem autora, a może następne tomy będą kompozycyjnie bardziej jednolite?

Po maturze postanowił autor, pomimo woli ojca, zapisać się na prawo, a na filologię. Aleksander Lednicki wybuchał wtedy:

„Nie jesteś seminarzystą, co będziesz robił ze swoją filologią?

— To moje powołanie — odpowiedział przyszły profesor...

— Niech już tak będzie — zakończył dysputę Aleksander Lednicki — ale pamiętaj, że życie męskie to życie pracy. A więc jeśli filologia, to znaczy profesura”.

Za 50 lat, kiedy już nie będzie świadków ani świadka świadków — o ile ktoś zapyta o Białoruś w początkach XX w., Witebsk ówczesny, Wilno, Kalwarię pod Minskim, byt szlachecki, Borek przy stacji Katyń... — świadomy rzeczy historyk odpowie: „Czytaj Lednickiego!”.

Tymczasem czekać będziemy niecierpliwie na dalsze tomy *Pamiętników*.

Maria CZAPSKA

Nowe wiersze Herberta

Trzeci tom wierszy Zbigniewa Herberta nie przynosi nieoczekiwanych nowych odkryć. Jak wiadomo, poeta wydał swoją pierwszą książkę zatytułowaną *Struna światła* dopiero w r. 1956,

(1) „Zeszyty Historyczne” I, Instytut Literacki, Paryż, 1962 — Z. Nagórski i W. Lednicki o A. Lednickim.

mając wtedy lat przeszło trzydzieści: trudności administracyjne minionego okresu uniemożliwiły wcześniejszy debiut. Ale dzięki temu opóźnieniu Herbert wyskoczył z głowy Dzeusa w pełnym rynsztunku poetyckim i na tym wysokim poziomie stale się utrzymuje choć nie zaskakuje coraz to nowymi fajerwerkami eksperymentów, nie leży to bowiem w naturze jego statecznego, kontemplacyjnego temperamentu twórczego. Dlatego też czytając *Studium przedmiotu* (Czytelnik, 1961) odnosimy wrażenie, że zebrane tam utwory są nam już znane.

Dwa motywy spotykane w poprzednich tomikach dominują *Studium*. Są nimi 1) monolog dramatyczny, wyrażający najczęściej problematykę polityczno-społeczną, oraz 2) wiersze poświęcone wielokierunkowej, świadomie paradoksalnej interpretacji postrzeganego świata, która prowadzi do animizacji przedmiotów redukując jednocześnie istoty żywe do stanu zmrożonej półegzystencji.

W pierwszej kategorii znajdujemy utwory, które sięgają do zaplecza kultury i historii w celu uzyskania dużej głębi ostrości i nieodzownego efektu ironii. W jednym wierszu będzie to streszczenie w kilku zdaniach *Zmierzchu i upadku cesarstwa rzymskiego*: „Naprzód był bóg nocy i burzy (...). Potem w czasach republiki było wielu bogów (...). W końcu już tylko (...) mały posążek z soli, przedstawiający boga ironii (...). Wtedy przyszli barbarzyńcy. Oni też bardzo cenili bożka ironii. Tłukli go obcasami i wysypywali do potraw”. W innym nowa interpretacja dawnego mitu i odpowiednio wysnuty morał:

współczesny Jonasz
idzie jak kamień w wodę
jeśli trafi na wieloryba
nie ma czasu westchnąć

inny znów składa się z bardzo wymownego monologu rzymskiego prokonsula. Początek brzmi:

Postanowiłem wrócić na dwór cesarza
jeszcze raz spróbuję czy można tam żyć
mógłbym pozostać tutaj w odległej prowincji
pod pełnymi słodczy liśćmi sykomoru
i łagodnymi rządami chorowitych nepotów

a zakończenie:

Postanowiłem wrócić na dwór cesarza
mam naprawdę nadzieję że jakoś to się utoży

„Mam naprawdę nadzieję” mówi człowiek pozbawiony nadziei, lecz w desperacji próbuje dodać sobie otuchy. Tylko w „Rozważaniu” poeta zdejmuje maskę i przemawia bezpośrednio:

*Z faktu używania tych samych przekleństw
i podobnych zaklęć miłosnych
wyciąga się zbyt śmiało wnioski
także wspólna lektura szkolna
nie powinna stanowić przesłanki wystarczającej
aby zabić
podobnie ma się sprawa z ziemią
(wierzy piaszczysta droga łan pszenicy niebo plus
[pierzaste obłoki])*

Jak przystało na tom zatytułowany *Studium przedmiotu*, jest w nim wiele utworów poświęconych najrozmaitszym przedmiotom. Co prawda w wierszu tytułowym poeta twierdzi, że „najpiękniejszy jest przedmiot/którego nie ma”, normalnymi tematami wierszy są przedmioty jak najbardziej „obecne” i dotykalne, ponieważ jak poeta zwierza się w „Objawieniu”

*dwa może trzy
razy
byłem pewny
że dotknę istoty rzeczy
i będę wiedział
(.....)
zadzwoń listonosz
musiałem wylać brudną wodę
nastawić herbatę*

Percepcja ideałów jest sprawą niezmiernie trudną, tym bardziej, że pole widzenia stale zaciemniają różni listonosze (Coleridge także nie skończył słynnego „Kubla Khan”, ponieważ przeszkodziła mu w tym „osoba z Porlock”).

Intensywna kontemplacja przedmiotów „obecnych” choć martwych ożywia je:

*W gorących rękach
dzieci
ptak z drzewa
zaczął żyć
(.....)
żyje teraz
na niemożliwej granicy
między materią ożywioną
a wymyśloną*

i antropomorfizuje: zegar, to „na pozór (...) spokojna twarz młynarza, pełna i błyszcząca jak jabłko”. Pozwala wsłuchiwać się w ich tragiczne jestestwo: „Rozpacz krzesła objawia się w skrzypleniu”, czytamy, a także „Zielone włosy drzew podnoszą się z przerażenia. Słychać stłumione pojękiwania pni i suchy krzyk

gałęzi”. Nic więc dziwnego, że poeta przestrzega: „Nie wolno (...) ocierać się o stołowe nogi, gdyż są one bardzo wrażliwe”.

Powyższe konstatacje stawiają Herberta wobec kartezjańskiego dualizmu substancji ducha i materii. Wyobraźnia może, owszem, ożywić przedmioty na odległość, ale nie jest w stanie przebyć przepaści która ją od nich dzieli:

*— Kamyki nie dają się oswoić
do końca będą na nas patrzeć
okiem spokojnym bardzo jasnym*

Jedyne rozwiązanie leży w niwelacji własnej osobowości: „Trzeba wstąpić w kamień, w drzewo, w szpary furty. Lepiej być skrzypieniem podłogi niż przeraźliwie przezroczystą doskonałością”.

Na tę obsesyjną fascynację swoistymi żywotami przedmiotów dużo światła rzucają komentarze poety w jego esejach o sztuce zebranych w książce pt. *Barbarzyńca w ogrodzie* (Czytelnik, 1962). Tu też zaobserwować możemy stały nacisk na organiczny charakter rzeczy martwych, przede wszystkim kamieni, których animacja ma, okazuje się, głęboko zakorzenioną tradycję:

Kamień był nie tylko materiałem — pisze Herbert — ale posiadał znaczenie symboliczne, był obiektem weneracji, a także przedmiotem wróżebnym. Między nim a człowiekiem istniał ściśły związek. Zgodnie z prometejską legendą, kamienie łączył z ludźmi węzeł pokrewieństwa. Zachowały nawet zapach ludzkiego ciała. Człowiek i kamień reprezentują dwie siły kosmiczne, dwa ruchy w dół i w górę.

Następnie poeta przytacza jako dowód tekst orficki, gdzie dowiadujemy się z opisu kamienia, że był „porysowany żyłkami które przypominały zmarszczki”. I wreszcie wywód kończy się opisem osobistego doznania:

Trzeba spędzić wśród kolumn przynajmniej jeden dzień, aby zrozumieć życie kamieni w słońcu. Zmieniają się one zależnie od pory dnia i roku. Rankiem wapień Paestum jest szary, w południe miodowy, o zachodzie słońca płomienisty. Dotykam go i czuję ciepło ludzkiego ciała. Jak dreszcze przebiegają po nim zielone jaszczurki.

Na tym bynajmniej nie kończy się paralela z tekstami poetyckimi. Tu znajdujemy też równoległy proces redukcowania ludzi do roli przedmiotów. Woźny w muzeum „stał pod ścianą i (...) wiodł tajemniczą egzystencję pół-rzeczy, pół-człowieka (...). Zostałem go w spokoju pod ścianą. Jak wyschnie już zupełnie,

zamienią go na halabardę lub krzesło". Co więcej, taka interpretacja widzialnego świata nie ogranicza się w wyobraźni poety do zaobserwowanych przedmiotów i ludzi. Są momenty kiedy poeta uświadamia sobie, że i on staje się lub stanie ofiarą kostnienia i zamierania, widzi chwilę kiedy „ziemia będzie krążyć ze mną, nieważnym eksponatem kosmicznego Musée Grévin figur woskowych, którego nikt nie ogląda”.

Taka charakterystyka zjawisk otaczającego nas świata wynika konsekwentnie i logicznie z podstawowego paradoksalnego założenia, że nasze „normalne” obserwacje są z gruntu fałszywe. Na każdym kroku poeta podkopuje utarte założenia, pisze o włośach wyrastających nocą na ścianie, o okaleczonej ręce katedry, o tym że w *Myciu nóg* Duccia sandały „są chyba najbardziej ożywione z całej sceny, ich układ po przekątnej i rozłożone na boki rzemyki wyrażają szcurzy popłoch”, o tym że fresk „podlega prawu istot żyjących: toczy go starość”. Poetyka Herberta polega na systemie idealnie absurdalnym, tylko w takim systemie „Jesień sprawiedliwa” może oznaczać porę roku, w której różce pozostają „nietknięte”, a za to rozsypujące się pomniki niosą świadectwo znikomości i przemijalności rzeczy. Ta chłodna logika absurdu, gdy sobie w pełni uświadomimy jej znaczenie, jest tak przerażająca, jak okrutne prawa, którym podlegają utwory Kafki. Nic więc dziwnego, że w *Studium* jest także wiersz zatytułowany „Nasz strach”. Źródłem tego strachu nie są żadne konwencjonalne teatralne chwytły, „nasz strach (...) jest przyziemny” i w tej właśnie postaci został udokumentowany w poezji Herberta.

Adam CZERNIAWSKI

Cztery lata w okupowanym Paryżu

Po świetnych, pełnych rozmachu i napięcia „Szkicach piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego, wydanych przez Instytut Literacki pięć lat temu, ogłosił obecnie swoje wspomnienia z lat okupacji we Francji Szymon Konarski, który w swej pracy pod okupacją stykał się z Bobkowskim niejednokrotnie. Może to nawet „Szkice piórkiem” skłoniły uczonego genealoga i kawalera maltańskiego do ogłoszenia wspomnień, które nie są wprawdzie dziełem literackim, ale rzetelną relacją i daniem świadectwa prawdzie o ludziach i sprawach z którymi miał do czynienia.

Książeczka Szymona Konarskiego jest naprawdę „relacją”. Były dyrektor Banku PKO w Paryżu przedstawia spokojnie i

obiektywnie całą akcją zmierzającą do ocalenia pod okupacją oszczędności robotników polskich we Francji, początek i przebieg całej działalności Opieki Społecznej nad uchodźcami, za którą to działalność jej inicjator, Rektor Polskiej Misji Katolickiej ks. Cegiełka, zapłacił więzieniem i obozem koncentracyjnym; autor zaś wspomnień dwukrotnym więzieniem w słynnym więzieniu *Santé*. Były to zresztą warunki więzienne z pierwszego okresu okupacji. Pan Konarski opisuje je spokojnie, niemal pogodnie tak, że tym którzy mieli okazję poznać więzienia i obozy w Polsce, wydawać się one mogą niemal idylliczne. Ale tu daje autor cały szereg sylwetek współwięźniów, które mają i barwę i plastykę, szczególnie gdy chodzi o zamordowanego pod koniec wojny przez Gestapo Włodzimierza Kaczorowskiego, lub współwięźniów Żydów: antykwariusza Steinera i znakomitego dziennikarza niemieckiego Ledera. Gdy p. Konarski mówi o swych współtowarzyszach — to przebija w jego słowach jakiś ton franciszkański, ton serdecznego stosunku do każdego człowieka.

Kawaler Zakonu Maltańskiego, który temu zakonowi zawdzięcza swe uwolnienie z więzienia i może nawet życie, mówi z pietyzmem o pełnej poświęcenia i odwagi działalności ks. rektora Cegiełki i niezłomnej postawie innych księży. Gdy Niemcy wypuścili autora i paru jego kolegów na wolność w zamian za podpisanie przez nich cyrografu, że zaprzestaną wszelkiej pracy społecznej i charytatywnej — zażądali oni takiej samej deklaracji od dwóch innych więźniów, księży polskich. Księża odmówili podpisu oświadczając, że akcja charytatywna wynika z ich obowiązków kapłańskich i że bez niej praca duchownych jest nie do pomyślenia. Wobec ich zdecydowanego stanowiska urzędnik niemiecki musiał w końcu ustąpić. Wyszli oni wtedy na wolność nie podpisując żadnego zobowiązania.

Ale pomimo tego stosunku do osób duchownych znajduje się w książeczce Konarskiego świadectwo, które może zakłopotać nawet słynnego kaznodzieję z Notre Dame, Ojca jezuitę ks. Riquet i pewne koła katolików francuskich, pracujących obecnie nad zbliżeniem francusko-niemieckim. Koła te w czerwcu roku bieżącego urządziły wielką uroczystość w Chartres ku czci pochowanego w tym mieście niemieckiego kapelana wojskowego ks. Franza Stocka. Jeden z placów miasta Chartres został nazwany jego imieniem, a ks. Riquet zamieścił w „Figaro” artykuł porównujący postawę moralną kapelana Stocka ze zmarłym papieżem Janem XXIII i niemal otwierający drogę do kanonizacji ks. Stocka.

Szymon Konarski zetknął się z ks. Stockiem w więzieniu. I pisze o nim tak: „Wielką pomocą przy wytargowywaniu przeze mnie ulg dla współwięźniów był niemiecki kapelan wojskowy ksiądz Funke. Nie umiem inaczej jak z wdzięcznością pisać o nim. O ile odpowiadający nas w celach (dla spowiedzi) rektor niemieckiej Misji Katolickiej w Paryżu, ksiądz Stock, palcem nie chciał ruszyć, aby w czymkolwiek naszej doli ulżyć, a nawet

wszelką w tym kierunku moją inicjatywę paraliżował, o tyle ks. Funke robił zawsze wszystko co mógł, aby nam dopomóc”.

Ogromna obiektywność Szymona Konarskiego nadaje dużą wagę nie tylko temu świadectwu, ale i całej jego ogłoszonej obecnie relacji o „Czterech latach w okupowanym Paryżu”.

T. S.

Polityka i religia

Powiązania polityki z religią datują się od początków zorganizowanej władzy społecznej. Czasami organizacja państwowa, ustrój, zawdzięczały swoje powstanie religii, jej kapłanom lub też władza państwowa opierała się na najsilniejszych związkach religijnych, wykorzystując je dla swoich własnych celów. „Współzycie” nie zawsze było przykładowe, pozbawione zatargów a przede wszystkim nie pozostawało bez ujemnych następstw dla jednej lub drugiej strony. Każda bowiem musiała za przywileje płacić. Władza państwowa nie szczędziła przywilejów kościołom, kiedy od ich poparcia zależała realizacja jakiegoś programu politycznego, ale nie wahała się go cofnąć, kiedy sytuacja ulegała zmianie. Państwo, ściślej jego organy wykonawcze, przeciwstawiało się postulatowi władz kościelnych, jeśli stały w sprzeczności z jego dążeniami. W jednym i drugim wypadku ujawniała się wyraźna rozbieżność między zasadami teoretycznymi a praktyką. Występuje to zresztą po dzień dzisiejszy.

Francja XVII wieku jest fascynująca dla zbadania powiązań polityki z religią, gdyż zarówno ówczesne teorie jak i działania stron nie pozostały bez wpływu na dalszy rozwój wydarzeń.

Dr Władysław J. Stankiewicz, profesor nauk politycznych University of British Columbia w Vancouver, ogłosił obszernie i dokumentarne dzieło pt. „Politics and Religion in Seventeenth-Century France”, stanowiące wnikliwą analizę ówczesnej myśli politycznej — tych wszystkich elementów, które w jakiejś formie można odnaleźć we współczesnych teoriach politycznych.

Skoncentrował on swoją uwagę na ustosunkowaniu się teorii i praktyki politycznej do tolerancji religijnej. Francja była religijnie rozdarta. Mniejszość hugenocka była zwarta, posiadała jednolity i wysoko postawione w hierarchii społecznej. Pragnąc zachować odrębność wyznaniową nie zmierzała do wyłączenia się z życia publicznego. Chciała jedynie gwarancji swobód wyznaniowych. Zmierzało to do prawnego i faktycznego rozgraniczenia religii od polityki, albo ściślej uznania iż nie tylko katolicy są pełnoprawnymi obywatelami, korzystającymi z wszystkich uprawnień i przywilejów. Toczyła się walka o tolerancję wyznaniową.

Profesor Stankiewicz analizuje pod różnymi kątami widzenia ten własnie problem. Wskazuje, że tolerancja jest terminem wieloznacznym. Rozróż-

W. J. STANKIEWICZ: *Politics and Religion in Seventeenth-Century France. A Study of Political Ideas from the Monarchomachs to Bayle, as Reflected in the Toleration Controversy.* University Press of California Berkeley and Los Angeles, 1960, pp.X-269.

nia trzy pojęcia: *toleration* (tolerowanie), *tolerance* (tolerancja) i *tolerationism* (toleracjonizm). Ten ostatni termin jest jego własnym, po raz pierwszy użytym w pracy naukowej i oznacza stosowanie zasad tolerancji wyłącznie dla celów politycznych.

Tolerancja w najszerszym tego słowa znaczeniu jest pojęciem filozoficznym, podczas gdy tolerowanie jest w zasadzie terminem prawnym.

Protestanci francuscy, po okresie krwawych walk i prześladowań, uzyskali Edyktem Nantejskim z 1598 r. względną swobodę, z której korzystali zaledwie przez niepełne dwa dziesięciolecia. Względna tolerancja została poddyktowana polityką zagraniczną, potrzebą skonsolidowania władzy królewskiej. Była więc z natury rzeczy przejściowa. Kiedy Hugonoci stali się prekursorami „rewolucji” politycznej, podważali władzę królewską i tworzyli najsilniejszy ośrodek feudalizmu, władza państwowa — niezależnie od pobudek religijnych — wznowiła z nimi walkę. Złamanie ich miało wieść do usunięcia „wroga wewnętrznego”, jako niezbędnego etapu do następnej batalii: zewnętrznej. Względna tolerancja wobec Hugonotów i późniejsze jej ograniczenie w okresie rządów kard. Richelieu bynajmniej nie wyływały z przesłanek religijnych, ale wyłącznie politycznych. Brakiem tolerancji odznaczali się w równym stopniu oficjalni rzecznicy-teologowie katolicy jak i protestancy.

Doktryny polityczne powstawały na pniu religijnym, jako wyraz określonych tendencji, służąc doraźnym celom. Pierwiastek religijny był często li-tylko parawanem dla bardzo praktycznych dążeń. Żadna prawie doktryna nie odznaczała się obiektywizmem, ale wszystkie przepojone były namiętnym duchem walki. Protestancy teoretycy wypracowali uzasadnienie czynnego niespołuszeństwa wobec władzy państwowej, naruszającej ich prawa wyznaniowe, a katolicy potrzebę zlikwidowania heretyków.

Odwołanie Edyktu Nantejskiego, pozbawienie protestantów wszelkich praw w 1685 r., kosztowało drogo Francję. Oblicza się, że bezpośrednio po tym 200.000 Hugonotów opuściło kraj. Na przestrzeni wieku wyemigrowało 1.000.000 francuskich protestantów. Następstwem tej emigracji był zanik znacznej części średniej warstwy francuskiej i trudności ekonomiczne.

Te i inne względy spowodowały w następnym stuleciu podjęcie starań o rewizję edyktu z 1685 r., walkę o tolerancję religijną w szerokim tego słowa znaczeniu.

Dr Stankiewicz wręcz wskazuje w posłowniu, że zasady głoszone przez Pierre Bayle, głównego rzecznika tolerancji, są nadal aktualne. „Stał on na stanowisku, że prawdziwa prawda (*vérité réelle*) i domniemana prawda (*vérité putative*) muszą być jednakowo oceniane. Jeśli motywy działania są uczciwe, to prześladowanie prawdy, według Bayle, byłoby równie uzasadnione jak prześladowanie błędów. Konkluduje więc, że wszelkie religijne prześladowania są nonsensowne i stąd jego zasadnicza teza o tolerancji”. Zdaniem prof. Stankiewicza argumenty Bayle’go świetnie ujawniają bezwartościowość wszelkich tez, uzasadniających prześladowania wszelakiego rodzaju mniejszości. „Fakt, że minęła epoka nasilonych prześladowań religijnych nie oznacza iż natura ludzka uległa poważnym zmianom i że obyczaje stały się łagodniejsze, ale jedynie to, iż nacisk ze strony religijnej przesuwał się na polityczną. O tym jak cienką jest racjonalistyczna powłoka współczesnego człowieka wymownie świadczy fakt, że polityka posiada heretyków i męczenników, a systemy polityczne niezdolne do przekonania swoich przeciwników i przekazania swoich poglądów i ocen, sprzyjają rozwojowi cynizmu i rozpacz. Ludzie będą zawsze ogarnięci wątpliwościami, wahaniem, co powoduje podporządkowanie się sile irracjonalnym. Nowoczesna nauka o zachowaniu ludzkim wytworzyła wprawdzie skomplikowany aparat analityczny, ale nie zdołała wyposażać człowieka w kontrolę nad nim samym. Nie-

zdolność człowieka jako stworzenia racjonalnego najwymowniej ilustruje przekonanie, gloryfikowane przez fanatyków i doktrynerów politycznych, że zabicie ideologicznego przeciwnika jest usprawiedliwione”.

Praca prof. Stankiewicza jest cennym wkładem generacji Polaków, wychowanych poza Polską, piszących w obcych językach, nauczających na uczelniach zachodnich.

B. HEYDENKORN

Nadesłane nowości wydawnicze

WERYŃSKI (Henryk, ks.). *Trąd i kwiaty*. W 50-lecie śmierci O. Jana Beyzyma. Str. 59 i 5 nlb. (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn).

WINCZAKIEWICZ (Jan). *Andalużja i Kastylija*. Antologia poezji hiszpańskiej XX wieku. Str. 105 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1963).

PANUCEVIC (Wacław). *Sv. Jazafat Archijap. Połacki 1623-1963*. Referat cytany na Tydni Chryścijanskiej Jednaści 19 studienia 1963. Str. 255 i 1 nlb. (Powielacz w oprawie. Wyd. Biełaruskaja Vydavieckaja Śiabrnia, Chicago, 1963, cena dol. 3,-).

KURLAND (L.). *Corrie du Moulin*. Nouvelles. Traduit du Yiddish par Arnold Mandel. Str. 285 i 3 nlb. (Les „Editions du Scorpion”, Paris, 1963).

BRONSKA-PAMPUCH (Wanda). *Ohne Mass und Ende*. Roman. Str. 482 i 4 nlb. (Wyd. R. Piper & Co Verlag, München, 1963).

RUDNYTSKY (Ivan L.). *The Role of the Ukraine in Modern History*. Str. 199-216 i 256-262. (Odbitka z „The Slavic Review”, Vol. XXII, Nr 2, June 1963).

PARNICKI (Teodor). *Nowa baśń*, T. II. Str. 437 i 3 nlb. (Wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1963, cena 35 zł.).

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynie pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:

Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Humor krajowy

Pewna staruszka w Moskwie po wielu latach poszukiwań dowiedziała się wreszcie, że jej jedyny syn, który zaginął jako 16-letni chłopiec w czasie ewakuacji Moskwy, żyje i mieszka w jednej z odległych republik. Po paru miesiącach otrzymała list od syna, w którym donosił, że powodzi mu się znakomicie, że jest dyrektorem dużego przedsiębiorstwa i że zapowiada swój przyjazd do Moskwy aby matkę zabrać do siebie. W oznaczonym przez syna dniu staruszka z drżącym sercem udała się na dworzec i tutaj opanowały ją wątpliwości czy pozna syna po tylu latach. Gdy się rozstawali był chłopcem, a teraz jest już dojrzałym mężczyzną.

Z hukiem nadjechał dalekobieżny pociąg, na peron wysypała się gromada pasażerów. Staruszka bez wahania podbiegła do rosnącego brodacza i rzuciła mu się na szyję z okrzykiem:

— Synku mój, synku.

Kiedy minął pełen wzruszenia moment powitania brodacza zwrócił się do matki z zapytaniem:

— Jednego tylko nie mogę zrozumieć. W jaki sposób mnie poznałaś?

— Po paltociku, syneczku, po paltociku.



Agitator na zebraniu mówi długo o tym jak dobrze jest w Związku Radzieckim, jak z każdym rokiem podnosi się stopa życiowa ludności, jak zwiększa się asortyment dostępnych artykułów. Na zakończenie rzuca stereotypowe:

— Waprosy jest' (czy są jakieś pytania)?

Z końca sali podnosi się chuderlawy Żydek.

— Nazwisko — pyta agitator.

— Rabinowicz.

— Słucham was towarzyszu Rabinowicz.

— Jeżeli u nas jest tak dobrze i wszystko jest, to chciałbym wiedzieć dlaczego nie ma mięsa — mówi Rabinowicz.

— Widzicie towarzyszu, to zagadnienie jest bardzo skomplikowane i wymaga obszernego omówienia wielu ekonomicznych przesłanek. Na wasze pytanie odpowiem wyczerpująco za tydzień, na następnym zebraniu.

Po tygodniu, znowu ten sam agitator mówi do ludności, ale nie nie wspomina o drażliwym zapytaniu. Jak zwykle kończy stereotypowo:

— Czy są jakieś pytania?

Z końca sali wysuwa się chudy Żydek.

— Nazwisko? — pyta agitator.

— Finkelstein.

— Na pewno chcecie się zapytać dlaczego nie ma mięsa?

— Nie towarzyszu, ja nie o mięso... Ja chciałbym tylko zapytać dlaczego nie ma Rabinowicza.

Kennedy i Chruszczow spotkawszy się na przyjacielskiej rozmowie rozpoczęli ją od wzajemnej wymiany przywiezionych prezentów. Kennedy wręczył Chruszczowowi małe model bomby wodorowej mówiąc:

— Proszę jednak bardzo z tym uważać i nie oddawać w niepowołane ręce. To nie jest zwykły model, ale prawdziwa miniaturowa bomba i w razie gdyby wybuchła mogłoby być prawdziwe nieszczęście.

Chruszczow dziękując Kennedemu powiedział wskazując na stojącego za nim człowieka:

— A ja, panie prezydencie, przywiozłem Panu mego ministra rolnictwa.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział wyraźnie zakłopotany Kennedy, ale co ja mam z nim właściwie zrobić?

— Jeżeli pan go zatrudni, to może to mieć skutki jeszcze gorsze niż wybuch bomby.

Do Moskwy przybyła wycieczka amerykańskich dziennikarzy. Oprowadzano ją po najróżniejszych instytucjach, a na końcu zaprowadzono do nowoczesniejszej, całkowicie zautomatyzowanej fabryki. Dziennikarze nie mogli się nadziwić wspaniałości urządzeń, małej ilości zatrudnionych przy maszynach robotników, czystości itp. Zaciekawieni, zapytywali, co mianowicie ta fabryka produkuje. Na to pytanie nie otrzymali jednak odpowiedzi, oprowadzający zasłaniał się tajemnicą służbową.

Już przy wyjściu, jednemu z dziennikarzy, mówiącemu trochę po rosyjsku, udało się przyłapać jednego z robotników i korzystając z tego, że byli sami zapytał:

— Czy możesz mi powiedzieć co produkuje twoja fabryka?

— Ależ naturalnie — odpowiedział robotnik — metalowe tabliczki z napisem: „winda nieczynna”.

Do dyrektora państwowego cyrku w Moskwie zgłasza się Ormianin z dużym pudłem pod pachą i proponuje mu doskonały numer w wykonaniu białych myszek, specjalnie przez niego tresowanych.

Dyrektor krzywi się i odmawia, twierdząc, że białe myszki to nie nowego. Banal, wszyscy znają.

— Nie, nie — odpowiada Ormianin — mylicie się. Mój numer wcale nie jest banalny, a przede wszystkim jest niezwykle „kulturny”.

Słowo „kulturny” ma w Rosji wpływ zupełnie magiczny, a więc i dyrektor cyrku zmienił zdanie i zgodził się na zaproduktowanie mu proponowanego numeru.

Ormianin postawił pudło na ziemi i otworzył. Z pudła wyskoczyły 80 białych myszek w czerwonych fraczkach. Każda myszka trzymała w łapkach jakiś instrument muzyczny. Jako ostatni wyszedł młody szesurek w białym fraczku z pałeczką dyrygenta. Za chwilę odpowiednio ustawione w szereg myszki na komendę dyrygenta zagrały V-tą Symfonię Bethoveena.

Zachwycony dyrektor cyrku już miał podpisać kontrakt, gdy nagle zmieształ się i pochylając się w stronę czekającego Ormianina zapytał ci-chutko:

— Dobrze, numer jest doskonały, chętnie podpiszę kontrakt, ale powiedzcie mi przedtem, czy przypadkiem dyrygent nie jest Żydem?

Kennedy w rozmowie z Chruszczowem poruszył sprawę antysemityzmu w Związku Radzieckim. Chruszczow z oburzeniem odpowiedział, że żadnego antysemityzmu w Rosji nie ma i na dowód prawdziwości swoich słów przytoczył fakt, że na trzystu muzyków wielkiej orkiestry leningradzkiej jest 217 Żydów.

— A iluż wy macie Żydów w waszej orkiestrze filadelfijskiej — zapytał Kennedy'ego.

— Nie wiem — odpowiedział Kennedy.

Po ostatnich wypowiedziach Chruszczowa pewien malarz polski, który spędził kilka miesięcy w Związku Radzieckim, na zapytanie czy widział tam jeszcze malarzy abstrakcjonistów, odpowiedział:

— Owszem, widziałem jednego. A zanim dwóch malarzy socrealistów po cywilnemu.

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Pytanie: Czy Chiny są członkiem obozu socjalistycznego?

Odpowiedź: Tak, członkiem-korespondentem.

Pytanie: Jakie korzyści wypływają dla nas z Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (Komekon)?

Odpowiedź: Różne. Na przykład: Polska wyrabia z gliny kogutki, które wymienia z Czechosłowacją na kilkudniowe kurczaki. Po wyhodowaniu z tych kurczaków dorosłych kur eksportuje je do NRD skąd wzamian otrzymuje małe prosiaczki, te zaś znowu po wyhodowaniu, już jako „dorosłe” świny wywozi do ZSRR otrzymując za nie wysokogatunkową glinę do wyrobu kogutków.

Odpowiedź: Ze wspólnoty pierwotnej — technikę.

Pytanie: Co nasz ustrój wziął z poszczególnych formacji społecznych?

Z niewolnictwa — wolność,

Z kapitalizmu — wyzysk,

Z socjalizmu — nazwę.

Pytanie: Dlaczego ludzie wyciągają ręce po dobro państwowe?

Odpowiedź: Bo gdyby nie wyciągali rąk, wyciągnęliby nogi.

Pytanie: Dlaczego w Polsce nie ma mięsa?

Odpowiedź: Bo tak szybko idziemy do socjalizmu, że bydło nie nadąza.

Pytanie: Kto wynalazł elektryczną maszynkę do golenia?

Odpowiedź: Rosjanin Ogórkow... na śmietniku amerykańskiej ambasady w Moskwie.



W warszawskim sklepie mleczarskim długi ogonek. Wpada zadyszany jegomość.

— Czy jest ser pełnotłusty?

— U nas w Polsce pełnotłusty jest tylko premier — informuje klienta ktoś z ogonka.



(Podsłuchane w tramwaju — z rozmowy dwóch robotników komentujących kolejne oświadczenie rządowe o trudnościach wynikających z zimy).

Jeszcze jedna taka zima, a socjalizmu nima.

Zebrała Zofia HERTZ

"LA BOUTIQUE POLONAISE"

25, rue Drouot, Paris-9^e Tel. PROvence 83-37

R. C. M.E.D.C.A.P. Seine 57 B 126.93

C. C. P. PARIS 189-46-68

p o l e c a

- | | |
|---|---------|
| 1. Wielką Encyklopedię Powszechną w 13 tomach. Pier-
szy tom (A-Ble) jest już do nabycia w cenie | F 45,40 |
| Drugi tom ukaze się w najbliższym czasie. | |
| 2. Małą encyklopedię powszechną A-Z | 68,75 |
| 3. A-Z encyklopedia popularną PWN | 25,00 |
| 4. Małą encyklopedię ekonomiczną | 18,00 |
| 5. Małą encyklopedię muzyki | 27,00 |
| 6. Małą encyklopedię prawa | 23,45 |
| 7. Małą encyklopedię przyrodniczą | 20,05 |
| 8. Małą encyklopedię techniki | 30,85 |
| 9. Małą encyklopedię zdrowia | 29,30 |

Do cen wymienionych doliczamy własne koszty przesyłki pocztowej.

Posiadamy również znaczki pocztowe, pocztówki, wyroby artystyczne polskiej sztuki ludowej, słowniki, książki, albumy, mapy turystyczne, płyty polskiej muzyki ludowej i klasycznej.

Wysyłamy również za zaliczeniem pocztowym

KSIĘGARNIA POLSKA ORBIS

38, Knightsbridge, London S.W.1.

POLSKA I JEJ DOROBEK DZIEJOWY W CIĄGU TYŚCIĄCA LAT ISTNIENIA

Praca zbiorowa najwybitniejszych polskich uczonych i specjalistów przebywających w wolnym świecie. Redaktor-prof. H. Paszkiewicz.

Geografia. Język polski. Obrzędy i zwyczaje. Historia do r. 1918. Historia ustroju. Historia gospodarcza. Ziemie Wschodnie. Wyznania religijne. 600 dwuspalt. stron 720 ilustr. w tekście, tablice królów, herbów rodowych i wojewódzkich, strojów polskich, miast i monet, 20 plansz na kredowym papierze, 22 mapy, opr. płócenna, złocenia.

Cena £. 7.7,-; USA \$. 22,-; F 100, przesyłka: sh. 4/6, 75 c., F 3,-.

ANTEMURALE 1863-1963. Tom VII-VIII

BÓBR-TYLINGO S. — Napoléon III, l'Europe et la Pologne 1863,
KUKIEL M. — Military Aspects of the Polish Insurrection 1863-64.
RUDZKA W. — Studies on the Polish Insurrectionary Government 1863-64.
Str. 480.

Cena £. 3.3,-, USA \$. 9,-, F 43,50, przes. sh. 2/6, 40 c. F 1.60.

ROZPRAWY HISTORYCZNE

I. TRYBUN LUDU SZLACHECKIEGO.

II. PAMIĘTNY SEJM

W. SOBIESKI (wznowienie wydań z r. 1905 i 1913), str. 320.

Cena £. 2.2,-; USA \$. 6,-; F 28, przes. sh. 2/-, 30 c., F 1.30.

LAJKONIK NA WYGNANIU

Z. NOWAKOWSKI. 101 felietonów z lat 1950-1962, str. 472, opr. płócenna.

Cena £. 3.3,-, USA \$. 9,-, F 43, przes. sh. 2/6, 40 c. F 1.60.

MIEDZY WOJNĄ A POKOJEM

H. SETON-WATSON. (Neither War nor Peace), tłum. B. Czaykowski, s. 624, mapy, opr. pł.

Cena £. 2.12.6, USA \$. 7.50, F 35, przes. sh. 2/-, 30 c., F 1.30.

W SOJUSZNICZYM LONDYNIE

Dziennik Amb. E. RACZYŃSKIEGO z lat 1938-45, s. 104, ilustr., opr. pł.

Cena £. 1.17.6, USA \$. 5.50, F 25, przes. sh. 2/-, 30 c., F 1.30.

DO NAJŚW. MARII PANNY LITANIA.

CYPRIAN NORWID

Wstęp ks. J. Jarzębowski „Maryjna poezja Norwida”, wyd. bibliofilskie.

Cena £. 2.2.0, USA \$. 6.00, F 28, przes. sh. 1/-, 20 c., F 0.65.

PAMIĘTNIK KIJOWSKI. Tom II

Praca zbiorowa, red. prof. W. Wielhorski, s. 288, ilustr., mapy

Cena £. 1.12.6, USA \$. 4.75, F 20, przes. sh. 1/6, 25 c., F 1.00

Zamówienia pocztowe wykonywane są natychmiast.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Z przyjemnością czytałem w grudniowym (182) numerze „Kultury” artykuł p. S. Vincenza „Garść wspomnień o Baziu” i czytając go nie myślałem nigdy, że może on wywołać taką reakcję ze strony ukraińskiej, jak list do Redakcji „Kultury” p. Mileny Rudnickiej umieszczony w marcowym numerze „Kultury” (185).

Jestem człowiekiem ze Lwowa, więc problem ukraiński znam z bliska i jestem jednym z tych Polaków, którzy uważają że z Ukraińcami trzeba się „dogadać”. Choć wielu z moich ziomków-Lwowiaków twierdzi że to marzenie ściętej głowy, bo wobec skrajnego nacjonalizmu Ukraińców, żadne porozumienie nie jest możliwe, ja jednak z uporem maniaka wracam do tego że trzeba przynajmniej próbować. Chociażby to była czysto akademicka dyskusja na łamach takiego niezależnego, a uczciwie bezstronnego pisma jak „Kultura” (ta paryska, nie ta nowa, warszawska). Uważam że perspektywa czasu jaki dzieli nas od wypadków z lat 1918-19 powinna to ułatwić. Tymczasem artykuł p. Rudnickiej zadaje cios tym pobożnym życzeniom. W naszych rozmowach możemy sobie mówić rzeczy przykre, ale musimy sobie mówić prawdę. Tymczasem w liście p. Rudnickiej niektóre fakty są bardzo przejawione, a inne są zgoła nie prawdziwe.

Pani Rudnicka pisze, że w r. 1918 była studentką uniwersytetu lwowskiego, więc tym bardziej powinna znać fakty z tego czasu, a jej gorący patriotyzm ukraiński, dla którego mam pełny szacunek, nie powinien jej przysłaniać rzeczywistości.

Ja także znam Lwów z tego okresu, bo przed I-szą wojną światową chodziłem we Lwowie do szkoły powszechnej i średniej, a po wojnie skończyłem politechnikę lwowską.

P. Rudnicka ma pretensję do p. Vincenza o to, że pisze, że „nie był zachwycony faktem dokonany jakim było zajęcie Lwowa” w dniu 1.11.1918 przez wojska ukraińskie i że uważał ten konflikt za wojnę domową, gdy — według Pani Rudnickiej — ustanowienie wolnej Ukrainy zostało postanowione „czarno na białym” w programie Ukraińskiej Nacjonalno-Demokratycznej Partii. Autorka uważa to jednostronne postanowienie ukraińskiej partii politycznej, za prawo obowiązujące wszystkich.

Nie negując prawa narodu ukraińskiego do niepodległości, trzeba stwierdzić że we Lwowie Ukraińcy nie byli jedynymi gospodarzami, którzy by mieli tam decydujący głos. W tym mieście gospodarowali, nie od wczoraj, ale co najmniej od 600 lat — Polacy. Gospodarowali w nim nawet za czasów austriackich i mieli w tym mieście przynajmniej większość.

Nie mam tu do dyspozycji statystyki ludności Lwowa sprzed I-szej wojny światowej, ale stosunek ludności ilustruje najlepiej ilość szkół średnich we Lwowie. 8 gimnazjów męskich państwowych, 2 szkoły realne i prywatne gimnazjum Petelena. Razem 11 szkół średnich ogólnokształcących, nie licząc seminarium duchownych i nauczycielskich. Na to było 1 gimnazjum ruskie, 1 niemieckie i 9 polskich. Nikt nie może twierdzić że było to wynikiem jakiejś złośliwości ze strony władz austriackich, czy ich polskich wykonawców w stosunku do Ukraińców. Ten stosunek szkół średnich był po prostu naturalnym wynikiem sytuacji ludnościowej w mieście i jej stosunku liczebnego. Ukraińcy mieli w tym czasie swoich przedstawicieli zarówno w Sejmie Krajowym, jak i w Parlamencie wiedeńskim, gdzie korzystali z takich samych praw jak Polacy i wszyscy inni obywatele austriaccy.

Trzeba też dodać, że „ukraińskość” Lwowa jest bardzo świeżej daty, bo zaczęto ją propagować dopiero z początkiem 20-go wieku. Ukraina była bowiem do końca 19-go wieku pojęciem geograficznym, takim jak Wołyń, albo Podole, a nie pojęciem państwowym, ani narodowym. Dawni władcy Ukrainy nazywali się książętami ruskimi, a nie ukraińskimi. Nasze wojny z Chmielnickim i innymi przeszły do historii, jako wojny kozackie, a nie jako wojny polsko-ukraińskie. Za czasów przedrozbiorowych; trzy województwa południowo-wschodnie 2-giej Rzplitej tj. województwo lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie — były jednym województwem, które nazywało się po prostu województwem ruskim. Tej „ruskości” było wszędzie dużo. Była Rawa Ruska (i jest do dzisiaj) była koło Lwowa Rzędna Polska i Rzędna Ruska, była we Lwowie ulica Ruska z „torhowlą ruską”, ale nie było żadnych nazw mówiących coś o Ukrainie, bo to nie była nigdy Ukraina.

Trzeba uchylić czoła przed ofiarą pracą działaczy Ukraińskiej Nacjonalno-Demokratycznej Partii, która potrafiła w ciągu jednego pokolenia stworzyć z „pocziwego ludku ruskiego” — jak to sarkastycznie określa p. Rudnicka — Naród Ukraiński. Dlatego też — ponieważ koło historii nie da się obracać wstecz — trzeba uznać istnienie narodu ukraińskiego i jego aspiracje niepodległościowe.

Jeżeli p. Rudnicka uważa — nie bez słuszności — że Lwów sprzed 1914 roku był Piemontem ukraińskiego ruchu narodowego, to nie wolno zapominać o tym, że ten sam Lwów, był w tym samym czasie Piemontem i polskiego ruchu niepodległościowego. Był to Lwów działalności Piłsudskiego i Sosnkowskiego, Lwów Strzelca, Sokoła, kolebka polskiego ruchu harcerskiego. Ze ten Lwów dał wielki kontyngent swojej młodzieży do Legionów, a Sokół konny poszedł gremialnie do Beliny. Znaczny zastęp Polaków ze Lwowa znalazł się potem wśród czołowych działaczy Polski 20-lecia. I dlatego liczenie przez Ukraińców na to, że Polacy z tego miasta „semper fidelis”, kiedy tylko Ukraińcy zajmą ratusz, pocztę i parę innych gmachów, prędko spakują manatki i grzecznie wyjadą za San — było naiwnością. Lwów z tego okresu był zdecydowanie polskim miastem, ze świetnymi polskimi tradycjami w każdej dziedzinie.

Ukraińcy mieli do tego zamachu — bo inaczej tego nazwać nie można — przygotowane wojsko. Polacy nie mieli we Lwowie żadnego „gotowego” wojska do obrony miasta. Mimo to młodzież lwowska od razu chwyciła za broń, a obrona Lwowa przez ledwie uzbrojoną młodzież i dzieci szkolne przeszła do legendy i rozślawiła imię dzieci lwowskich

po całym świecie, robiąc wrażenie nawet na zimnych dyplomatach obradujących w tym czasie w Wersalu.

Dzisiaj nie ma celu licytować się kto się bił lepiej. Niewątpliwie obie strony były się dobrze.

Ale musimy gorąco zaprotestować przeciwko następującemu ustępowi w liście p. Rudnickiej. „O wyniku polsko-ukraińskiej wojny zadecydowała dopiero armia Hallera, która miała być użyta przeciwko bolszewikom, a którą Polacy wbrew zobowiązaniom międzynarodowym rzucili na front galicyjski. Nie na polu walki, ale na zielonym stole Rady Najwyższej w Wersalu, zapadły wyroki o losie Galicji wschodniej. Bo graczy tej miary co Roman Dmowski i Paderewski Ukraińcy nie mieli”.

Rzeczywiście dwie dywizje Hallera stojące na Wołyniu wzięły udział w naszej ofensywie, która ruszyła na całym froncie w połowie maja 1919 r. Ale udział tych dywizji był zupełnie drugorzędny. Dywizje Hallera miały działać na wschód, w kierunku na Styr, a nie bić się w Małopolsce. Wprawdzie oddziały Hallera w warunkach walki, musiały zacząć o północną część Małopolski, ale akcja tych dywizji bynajmniej nie była decydująca. Główne i decydujące uderzenie było przeprowadzone przez grupę Gen. Iwaszkiewicza, która ruszywszy od linii Chyrow-Przemysł-Sądowa Wisznia posuwała się szybko na południowy wschód osiągając 20-go maja Borysław i Drohobycz, a 27 maja Halicz i Stanisławów. Równocześnie oddziały posuwające się od Lwowa zajęły Brzeżany i Jezioro pod Tarnopolem. W tych okolicznościach, kiedy ofensywa polska posuwała się szybko naprzód, Naczelny Wódz został zmuszony do zatrzymania jej na skutek nacisku Lloyda Georgea, który nie orientując się zupełnie w stosunkach na tych ziemiach, groził „ubolewania godnymi następstwami” o ile Polska nie dostosuje się do nakazów Rady Najwyższej. Wtedy też zostały wycofane z frontu wspomniane dwie dywizje gen. Hallera, a on sam został zastąpiony na froncie wołyńskim przez Gen. Babiańskiego.

Ukraińcy skorzystali z tego zatrzymania się Polaków, prędko doprowadzili do ładu swoje rozbite oddziały i już 8 czerwca rozpoczęli przeciwnatarcie z rejonu Skala-Czortków i w ciężkich walkach trwających dwa tygodnie posunęli się z powrotem na linię rzeki Swirz w Rejonie Zborów-Przemysłany. Równocześnie w Wersalu szły gorączkowe obrady w tzw. Komisji Cambona, która to komisja miała przygotować materiały w sprawie sporu polsko-ukraińskiego dla Rady Najwyższej. Ostatecznie po wielu dyskusjach i licząc się z istniejącą sytuacją w terenie, Rada Najwyższa 25 czerwca 1919 r. uznała za stosowne pozwolić Polsce na zajęcie kraju po Zbrucz.

Ukraińcy którzy bardzo pilnowali aby Polska przestrzegala ściśle postanowień wersalskich (vide sprawa Armii Hallera), teraz bynajmniej nie czuli się w obowiązku oddania Polakom terenu po Zbrucz. W tych okolicznościach 28 czerwca 1919 przyjechał na front Piłsudski i sam dopilnował przełamania mocnego oporu Ukraińców w rejonie Przemysłany-Brzeżany. Ofensywa którą przeprowadzała znowu grupa gen. Iwaszkiewicza (już bez udziału armii Hallera) ruszyła naprzód osiągając w dniach 16-18 lipca linię Zbrucz, gdzie wojsko polskie stanęło z bronią u nogi, nie posuwając się dalej, choć za Zbruczem była w tym czasie praktycznie pustka.

Politycy zawsze liczą się najbardziej z faktami dokonanymi. Dlatego też Ukraińcy chcieli stworzyć „fakt dokonany” przez zajęcie Lwowa 1.11.1918. Polacy odpowiedzieli na to skutecznym oporem, stwarzając fakt dokonany w przeciwnym sensie i to, że w czerwcu 1919 oddziały polskie znalazły się już nad Seretem i że na ich zaplecze panował ład i spokój — przesądziło o tym że Komisja Cambona zaleciła Radzie Najwyższej zgodę na to aby Polacy zajęli kraj po Zbrucz. Ale kraj ten nie spadł nam z nieba nawet po wersalskiej aprobacie, tylko wywalczyliśmy go ciężko w tej tragicznej wojnie, jak najbardziej domowej. Cała Polska

odczuwała to, że ta wojna jest wojną tragiczną, bo biją się w niej dwa narody, które od setek lat zamieszkiwały tę samą ziemię, ale nikt nie uważał jej za wojnę zaborczą.

Po pobiciu Ukraińców Polacy nie triumfowali, ale myśleli o tym jak ułożyć dalsze stosunki. Znalazło to wyraz już w parę miesięcy później w umowie Piłsudski-Petlura i w naszym marszu z wiosną 1920 na Ukrainę.

17 maja 1920 r. w Winnicy przemawiając do ludności w obecności Petlury, Piłsudski powiedział: „Wolna Polska nie może być istotnie swobodną, dopóki naokoło panuje wciąż hasło poddawania woli narodowej przemocy terroru. W błysku naszych bagnatów i naszych szabli nie powinniście widzieć nowego narzucenia cudzej woli. Chcę abyście w nim widzieli odbłysek swej wolności. Szczęśliwym będę kiedy nie ja — mały sługa swego narodu — ale przedstawiciele Sejmu polskiego i ukraińskiego ustanowią wspólną platformę porozumienia”.

Niestety naród ukraiński okazał się nie przygotowany do tej wspólnej akcji z Polską, a odezwy Petlury znalazły mały oddźwięk w narodzie na jego własnej ziemi. Ofensywa sowiecka która zaczęła się na Ukrainie w czerwcu 1920 przekreśliła dalsze plany współpracy, wzgl. ograniczyła je do akcji dwóch dywizji Petlury po stronie wojsk polskich.

Po wojnie Ukraińcy nie chcieli żadnej współpracy z Polską i prowadzili akcję terrorystyczną przeciwko zarówno Polakom jak Ukraińcom, którzy tej współpracy chcieli. Ukraińska Organizacja Wojskowa pod przywództwem plk. Konowalca przeprowadziła szereg udanych albo nie udanych zamachów na Polaków, którzy chcieli jakiegos ułożenia znośnych stosunków. W r. 1921 zamach Fedaka na Piłsudskiego. W r. 1924 na Prezydenta Wojciechowskiego, W r. 1926 na kuratora Sobińskiego. W r. 1931 na T. Hołowkę. W r. 1934 na ministra Pierackiego. W 1939 roku nie Niemcy i nie Rosjanie, ale Ukraińcy ranili gen. Andersa, kiedy idąc ze swą brygadą kawalerii w ciężkich walkach spod Mławy przez całą Polskę dochodził już do granicy węgierskiej. Wziąwszy go do niewoli rannego, oddali go w ręce władz sowieckich.

Więc właściwie byliśmy w wojnie przez cały czas. Czy jesteśmy w niej nadal? I cóż z tego że Ukraina jest dziś zjednoczona i obejmuje ziemie, które „jako żywo” nigdy Ukrainą nie były. Nie o taką Ukrainę walczyliśmy Wy, Ukraińcy, tak jak nie o taką Polskę jaka jest teraz walczyliśmy my, Polacy. Ten podobny los powinien nas pogodzić i pokazać że nie tędy droga.

Pamiętajcie o tym, co napisał w r. 1845 Wasz Szewczenko w swojej „Przyjacielskiej Epistole”, nawiązując do wojen kozackich przeciw Rzplitej. „Chępcie się żeście Polskę powalili, ale przecież grzyzi Polski i Was także przygniotły”.

Tadeusz SARYUSZ-BIELSKI

Drogi Redaktorze!

Przesyłam kopię mego listu do „Życia Literackiego” w Krakowie. List ten skierowałem również do „Życia Warszawy” i „Trybuny Ludu”, gdzie ogłoszono „List do Gombrowicza” pana L.H. Morstina, napisany w związku z felietonem p. Witek Swinarskiej.

Uważając sprawę za ważną, podałem ją też do wiadomości Związku Literatów i Dziennikarzy w Warszawie. Przysługuję mi, rzecz jasna, prawo publicznego stwierdzenia, że nikczemne i moralnie dyskwalifikujące opinie,

przypisywane mi przez p. Swinarską, nigdy nie zostały przeze mnie wypowiedziane.

Łączę wyrazy wysokiego poważania.

18.X.1963.

Witold GOMBROWICZ

Redakcja „Życia Literackiego”
KRAKÓW

Szanowny Panie Redaktorze!

W „Życiu Literackim” ukazał się niedawno felieton p. Barbary Witek Swinarskiej pod tytułem „O dystansie, czyli rozmowa z mistrzem”.

Nie jest to żaden wywiad ze mną (jak mylnie podano w kilku polskich gazetach), a tylko opis prywatnego ze mną spotkania. Pani Swinarska nie tylko nie uważała za stosowne zapytać mnie, przed podaniem tego do druku, czy nie miałbym jakichś zastrzeżeń lub poprawek, ale w ogóle napisała i wysłała ten felieton bez mojej wiedzy. Dowiedziałem się o nim dopiero, gdy otrzymałem wycinek z „Życia Literackiego”.

W najczarniejszym śnie nie mogłaby mnie nawiedzić nikczemna intencja wybielania, czy choćby bagatelizowania, zbrodni hitlerowskich w Polsce, które najostrej potępiam wraz ze wszystkimi uczciwymi ludźmi świata. Nie może istnieć co do tego najmniejsza wątpliwość, gdyż kilkakrotnie wypowiedziałem się na ten temat w moim „Dzienniku”. Odnoszę się z największym szacunkiem do niebywałych cierpień Polaków w czasie ostatniej wojny.

Proszę o zamieszczenie powyższego oświadczenia.

Z wysokim poważaniem.

18.X.1963

Berlin, Hohenzollerndamm 36

Witold GOMBROWICZ

Los Angeles, 6 października 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W liście swoim z dnia 9 czerwca 1963 (*Kultura*, lipiec-sierpień 1963), będącym odpowiedzią na moje uwagi dotyczące jego artykułu „Potwierdzona alternatywa” (*Kultura*, marzec i czerwiec 1963), p. A. Kawałkowski ofiarowuje mi konia z rzędem, jeżeli mogę dopatrzeć się w jego publicystyce taniej anty-amerykańskości. Szkoda, że konno nie jeździę, gdyż spełnienie żądania p. Kawałkowskiego nie następuje najmniejszych trudności. Innymi słowy, w dalszym ciągu twierdzą, że artykuły jego trącą taną anty-amerykańskością. Jakże inaczej można scharakteryzować następujące zdanie zaczerpnięte z jego artykułu „Bitwa o Europę” (*Kultura*, wrzesień 1963): „Wartość siły ciosu... nie mogła znaleźć bardziej dosadnego... uznania, jak objawy gniemu obydwóch szefów supermocarstw i fala wymysłów na łamach ich prasy. Gdy się czyta prasę amerykańską, odnosi się wrażenie, że Stany

Zjednoczone znalazły, nareszcie, prawdziwego wroga”. (Podkreślenie moje). Dodać trzeba, że ten kwiatusek jest bodajże najbardziej jaskrawym przykładem tonu, w jakim cały artykuł jest utrzymany. Z kolei ja chciałbym zaoferować p. Kawałkowskiemu konia z rzędem, za przytoczenia głosów prasy amerykańskiej, która według niego, *nareszcie znalazła prawdziwego wroga*. Rozumując kategoriami autora „Bitwy o Europę”, Rosja Sowiecka przez ostatnie 20 lat nie była *prawdziwym* wrogiem Ameryki i dopiero de Gaulle dostąpił tego zaszczytu w 1963. W odpowiedzi na moje pierwotne zastrzeżenia p. Kawałkowski odpowiedział, że trudno wymagać od niego, jako polityka, aby znał się na ekonomii. Tym razem, jednak, sprawa jest całkiem prosta. P. Kawałkowski wysuwa poważne oskarżenia pod adresem Kennedy’ego i prasy amerykańskiej, ja proszę o przykłady, które posłużyły autorowi do zajęcia powyższego stanowiska. Obawiam się, że będzie miał on z tym trudności i dlatego w dalszym ciągu podtrzymuję swoją tezę o taniej anty-amerykańskości p. Kawałkowskiego.

Chciałbym również przy okazji sprostować jedno ze zdań z artykułu J. Monda („Władysław Gomułka”, *Kultura*, lipiec-sierpień 1963). Według p. Monda „W roku 1943 Gomułka zostaje sekretarzem generalnym PPR jako trzeci z kolei „dwaj poprzedni: Nowotko i Finder giną w niewyjaśnionych do końca okolicznościach. Mówi się, że pierwszy został zastrzelony a drugi zadenuncjowany przez oficera NKWD Mołojca”. Nowotko rzeczywiście został zastrzelony przez Mołojca, który, o ile wierzyć źródłom krajowym i zeznaniem Świątły, nie był oficerem NKWD a bratem Bolesława Mołojca, który razem z Nowotką i Finderem zrzucony został do Polski przy końcu 1941 w celu zorganizowania PPR, Zygmunt Mołojec, według Świątły, za namową swego brata Bolesława, członka pierwszego Komitetu Centralnego PPR, zastrzelił Nowotkę na ulicy w listopadzie 1942. Świątło również podaje powody zabójstwa Nowotki. Oficjalna wersja, lansowana przez partię w Polsce, stwierdza, że przyczyny zabójstwa nie zostały wyjaśnione. W grudniu 1942 obaj bracia Mołojcowie zostali skazani na karę śmierci przez sąd partyjny i wyrok został wykonany. Na skutek tego trudno zgodzić się ze stwierdzeniem p. Monda, że Finder został zadenuncjowany przez jednego z Mołojców, gdyż aresztowanie Findera nastąpiło mniej więcej w rok później (listopad 1943). Do tej pory nie napotkałem na jakiegokolwiek naświetlenie aresztowania Findera i towarzyszy, które spowodowało przerwanie łączności radiowej między PPR a grupą komunistów polskich w ZSSR, gdyż szyfry używane przez obie grupy były w posiadaniu Findera i M. Fornalskiej, która również została aresztowana. Warto zaznaczyć, że podczas III Plenum KC PZPR w listopadzie 1949 r. Gomułka został niedwuznacznie oskarżony o przyczynienie się do aresztowania Findera. W odpowiedzi stwierdził on, że była to „przypadkowa wsypa”.

Z wyrazami poważania.

Andrzej KORBOŃSKI

Do Redaktora „Kultury”!

Polska, oraz inne jednostki państwowe nazywane obraźliwie satelitami, wykazywały, po powstaniu Rynku Sześciu, pewną chęć — zresztą bardzo nieśmiałą — nawiązania kontaktu z tym tworem. Sowiety jednak sprze-

ciwiły się tym próbom, a same wyraziły później swą gotowość dołączenia się do tej imprezy. Zamiar ten nie został jednak przychylnie potraktowany przez Szóstkę, a to w obawie że wilk może dostać się do powstającej owczarni. Wobec tej niechęci Szóstki, Moskwa postanowiła stworzyć własną organizację pod nazwą KOMEKON jako odpowiednik czy też przeciwwagę Szóstce.

Dwa lata temu, Macmillan zgłosił przystąpienie Wielkiej Brytanii do Rynku Sześciu, ale de Gaulle wyraził sprzeciw Francji odnośnie do tego akcesu.

Obecnie Tito ustosunkował się negatywnie do zamiaru Chruszczowa wciągnięcia Jugosławii do bloku Komekonu. Zachowuje on widocznie żywo w pamięci upokorzenia i wyzyski dokonywane za czasów Stalina na Jugosławii przez silniejszego w stosunku do słabszego pod pretekstem „współpracy”. Zakusy te zobrazował dokładnie w swoim czasie Dżilas.

Nauczony bardzo przykrymi doświadczeniami, Tito pragnie być panem we własnym domu, kroczyć niezależnie „własną drogą do socjalizmu”, jak się wyraził. Ambicji tej sprzyja fakt, że trzy czwarte handlu zagranicznego dotyczy handlu ze światem nie komunistycznym. Tito nie chce widocznie narazić swego kraju na niebezpieczeństwo stopniowej utraty niepodległości przez nieopatrzone dołączenie się do bloku pod batutą Moskwy.

Słowem, na tym polega cały ambaras, ażeby wszyscy chcieli naraz.

Tak na Zachodzie jak i na Wschodzie Europy istnieją zatem głębsze rozdziewki odnośnie do tzw. „wspólnoty”. Te rozdziewki nacechowane są brakiem wzajemnego zaufania. Fakt ten nie sprzyja rozwojowi powstałych inicjatyw w skali międzynarodowej.

Moskwa występuje obecnie z kuszącym mirażem specjalizacji produkcji poszczególnych jednostek państwowych w ramach Komekonu. So wietom wydaje się przyświecać myśl, że nie od razu Rzym zbudowano i że Zollverein poprzedził jak wiadomo scalenie imperium niemieckiego. Powstaje pytanie czy wspólnota Komekon nie kryje w sobie chytrze pragnienia podboju słabszych przez silniejszego drogą sparaliżowania ich względnej niepodległości gospodarczej.

Polityka Tity wydaje się wychodzić z tej prostej zasady, że z punktu widzenia bezpieczeństwa nie należy kłaść wszystkich jaj do jednej kobiałki. Jest on zwolennikiem „współpracy” tak ze Wschodem jak i z Zachodem. Jest to polityka bezpieczeństwa, którą można nazwać „safety in number”. Stosowana jest ona np. przez towarzystwa asekuracyjne. Czym większa liczba asekurowanych, tym jest mniejsze ryzyko i większa korzyść dla wszystkich. W czasach, kiedy nie było jeszcze trustów inwestycyjnych, poszczególni inwestorzy kapitału ograniczali się zazwyczaj z konieczności do lokowania swych oszczędności według własnego widzimisię w nielicznych lokatach. W razie krachu giełdowego powstaje groźba ruiny. Obecnie stosunkowo mały akcjonariusz ma możliwość inwestowania swego kapitału w akcjach trustu posiadającego udziały w większej ilości przedsiębiorstw i w ten sposób zmniejszyć ryzyko inwestycyjne. Wiadomo, że kursy akcji nie spadają równomiernie.

Wydaje się, że zasada „safety in number” będzie stosowana przez Wspólny Rynek, który będzie się starał trzymać otwarte wrota swej organizacji dla innych, z wyjątkiem komunistów, którzy — jak się wyraził obrazowo Chruszczow w przystępie szczerości — żywią nadzieję, że pogrzebią z czasem kraje kapitalistyczne. Bardziej oględny Tito nie używa podobnie groźnych wyrażań.

Wspólnoty organizowane w płaszczyźnie międzynarodowej należą do twórców zawiłych. Różnice strukturalne pomiędzy krajami bywają znaczne,

a koniunktury zmienne. Można je rozpatrywać tak w przestrzeni jak w czasie.

Można powiedzieć, że prawdy gospodarcze okazują się czasami względne. Natomiast nieszczęścia, w skali światowej, są powodowane z reguły fanatycznymi namiętnościami jednostek pociągających za sobą tłumy.

Leon LITWIŃSKI

Stanford, Kalifornia, 25 września 1963

Drogi Panie Redaktorze!

Wspomniany w liście p. Zbigniewa Jasińskiego „zabawny anachronizm” całkowicie świadomie wprowadziłem do „widowiska dokumentarnego w treści, choć w formie artystycznie przekształconej”.

W okresie rewolucji 1917-18 funkcje dzisiejszego radia spełniał telegraf, niekiedy już „bez drutu”, przez który bolszewicy nadawali swoje, adresowane: „*Wsiem, wsiem, wsiem*”, depeche. Zamiast to przypominać czy wyjaśniać, wolałem przekształcić FORMĘ, pozostawiając TREŚĆ niezmienną.

To zaś, że w rezultacie czytelnicy „Kultury” otrzymali krótki wykład historii radiofonii, nie chyba nie szkodzi.

Najlepsze wyrazy łączę.

W. SUKIENICKI

Paryż, dnia 30 września 1963

Szanowny Panie Redaktorze!

W Bibliotece „Kultury”, nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu ukazała się przed kilku tygodniami książka pióra p. Witolda Jedlickiego pt. „Klub Krzywego Koła”.

W „Dokumentach” tych, p. Jedlicki opisując historię powstania Klubu insynuuje, że Klub ten powstał z inspiracji U.B. (p. Jedlicki pisze — „policji”), względnie Informacji Wojskowej i że założyciele tego Klubu, wśród których wymienia moją osobę, działali z ramienia i na rozkaz tych czynników policyjnych.

Jest rzeczą znaną, że w okresie pełnego rozkwitu Klubu — tj. w miesiącach luty i marzec 1956 roku — stalinowcy inspirowali plotki tego rodzaju, w celu podważenia zaufania społeczeństwa do Klubu. Pan Jedlicki, którego osobiście nie znam i nie znam i który wstąpił do Klubu w okresie późniejszym — na co wskazuje nr jego legitymacji klubowej — nie zadał sobie trudu sprawdzenia tych plotek i powtarza je lekkomyślnie.

Mam zaszczyt zakomunikować Szanownemu Panu Redaktorowi, że pozwolę p. Jedlickiego przed sąd obywatelski o oszczerstwo.

Ponadto chcę stwierdzić, że niezależnie od powyżej wymienionej fałszywej, oszczerczej i krzywdzącej mnie wersji, dotyczącej mojej działalności w ruchu klubowym, książka p. Jedlickiego zawiera szereg nieścisłości, mylnych ocen i mijających się z rzeczywistością naświetleń, dotyczących całości ruchu klubowego i życia politycznego w latach 1955-1957.

Mam nadzieję, że Pan Redaktor w celu pełniejszego i ściślejszego uchwycenia i zarejestrowania zdarzeń tego okresu, nie odmówi mi łamów jednego ze swoich wydawnictw dla naświetlenia tych spraw tak jak ja je widziałem i znam.

Z poważaniem.

Roman SZCZURKOWSKI

Drogi Panie Redaktorze!

Odczytując ponownie swój szkic „Klucz i Hak”, część III i IV (nr 9 „Kultury”), zauważyłem kilka zmyłek drukarskich. Prostuję ważniejsze:

Zamiast: „Mimo wszystko, 1955-56 to 7 tłustych lat myśli i słowa polskiego”, (str. 33) — powinno być: „Mimo wszystko, 1955-62 r. to...”.

Zamiast: „Dawniejsi (psychiatrzy) przypisywali ją historii” (symptomatykę symulacji) — str. 27), powinno być: „histerii”.

Zamiast: „że style tradycyjne odzyskują energię” (str. 38) — powinno być: „odzyskują dorywczo energię”.

Z prawdziwym szacunkiem.

Aleksander WAT

„Nie umie, czy nie chce, w każdym razie nie próbuje walczyć o zakres swoich właściwych uprawnień i obowiązków”.

Motto wzięłem z omówienia, bez taryfy ulgowej, *Wspomnień Wojennych* gen. St. Kopańskiego przez p. Pobóg-Malinowskiego w „Kulturze” 3/173 z 1962 r. Autor, znany historyk, zarzuca gen. Kopańskiemu, że na stanowisku Szefa Oddziału Operacyjnego Sztabu Głównego „nie ma pola dla żadnej inicjatywy, może i musi być tylko pomocnikiem, pozbawionym głosu wykonawcą poleceń”. Pisze to na tle krótkiej sceny, gdy marszałek Smigły-Rydz ofuknął odpowiedzialnego za operacyjne przygotowanie działań obrony państwa Oficera Sztabu. Było to w obecności Szefa Sztabu Głównego. Dodać warto, dla niezających Generała, że nie lubi wysuwać swej osoby, nie lubi „błyszczeć”. Wspomnienie to wysunęło się z pamięci na papier, gdyż było zadrą starannie ukrywaną, przykrością nie zasłużoną, którą często oficerowie sztabów ścierpieć musieli od arbitralnych, często słabych fachowo dowódców.

Położenie oficera sztabu w naszej armii nie było do pozazdrośczenia. Był to pomocnik dowódcy, odpowiedzialny przed szefem sztabu lub przed dowódcą wprost, ale miał bardzo ograniczone uprawnienia, a wiele obowiązków wykonywania pracy, której reasumpcja mogła wcale nie być użyta przez dowódcę — indywidualistę. Jeśli go ponosił temperament i zabierał głos w sprawie koncepcji działania, w ustaleniu decyzji — każdej chwili mógł być przywołany do porządku przez przełożonego. Wkra-

czał w prerogatywy wyższe, dowódcy tylko zastrzeżone. Jeśli jednak tak robił z powodzeniem — to dowód, że dowódca nie czuł się pewnie, bo wiedzą nie dorastał do sytuacji. ustępował sztabowi, parałował lub podpisywał.

Dwa lata studiów w W.S.WOJ. a raczej trzy (bo rok trwały egzaminy wstępne) dokładnie uczyły nas naszych obowiązków. Zebranie elementów decyzji, referat dla dowódcy, a potem wcielenie jego decyzji pracą rozkazodawczą i kontrolę ich wykonania. Dowódca mógł zażądać oceny położenia, lub tego potrzebować. Mógł powiedzieć i narysować na mapie myśl działania i dodać do tego, lub nie, wskazówki wykonawcze.

Dowódca w naszym wojsku był niczym nie krępowany poza wolą wyższego dowódcy. Mógł wsiąść do samochodu i pojechać do pierwszej linii biorąc z sobą szefa sztabu lub nie. Mógł nosić się z decyzją, zmieniać ją po kilka razy (w niezmienionej sytuacji), przeszkadzać sztabowi, rozstawiać wszystko po kątach, szerzyć postrach we własnej kwaterze i wywoływać uczucie ulgi, gdy samochód uwożący jego chmurną głowę zniknął w kurzu za bramą.

Szef sztabu, tym mniej oficer sztabu (myślę o szefach oddziałów, lub oficerze operacyjnym w dywizji) nie wiele mogli zrobić z dowódcą tego typu. Nie mieli żadnych uprawnień w obecności dowódcy. W jego nieobecności dowodzili „z rozkazu dowódcy”.

W W.J. dowodzonych w 1939 r. przez byłych wychowanków W.S.WOJ wdrożonych do systematycznej pracy i umiejących korzystać ze swego sztabu i współpracować z nim, działania rozwijały się pomyślniej, naturalnie z pewną tolerancją dla mniej lub więcej zżytych lub dobranych charakterami ludzi.

Gdyby czas pokoju potrwał dłużej a dowódcy bez studiów (lub ze studiami ulgowymi) wywedrowali dzięki pragmatyce w stan spoczynku, na szczeblu brygada-dywizja panowałby jeden system. System generała Kutrzeby, długoletniego Komendanta W.S.Woj. Po gen. Faury, który miał zasługę stworzenia W.S.Woj, ale wpajał w naszych — jakże innych warunkach — francuskie zasady wojny 1914-18, gen. Kutrzeba stworzył uczelnie świetną i nowoczesną. Ostatnia wojna nie zaskoczyła jego uczniów potężnym *blitz* em. W studiach operacyjnych i taktycznych przerabialiśmy sytuacje zbliżone do wrześnieowych. Człowiek ogromnej pracy, dużej inteligencji i wiedzy, umiejący dobrać wykładowców i ich szkolić, obdarzony rzadką swadą i wyobraźnią stworzył system myślenia i porozumiewania się jednolitym językiem sztabów. Nie od niego jednak zależało ustawienie sztabowców wobec dowódców.

Stanowisko oficerów sztabów było stopniowo i coraz bardziej nie-pzychylne określane przez Starego Marszałka. Słyszałem niejednokrotnie o urazie powziętym do cesarsko-królewskich sztabowych dygnitarzy przez Komendanta Legionów. Trząsł się z wściekłości gdy widział ich aroganckie sylwetki. Po latach, gdy tworzył Wojsko, uraz odezwał się. Oficerów sztabów ustawił w pozycji podobnej do adiutantów. Mieli stanowisko doradców, podobne do doradców technicznych czy prawnych, ale mogli nie być pytani o opinie a fukani, co w dość wschodnim naszym obyczaju bardzo poważnie dodawało fukającemu. Nie pamiętam dokładnie, w którym roku zmieniono dla absolwentów W.S.Woj. tytuł z Oficera Sztabu Generalnego na dodatek do stopnia „dyplomowany”.

W armii austriackiej gdzie najwyższe stanowiska dowódcze były obsadzone przez członków rodziny cesarza, oficerowie sztabu generalnego byli współodpowiedzialni za decyzje. Bez ich zgody decyzja nie mogła być powzięta. Mieli rekurs do szefów sztabów wyższych szczebli. Marszałek obronił w ten sposób Wojsko przed „mafią sztabowców”, ale oddał je w ręce dowódców, zwłaszcza wyższego i najwyższego szczebla,

niewykształconych wojskowo. Marszałek Piłsudski był genialnym samoukiem. Szczęście ustawiło go na przełęcz epok. Dowodził jeszcze z konia. Samolot w jego czasach był niegroźnym bakiem, czołg raczkował, radio zawodziło, przygotowanie materiałowe było w wojnie polsko-rosyjskiej minimalne, a żołnierz często żył z kraju. Fachowe obiekcje kwatermistrza zmieniające decyzje, a co najmniej termin jej wykonania, konieczność zgrania ogromnej maszyny, którą jest już dywizja, nie mówiąc o armii, były już realiami pierwszej wojny światowej, ale poszły do rupieciarni wobec płynnych działań w otwartych obszarach polskiego wschodu. Oficer sztabu był raczej adiutantem. Prawie zawsze był wyciągany z linii. Kilku tylko miało ukończone studia wyższe w armiach obcych.

Wspaniałe zwycięstwo 1920 r. dało złudne poczucie siły i niekwestionowanej własności poczynań w kampanii, zamykającej okres bojów XIX w. Przekonanie o wyższości doświadczenia, zarozumiałość i buta powodowały lekceważenie poważnych studiów wojskowych.

S. ŻOCHOWSKI

NOWE CENNIKI 1963-64

obejmują wszystko, co trzeba wysłać do Polski lub Rosji

● TOWARY PRAKTYCZNE ● LEKARSTWA ●
● ŻYWNOSĆ ● PRZEKAZY PIENIĘŻNE ●

Ktokolwiek wysyła cokolwiek, a jest człowiekiem praktycznym, współpracuje z największym polskim domem wysyłkowym:

TAZAB & CO. LTD.

TAZAB HOUSE ■ 22, ROLAND GDNS. ■ LONDON S.W.7

© Copyright by Institut Littéraire, 1963.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e trimestre 1963.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon: 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	(31 sh.)	60 sh.
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csalky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA: Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botanico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8 ^o Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	3,50 F	19 F	37 F
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanisław Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	3,85 F	21 F	41 F
KANADA: M. Jaxa-Debicka, 223 Geoffrey Street, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Związkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY: St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. sw.
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U.S.A.: Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossotynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posylniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 14141 Deanann Place, Garden Grove, Cal.; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh 6 d.	31 sh.	60 sh.
WLOCHY: Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym	500 liras	2.800 liras	5.000 liras

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM LXXXVIII

POLACY W ZSSR

(1939-1942)

ANTOLOGIA

W opracowaniu i ze wstępem Marii Czapskiej

Na książkę składają się fragmenty prac pisanych na uchodźstwie, w ogromnej większości już dziś wyczerpanych, a przede wszystkim prawie nieznanymi, gdyż ukazywały się w czasie wojny lub zaraz po wojnie.

„Nie po to, żeby jątrzyć został wydana niniejsza antologia — pisze we wstępie Maria Czapska — ale by ujawnić, bo tylko ujawnienie zła może oczyścić polsko-sowieckie stosunki, zneutralizować trucizny. I została wydana także dlatego bo wielkich zbrodni, które napiętnowały XX wiek ery chrześcijańskiej nie wolno nam zapominać, bo każdy z nas ponosi za nie jakąś część odpowiedzialności, a pamięć — to ostrzeżenie.

Nie wolno nam zapominać więzień i łagrów sowieckich, zagłady Żydów, niemieckich obozów śmierci, mordu katyńskiego i innych, nieodkrytych, mordów kulą w kark, a także gorzkiej prawdy degradacji człowieka — kata i ofiary”.

Str. 360

Cena egz. 16,50 F. (24/6 sh.; dol. 3,50)



TOM XCI

ABRAM TERC

LUBIMOW

Kapitalna groteska znanego już naszym czytelnikom sowieckiego pisarza, autora książek „Sąd idzie” i „Opowieści fantastyczne”, przetłumaczonych na ponad dwadzieścia języków.

Str. 128

Cena egz. 9 F (dol. 2,00; sh. 13/6)